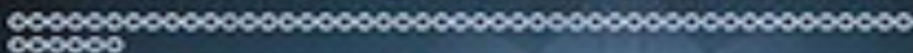
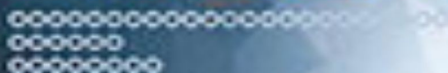


MARIUSZ ZIELKE



EASYLOG



MARIUSZ ZIELKE

EASYLOG

Prolog

Trzymam na muszce mordercę mojej ukochanej. Za chwilę nacisnę spust i nie jest to zabawa. Nie ma nic wspólnego z grą. On chyba zdaje sobie z tego sprawę i już nie liczy na cud. Wstrzymuje oddech i czeka. Nie przymknął oczu, patrzy na mnie bez strachu szklistym spojrzeniem wyrachowanego gracza. Czyżby nie wierzył, że jestem zdolny do zabójstwa? Może w myślach postawił zakład. Jeśli doliczy do trzech i strzał nie padnie - przeżyje. Jeśli wciąż będzie żył przy pięciu, kto wie, może nawet facet z bronią zmieni zdanie i zabije tę zdzirę, przez którą to wszystko się tak potoczyło.

Niedoczekanie, draniu! Zginiesz, nie ma dla ciebie ratunku.

Czekam tylko dlatego, żebyś poczuł smak nadchodzącego bólu. Żebyś cierpiał, tak jak ona cierpiała. Kiedyś, przed laty.

Mówią, że sekundę przed śmiercią, milimetr od granicy, zza której nie ma już powrotu, człowiek może ją zobaczyć. Panią śmierci. Przychodzi pod postacią demona, ducha lub człowieka. Ostatni przewodnik na drugą stronę, do narak, szeolu czy innego piekła. Zdaniem Mike'a śmierć jest kobietą, bo śmierć to władza, a władza też jest kobietą, choćbyśmy nie wiem jak się upierali, że jest inaczej.

Mike gównu wie, ale akurat w tym wypadku może mieć rację.

Również w tym, że ona przybywa osobiście po każdego skazanego. Szczególnie po tych, którzy zasłużyli na ten los, a moja dzisiejsza ofiara z pewnością do nich należy. Są sytuacje, kiedy nie wypada korzystać z pomocy.

Zasłużyłeś sobie, draniu, i zaraz zginiesz. Mam nadzieję, że już o tym wiesz i odliczane w myślach sekundy smakują bardzo cierpko. Odliczaj, nic innego ci nie pozostało. Jeden, dwa, trzy... Nadchodzi. Za chwilę. Już...

Rozdział 1

Dziennikarze to tępaki. Mike nie ma co do tego wątpliwości, mimo że sam przez pięć lat pisał do „New York Timesa”, a kolejne dwa przegadał w CNN. Kiedy przypominam mu o tym, odpowiada: nie ma wyjątków, a jeśli nawet są, to potwierdzają regułę.

- Dziennikarstwo dawno już wyprało z brudami wszelką przyzwoitość. Nie ufaj pismakom. Mogą mówić, co chcą, ale pamiętaj, że zawsze będzie ich interesował tylko twój wkład w powstanie Wally’ego.

Mike jest moim bratem. Mówi niemal to samo, ilekroć się spotykamy. Jest bardzo gadatliwy, a ja udaję, że go słucham. Za każdym razem jest w lepszym garniturze, ma bardziej odjazdowy zegarek i zerka przez okno na jeszcze nowszy model porsche. To się nazywa dziennikarstwo zaangażowane, tłumaczy z uśmiechem, poklepując czterysta mechanicznych, chromowanych koni. Nachyla się do mnie i powtarza: - Pamiętaj: zawsze próbujemy zrobić innych w konia. O nic więcej nam nie chodzi.

Pamiętam. Może dlatego, kiedy Kazar zadzwonił do mnie po raz pierwszy, spuściłem go na drzewo. Nie, nie chcę się spotkać, nie chcę rozmawiać przed kamerą ani przez telefon. Nie mam nic do powiedzenia. Czy to z powodu urazu do Devona? Czy wciąż mam do niego żal o to, co się stało? A może właśnie dlatego powinniśmy porozmawiać... Głupie pytania i sugestie zawieszony w próżni. Nie słyszał pan? Nie mam nic do powiedzenia.

Powtarzaj do skutku: bez komentarza. To też rada Mike’a.

- Bez komentarza.

Nic nie odpowiedział, choć wiem, co miał na końcu języka. Czemu jest pan takim cholernym dupkiem, Ben? Czy to z powodu nazwiska? Wciąż panu dokuczają, naśladując tego komika?

Ben Stiller. Tak się nazywam, identycznie jak słynny aktor komediowy. Niektórzy twierdzą nawet, że jestem do niego podobny, tylko za poważny. Mam czarne gęste włosy, krótko przycięte, dość pospolitą twarz z migdałowymi oczami, szczękę z dziurką i trochę skrzywiony nos, dzięki któremu mogę kłamać, że kiedyś uprawiałem boks. Typ ze mnie raczej krępy, niezbyt wysoki i ginący w tłumie. Mało zabawny. Bardziej pasowałoby mi podobieństwo do kogoś innego.

Ale przecież John Travolta też grał w komediach i lekkich filmach, a potem się przestawił. A Jim Carrey? Ten to dopiero potrafił się udramatyzować. Tak więc nic straconego, Ben, ty też możesz się stać dobrym aktorem. Zmarszcz brwi i mów o połowę mniej. Nie gestykuluj i nie uśmiechaj się tak głupkowato. Robienie z siebie kretyna też ma granice. No i nie patrz tak, jakbyś wszystkich przeproszał za nie swoje winy, zanim jeszcze ktoś zdąży cię o cokolwiek oskarżyć.

Nie mam nic wspólnego z aktorstwem. Mogę uśmiechać się, jak chcę i kiedy tylko sobie życzę.

Niestety nie znam się też na dziennikarzach, przynajmniej nie tak dobrze jak Mike. Może dlatego zrobiło mi się trochę szkoda Kazara i powiedziałem:

- Niech pan się nie gniewa, ale ta historia jest już za mną.

- Jesteś legendą tej firmy, Ben. - Kazar się nie poddawał, próbował bezpośredniego uderzenia. - Nie powinieneś nas unikać.

- Nas?

- Od dziesięciu lat nie udzielasz wywiadów. Właściwie nigdy nie widziałem z tobą wywiadu poza tą krótką notką w „Globe”, w której powiedziałeś, że Wally będzie przełomem.

- To prawda.

- Może warto z tym skończyć i wyjść do ludzi? Jesteś to nam winien. Devon wciąż o tobie mówi, powtarza, że gdyby nie Ben Stiller, nie byłoby sukcesu SkyComu, nie byłoby Wally’ego. To twoje dzieło, Ben.

- SkyCom to Devon, nie ja.

- Nie przeczę, ale to ty byłeś głównym technologiem. Nawet Devon tego nie ukrywa. Nie rozumiem więc, czemu nie chcesz

ze mną porozmawiać.

Dobrze to rozgrywał. Próbował mnie wziąć na komplementy, odkrywał stopniowo karty, jednocześnie ukrywając prawdziwy cel rozmowy. Obaj wiedzieliśmy, że ma inny temat, dużo mocniejszy niż sukces SkyComu i Devona. Dziennikarze śledczy nie piszą o sukcesach. Szukają brudów w zamkniętych szafach. Grzebią w śmieciach i wachają smrody. Ich szefowie płacą im za wyciąganie brudów na światło dzienne, a nie za głaskanie korporacji po głowie.

Tak, w internetowych notkach o Ianie Kazarze nie było ani odrobiny przesady. Można było się z nich dowiedzieć, że jest wyjątkowo upierdliwym i upartym dziennikarzem śledczym. Jeśli coś jest niemożliwe, poślij tam Kazara. Wyprosisz go drzwiami, wejdzie oknem. Rozpije abstynenta, przeleci lesbijkę, ożywi umarlaka. Dla Iana Kazara nie ma rzeczy niemożliwych. Nie ma też żadnych świętości.

- Skromny ze mnie gość, Ian. Unikam rozgłosu.

- Mike jest zupełnie inny.

Jeśli wszystkie sposoby zawodzą, spróbuj się spoufalić, udając przyjaciela rodziny.

- Mike cię nie lubi, Ian. Chyba wiesz o tym?

- Mike to kutas.

Z pewnością wiedział, że ja i mój brat tylko udajemy przyjaźń. Nie zdziwiłbym się, gdyby na rozmaitych imprezach Mike opowiadał wszystkim, jakim dupkiem jest jego brat, niby taki słynny technolog, który nie potrafił przekuć wiedzy na sukces. Tak, w oczach Mike'a z pewnością jestem dupkiem.

- Ale to mój brat - odparłem.

- Zrób mu na złość i porozmawiaj ze mną, Ben. Udziel mi pierwszego wywiadu, a masz jak w banku, że Mike się wścieknie.

- Nie mogę Ian. Naprawdę nie mogę.

Trudno mi wytłumaczyć dlaczego, ale ta rozmowa i cały proces urabiania Kazara sprawiały mi przedziwną przyjemność. Może dlatego, że był święcie przekonany, że jest odwrotnie i że to on mnie urabia? W końcu i tak nic mi nie może zrobić, do niczego mnie nie zmusi, a ja mogę z nim zrobić

wszystko. Mogę go wystawić, umawiając się na spotkanie na Florydzie i nie przyjść na nie, a on nie będzie się nawet mógł zemścić. Mało tego, będzie musiał udawać, że nic się nie stało. Ależ skąd, Ben, to żaden problem, że przeleciałem kilka tysięcy kilometrów, by się z tobą zobaczyć, a ty mnie olałeś. Lubię samoloty i nie liczę czasu. Co za dureń wymyślił, że czas to pieniądz? Najwyżej mogę zemścić się na Mike'u albo Devonie.

Nie zależało mi na żadnym z nich.

- Gdzie jesteś, Ian? - zapytałem.

- W knajpie. Jem lunch.

Przypomniała mi się zabawna historia. W walentynkowym konkursie radiowym można było wygrać niezłą sumkę, jeśli partnerzy bez porozumienia tak samo odpowiedzieli na pytanie zadane zniemacka przez prezentera. Ten zadzwonił do jednego faceta, poinformował o możliwej wygranej i zapytał, gdzie się ostatnio kochał z żoną. Facet odpowiedział, że w kuchni. Zaraz potem prowadzący zadzwonił do żony tego gościa, a ta po długich namowach wypaliła: „w pupę”. W porze śniadania, kiedy przy głośnikach siedzą całe rodziny. Konsternacja była spora, a para nie wygrała nagrody.

- Pytam o miasto, Ian. Jesteś w L.A.?

- Nie, w San Diego, ale jutro mogę być w L.A. Dla ciebie wszystko, Ben.

- Przylecisz do mnie na Florydę?

Głośno przełknął ślinę. Drapieżnik wyczuł ofiarę. Miał mnie, tak mu się wydawało. I jak prawdziwy drapieżnik nie przeczuwał podstępu, robiąc w myślach rachunek zysków i strat.

- Jesteś na Florydzie? Co u licha tam robisz?

- Konferencję. Tym właśnie się zajmuję, nie sprawdziłeś?

- Wiem, wiem. Easylog, zgadza się? Tak się nazywa twoja nowa firma?

Mam ją od ośmiu lat. Budowana od podstaw, w końcu zaczyna liczyć się na rynku, a ten bubek mówi: „nowa firma”. Też mi dziennikarz.

- Tak jest - przytaknąłem grzecznie.

- Ładna nazwa. „Łatwe wejście”, czy o to chodzi? To miałeś

na myśli, Ben?

- Stawiamy na prostotę, Ian. Z nami wszystko jest prostsze, łatwiejsze... Każdy biznes.

- A więc powinno ci zależeć na reklamie. Możemy zrobić wywiad przed siedzibą Easylogu, z szerokim kadrem, na tle logo. Serwer ci się zawiesi, tyle wejść na witrynę będziesz miał jeszcze tego samego dnia. Grzech nie skorzystać.

Milczałem, udając że rozważam propozycję. Wreszcie odchrząknąłem.

- Zobaczymy. Wolałbym najpierw pogadać bez kamery.

- Oczywiście. Wszystko uzgodnimy.

Jasne. Już ci wierzę, bubku. Na pewno będziesz miał ukryty sprzęt. W dzisiejszych czasach kamerę można zainstalować w oprawce okularów.

- Mimo wszystko dziwię się, że z twoimi umiejętnościami prowadzisz... coś takiego - kontynuował urabianie. - Ja bym cię widział jeśli nie w SkyComie, to w jakiejś innej technologicznej korporacji. Apple przygarnęłoby cię z otwartymi ramionami, po tym jak Wally odebrał im palmę pierwszeństwa na rynku mobilnym.

- Apple mnie nienawidzi.

- Bez Jobsa to już nie ta sama firma, ale ty byś to zmienił, Ben. Jesteś wizjonerem, a nie wyrobnikiem. To tak, jakby słynny chirurg zamiast robić skomplikowane operacje poszedł pracować do gabinetu kosmetycznego.

Znów brał mnie pod włos, taka jego rola: wejść jak najgłębiej, smarując wcześniej wazeliną. Wiedziałem, że zastawia na mnie pułapkę.

- Lubię moją pracę, Ian. To jak, przylecisz do Miami?

- Kiedy?

- Choćby jutro.

Krótką cisza w słuchawce.

- Dobrze. Mogę być jutro na Florydzie. Weź ze sobą Wally'ego, Ben. Chciałbym ci zrobić z nim zdjęcie.

Nie odpowiedziałem. I tak by nie uwierzył, że prawie nie korzystam z urządzenia, które sam zaprojektowałem, ani z konta na Wallnecie. Podałem mu dane jednego z hoteli z

folderu, poprosiłem, żeby wieczorem czekał na mnie w holu, i rozłączyłem się.

Nawet jeśli Kazar zapalał do mnie sympatią, to jutro, najdalej o ósmej, będzie nienawidzić. Wyobraziłem sobie jego minę po godzinie czekania. Będzie przebierał nogami ze złości, przygryzał wargi, obgryzał paznokcie, w końcu zadzwoni, a ja nie odbiorę telefonu. Spróbuje później, jednak usłyszy tylko dźwięk wyłączonej komórki. Kolejnego dnia pewnie zadzwoni do biura, a ja może łaskawie przyjmę połączenie, żeby osobiście odebrać gratulacje za ten numer. Co mu powiem? Och, Ian, najmocniej cię przepraszam, zapomniałem. Musiałem pilnie wrócić do L.A.

Ciekawe, czy pęknie i w końcu powiesz, co o mnie naprawdę myślisz?

Nie, jednak nie. Ciągłe będziesz liczył na ten cholerny wywiad.

Mike, wiesz mi drinka. Będziesz miał co opowiadać na gali wręczania Pulitzerów. Czy Kazar dostał kiedyś Pulitzerza? A ty, Mike? Zbliżyłeś się chociaż do jakiejś nagrody, czy tylko słupki oglądalności i czterystukonne porsche ci w głowie? Tak, w nosie masz rzetelność i ważne tematy. Liczą się jedynie skandal i sensacja.

Rozdział 2

Odetchnąłem głęboko, żeby się uspokoić i wybrałem numer do Amandy. Miała piękny głos. Jeszcze piękniejszy niż ciało. Kiedy odbierała telefon i mruzczała mi do ucha nieco fałszywym, głębokim altem, przechodził mnie dreszcz i miałem ochotę szepnąć: powtórz to jeszcze raz. Ciągłe mruzczenie mi do ucha. Bierze mnie to jak dzieciaka.

- Halo, Ben, to ty? Czemu nic nie mówisz?

Jeszcze chwilę... Uwielbiam tę chwilę ciszy, kiedy jej głos powoli gaśnie w moich uszach.

- Cześć, Ami. To ja, Ben - powiedziałem cicho, jakbym nie słyszał jej pytań.

- Wiem, wyświetla mi się twój numer, geniuszu. - Roześmiała się. Śmiech też miała niezwykły. Najwspanialszy, jaki słyszałem. Piękniejszy nawet niż... Nie, obiecałem, że nie będę ich porównywał. Teraz liczy się tylko Ami. Minęło dziesięć lat. Kocham Ami. Powtarzałem to wystarczająco często, żeby w to uwierzyć.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też, ale... Dzwonisz tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

- A muszę mieć lepszy powód?

Westchnęła z udawaną złością.

- Ben, właśnie mam spotkanie i negocjuję umowę za sto milionów!

Wyobraziłem ją sobie, jak zasłania usta i telefon dłonią, a trzech bankierzy w garniturach po dziesięć tysięcy dolarów, ze złotymi spinkami w mankietach koszul, w jedwabnych krawatach i butach od Louisa Vuittona czy Stefana Bemera niecierpliwie zerkają na zegarki, za które można byłoby kupić mały samochód.

- Sto milionów? Ja jestem wart dużo więcej.

- Byłeś.

Przed oczami stanął mi ranking Forbesa sprzed dziesięciu lat. Najbardziej pożądani inżynierowie korporacyjni. Dwudzieste czwarte miejsce - Ben Stiller, dwadzieścia pięć lat, wartość rynkowa dla pracodawcy: sto dwanaście milionów dolarów. Dlaczego tak mało? Nie wiem, jak to liczono, a wszelkie rankingi uważałem za kretyńskie, ale znalezienie się wśród takich sław jak Steve McNamara, Linda Buiq czy technologzy Apple'a i Lockheed Martina było dużym wyróżnieniem.

Forsę miałem gdzieś. Może dlatego nigdy nie żałowałem, że odszedłem. Gdybym został w SkyComie o rok dłużej, byłoby pewnie dwa albo i trzy razy więcej i miejsce w pierwszej dziesiątce wśród najbardziej pożądanych menedżerów w całej Dolinie Krzemowej.

A teraz? Ile byłbyś wart z sukcesem Wally'ego na karku, Ben? Miliard, może dziesięć miliardów? Ale ty wolałeś uganiać się za duchami i pogrzebać karierę. I to dla kogo? Dla zwykłej dziwki?

Sally nie była dziwką, do diabła.

- Tak? To na ile mnie wyceniasz?

- Powiem ci wieczorem. Zobaczymy, jak się spiszesz.

- Po co odkładać sprawdzian do wieczora? Co powiesz na lunch?

- W motelu?

- Czemu nie?

To niesamowite, ale naprawdę się w niej zakochałem. Nigdy nie mów nigdy. Jeszcze dwa lata temu nie zwracałem w ogóle uwagi na kobiety. Zmieniłem orientację. Powtarzałem sobie: co dobrego miało mnie spotkać w miłości, już mnie spotkało. Nie można dwa razy się zakochać. Na świecie są tylko dwie doskonale pasujące do siebie połówki. Kiedy spotkamy tę drugą i spieszymy sprawę, już po wszystkim.

Mylłem się. Tyle wam powiem.

Bardzo często powtarzałem sobie, że się myliłem.

Mijały miesiące, a ja i Ami cały czas byliśmy na fali wznoszącej. Ćwierkaliśmy do siebie, chodziliśmy objęci po plaży i parku, trzymaliśmy się za ręce i nie szczydziliśmy sobie tych wszystkich drobnych gestów, którymi obsypują się młodzi

kochankowie. Mimo że trwało to już prawie rok, wciąż dość często potrzebowaliśmy motelu.

- Kupię chińszczyznę od Tanga - zapowiedziałem i rozłączyłem się.

Pojechałem do Brentwood, minąłem ulubiony klub golfowy Mike'a, zaparkowałem przy wielkiej palmie obok banku i przeszedłem do małej budy dwie przecznice dalej, w której mieściła się najlepsza chińska knajpka w tej części świata. Tang osobiście przyrządzał wszystkie potrawy, robił je tylko z oryginalnych produktów, sprowadzanych za ciężkie pieniądze z Azji, a dla mnie miał zwykle w pogotowiu jakąś niespodziankę. Niezbyt dobrze mówił po angielsku, więc puszczałem mimo uszu wszystkie jego wpadki, włącznie z tym, że ciągle powtarzał, że mnie kocha.

- *Hallo lover! I love you!*

- Nie powinieneś tego mówić głośno - przestrzegłem, obejmując go mocno.

Wychowaliśmy się wspólnie, znaleźliśmy się od ponad dwudziestu lat. Naszą zażyłość trudno było nazwać przyjaźnią, ale lubiłem Tanga, a on mnie „kochał”.

- Znów chcesz zestaw dla kochanków? No to mam dla ciebie coś, po czym twoja miłość będzie bardzo ostra - zapewnił mnie i w ciągu pięciu minut przygotował dwa opakowania gorących i apetycznie pachnących pierożków, wrzucił je do wielkiej papierowej torby, dodał zupki i sery. - Udław się! - zarechotał z najszerszym uśmiechem, jaki w życiu widziałem.

- Dziękuję, Tan. Zawsze można na ciebie liczyć.

- *You welcome, fucking lover.*

Przed barem stało czterech czarnych chłopaków w za dużych spodniach, świecących odbłaskami koszulkach koszykarskich i identycznych przepaskach na głowach i ramionach. Popatrzyli na mnie spode łba, ale nie zaczęli. Ciekawe, czy to pod ich wpływem Tang zaczął się wypowiadać jak rynsztokowy pływak?

Na San Vicente był korek, więc skręciłem w lewo, a potem cofnąłem się do Dwudziestej Szóstej Ulicy i dojechałem do Montana Avenue. Zaletą miast zbudowanych na zasadzie kratownicy jest to, że w razie jakiejś awarii czy korka

praktycznie zawsze można wybrać drogę zastępczą, chyba że władujecie się na zablokowaną autostradę. To dużo lepsze niż w Europie, gdzie miasta budowano na planie gwiazdy, a wszystkie ulice zbiegają się w centrum.

Nie spieszyłem się. Jadąc ulicą pełną knajpek i butików, gapilem się na wesołych, dobrze ubranych spacerowiczów i turystów. Mimo końca lutego było ciepło i przyjemnie. Czasem tylko znad oceanu nadciągały powiewy suchego wiatru.

Zerknąłem w lusterko, poszukując czarnego mercedesa lub bmw, ale żaden samochód nie skręcił za mną. Zawsze wyobrażałem sobie, że ktoś mnie śledzi, a od zniknięcia Sally i odejścia ze SkyComu mogłem zapisać się do klubu wyznawców teorii spiskowych i poszukiwań szpiegów za każdym rogiem.

Wszyscy jesteście podejrzani.

Zamiast mnie uspokajać, Amanda kazała mi tylko spisywać numery rejestracyjne podejrzanych samochodów, po czym sprawdzała je przez znajomego gliniarza w wydziale komunikacji. Nigdy nie trafiła na nic niepokojącego. Żadnych detektywów, zawodowych zabójców, szpiegów ani dziennikarzy.

Kto inny mógłby cię śledzić, Ben?

W Santa Monica byłem po niespełna kwadransie. Do spotkania z Ami miałem jeszcze godzinę, postanowiłem więc przejść się na plażę. Kocham wodę pod każdą postacią. Od dziecka uwielbiałem sporty wodne i wiedziałem, że kiedyś muszę mieć dom z widokiem na ocean. To mnie napędzało, podobnie jak potem napędzała mnie miłość do Sally. Przebiegłem przez Ocean Avenue, przeszedłem kładką nad autostradą i ruszyłem w dół skarpy na szeroką plażę przy molo.

I właśnie wtedy coś mnie tknęło.

Uczucie, że ktoś mnie obserwuje tak intensywnie, jakby próbował ściągnąć mnie myślami. Przystanąłem i rozejrzałem się. Na trawnikach za balustradami ochronnymi kilka otyłych kobiet ćwiczyło jogę, tuż obok jakiś bezdomny grzebał w pustych kartonowych opakowaniach. Nieco dalej ktoś biegł ze słuchawkami na uszach. Żadna z tych osób się mną nie interesowała.

Wtedy odwróciłem się na północ, w kierunku przejścia nad autostradą... i ją zobaczyłem. Stała na środku kładki i patrzyła wprost na mnie, jakby chciała sprowokować. Piękna jak dawniej, z rozwianymi płomiennymi włosami. Moja Sally, nie do podrobienia. Jedna, jedyna. Stała tam i wyglądała jak żywa, choć przecież to było niemożliwe.

Rozdział 3

Była najlepsza ze wszystkiego, co mogło mnie spotkać. Jedyna i niepowtarzalna. Jak słońce zawieszone na bezchmurnym niebie. Od pierwszego spojrzenia, od pierwszej radosnej myśli, że mam u niej choćby cień szansy.

Poznaliśmy się tuż po moim przyjeździe do SkyComu, kiedy firma założona przez Davona Clarka była jeszcze garażowym liliputem z ambicjami. Biura w halach na peryferiach San Jose z widokiem na Góry Hamiltona i ogromną reklamę nawiedzonego domu pani Winchester sponsorowaną przez PEAR, technologicznego giganta rynku mobilnego, który jeszcze nie przeczuwał, że tu, w niepozornych barakach, rodzi się najgroźniejszy konkurent.

Obok stare garaże, w których wyrastały kolejne klony Oracle, HP i Adobe. W budynkach naprzeciwko młody Steve Jordan wymyślał następcę PowerBooka, a dwie przecznice dalej w głowie Phila Fossa rodziły się koncepcje molekularne i nowe wzorce przetwarzania w chmurze.

Nasza niewielka fabryka była połączona z laboratoriami i szarym, zaniedbanym biurowcem szkolnym z popękkanymi ścianami - pamiątką po trzęsieniu ziemi z roku 1989. Zapełniała go setka gości w T-shirtach, okularach i krótkich spodenkach. Średnia wieku: dwadzieścia lat. Na korytarzach ostrzeżenia przed piorunami, z powodu wiecznie wiszących pod sufitem chmur burzy hormonalnej. I perspektywy przyciągające połowę analityków z Wall Street.

Sally była młodszą asystentką w dziale nowych technologii, w którym dla niepoznaki zacząłem jako projektant, a po tygodniu awansowałem na szefa pionu badań i rozwoju. Devon sądził, że błyskawiczna kariera będzie lepiej wyglądała w korporacyjnych papierach niż powierzenie od razu odpowiedzialnego stanowiska nieopierzonemu Żydowi.

Początkowo trzymała się na uboczu, ale jak tylko całkowicie

przeorganizowałem podległe mi działy, szybko znaleźliśmy wspólny język.

- Ty naprawdę w to wierzysz - powiedziała mi pewnego wieczoru. - Wierzysz, że zrobimy rewolucję.

- Wierzę - przyznałem. - Wierzę w ludzi.

Firma to ludzie. Bez nich nie dałoby się osiągnąć sukcesu, choćbyśmy wpompowali w Wally'ego morze forsy.

Przegadaliśmy niemal całą noc, jednocześnie - o dziwo - odwalając kawał dobrej roboty. Tydzień później zaprosiłem ją na kolację i spróbowałem pocałować na parkingu.

- Nie jestem łatwa - powiedziała.

Nie bardzo wiedziałem, jak zareagować, więc wypaliłem:

- A czy ja wyglądam na kogoś, kto szuka łatwych dziewczyn?

Thumiąc śmiech, przez jakiś czas taksowała mnie spojrzeniem, a potem zaprosiła na górę, zaznaczając od razu, że będę spał na kanapie. O piątej rano stwierdziła, że w zasadzie kanapa jest wygodniejsza niż łóżko i kazała mi się posunąć. Mimo otwartego okna było bardzo ciepło i duszno. Spociałem się w sekundę, a potem... Potem przestałem się tym przejmować. To był wyjątkowo gorący poranek.

- Nie mogę uwierzyć, że nie spróbowałaś - piekliła się przy śniadaniu. - Jeśli dziewczyna zgadza się spędzić z tobą noc, musisz spróbować ją przelecieć! Nie wolno nie próbować.

- Przecież powiedziałaś, że pod żadnym pozorem nie wolno mi opuszczać kanapy.

- Tak tylko się mówi.

- Aha. Jednak w końcu do mnie przysłaś.

Prawdę mówiąc, bardziej od seksu cenilem wszystko to, co następowało po nim. Owszem, wspaniale było się z nią kochać, czuć tę nieposkromioną energię, młodzieńczy wigor i zapał, z jakim oddawała się miłości, ale pierwszy raz w życiu miałem wrażenie przebywania z bratnią duszą, z kimś, kto rozumie mnie bez słów, z kim czułem nie tylko fizyczną więź, także wtedy, kiedy bez żadnego skrępowania leżeliśmy obok siebie zupełnie nago. Tak samo musieli czuć się kiedyś Adam i Ewa. Jakbym znał ją od zawsze, czekał na nią przez te wszystkie lata, obchodząc z daleka możliwe związki, unikając kuszących, choć

oczywistych porażek. Jedna noc, jeden ranek, a ja już wiedziałem, że to ta jedyna, mój najlepszy przyjaciel, któremu jestem skłonny powierzyć każdy sekret.

- Mogłabyś być moją siostrą. Tak właśnie się czuję.

- Masz siostrę?

- Brata. Ale nie jesteśmy blisko.

- Dlaczego?

- Mamy różnych ojców. Mike urodził się później, kiedy mama wyszła za mojego ojczyma.

- To problem?

- Myślę, że każdy z nas chce być lepszy od drugiego. To jest prawdziwy problem.

- I który jest lepszy?

Sama niechętnie mówiła o swojej przeszłości i rodzinie. Odpowiadała półsłówkami, zmieniała temat niemal od razu, kiedy poruszałem te kwestie, i wymyślała przeróżne fortele, bylebym się odczepił. Trochę mnie to dziwiło. Mogła przecież zwyczajnie powiedzieć: nie chcę o tym gadać, a ja bym więcej nie pytał. Z drugiej strony może chciała mi dać subtelny znak, żebym sam się domyślił i przyjął ten stan rzeczy, jakbyśmy mieli jakiś wspólny mały sekret. Ja wiem, że ty wiesz, ty wiesz, że ja wiem, ale oboje udajemy, że nic nie wiemy.

Przeszłość to tajemnice. Niech zostaną nieodkryte.

Każdy ma sekrety, o których nie chce mówić.

Chętnie za to rozmawiała o wszystkim innym i była w tym tak naturalnie ujmująca, że postanowiłem darować sobie wszelkie dociekania na temat zagadek jej przeszłości. Niech zostaną w zamkniętej szafie. W gruncie rzeczy, co mnie obchodzą?

Wystarczy, że mam Sally, mam jej nieskrępowany śmiech, wesołe usposobienie, wspaniałe ciało i pomysły na każdy dzień, jak przystało na artystkę. Tak, była artystką i powinna iść w tym kierunku, a nie pracować za psi grosz w firmie informatycznej. Nie miałem pojęcia, dlaczego haruje jako asystentka, mogąc zarabiać krocie swoimi obrazami.

- Boże, to naprawdę ty! - wykrzyknąłem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem jej dzieło.

Obraz przedstawiał wielką głowę przypominającą dziwną

planetę, która mogła być zarówno wizerunkiem człowieka, jak i zwierzęcia. W obrazie było coś niesamowitego: jakaś nadzieja i coś przerażającego, jakby świadomość przemijania i melancholijny kres życia.

- Ja? - uśmiechnęła się pod nosem.

- Obraz - wyjaśniłem. - To naprawdę ty namalowałaś?

Nie odpowiedziała, bo przecież to było oczywiste. Ciało miała pobrudzone farbami. W dłoniach trzymała pędzel i paletę. Z buzią umorusaną błękitem i pastelami na włosach. Dużo później nauczyłem się rozpoznawać po jej ciele, kiedy miała ochotę malować albo czy niedawno odeszła od sztalugi. Stopień ekscytacji i podniecenia był tak wielki, tak seksualny i niezwykły, że nie mogłem mieć wątpliwości.

To było jej przeznaczenie.

Dlaczego więc pracowała ze mną?

- Jest świetny. Powinnaś wystawić go na jakąś aukcję.

Spodziewałem się, że skromnie zaprzeczy, jednak ona wiedziała, że mówię prawdę, że to nie jest byle jaka pochwała kochanka.

- Potwór.

- Potwór?

- Tak go nazwę.

Spojrzałem jeszcze raz. Mógł przedstawiać wszystko, ale nie potwora.

- Nie jest straszny.

- Potwór nie musi być straszny.

- Czyżby?

- Tylko od niego zależy, czy stanie się straszny, czy nie.

Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Wszystko, co przychodziło mi na myśl, wydawało się głupie.

- Idę popływać.

To była jej druga pasja: pływanie. Kiedy zanurzała się w wodzie, przypominała syrenę. Jakby należała do wodnego świata. Smukła, jasna strzała przemykająca tuż pod połyskującą błękitem powierzchnią. Falujące delikatnie ciało, nagle wynurzenie i precyzyjnie wyćwiczone, mocne, wyrachowane uderzenia ramion. Każdy ruch wydawał się tak

naturalny i wspaniały. Kiedyś próbowałem dotrzymać jej kroku na basenie, ale odpadłem po zaledwie dziesięciu metrach. Do diabła, byłem pewien, że wyprzedzam ją o dwie długości ciała, a tymczasem ona była już daleko z przodu. Wściekle biłem ramionami, zagarniałem wodę najmocniej jak potrafiłem, a i tak nie mogłem jej dogonić.

- Nie gniewaj się - powiedziała potem.

- Za co miałbym się gniewać?

- Że nie dałam ci forów.

- No wiesz!

- Mężczyźni czasem myślą, że powinni wygrywać z dziewczynami. Lubią wygrywać. Strasznie ich wkurza, jeśli jest inaczej.

- Nie wkurzam się. Jestem tylko... zaskoczony.

Wprowadziła się do mnie na dzień przed świętami Bożego Narodzenia, nie rezygnując jednak z własnego mieszkania. Na wszelki wypadek - tłumaczyła. Była ateistką, a ja nie miałem do kogo jechać na Wigilię. Zrobiliśmy skromną kolację, a potem oglądaliśmy stare filmy. Oboje lubiliśmy stare filmy, takie bez efektów specjalnych i ciągłego oczopląsu. Wszystkie 3D i inne duperele nas nie interesowały.

- To dziwne, że gość, który ma tworzyć wizje przyszłości, woli stare kino.

- Dlaczego?

- Powinieneś szukać inspiracji w nowoczesnych rozwiązaniach.

- Stare kino i książki wciąż mogą inspirować. Wiesz, że wolę pracować przy Louisie Armstrongu i Franku Zappie niż przy Snoop Dogu, Eminemie czy nawet Amy Winehouse?

Specjalnie ją wymieniłem. Sally bardzo przypominała tę artystkę, nie tyle z urody, bo przecież była blondynką, ile z jakiejś takiej zadziorności w spojrzeniu i wyrazie twarzy.

- Dziwny z ciebie facet.

Ja? Pomyślałem o jej zdolnościach i roześmiałem się. I kto to mówi?

- Podobno kobiety kochają dziwnych facetów.

- Tylko przez jedną noc. Tacy nie nadają się do stałych

związków.

A kobiety malujące jak Gauguin czy Munch i pływające niczym żeńska wersja Phelps'a? Czy takie kobiety nadają się do stałych związków? Można je kochać i zachować tylko dla siebie? Bo przecież w stałych związkach o to chodzi. Chodzi o to, żeby zabrać piękno, zawłaszczyć je, schować przed innymi, nie pozwolić go odebrać.

- Na pewno się nie nadają?

Wiosną tego roku SkyCom ogłosił dziesięcioletnią strategię, w której zapowiedział wprowadzenie akcji na NASDAQ. Wally powoli zyskiwał na rozgłosie. W korytarzach banków inwestycyjnych przebąkiwano, że szykuje się technologiczny przełom, a szpiegzy PEAR czy innych i czołowych korporacji szykowali się na marketingowy szok. W firmie pojawili się audytorzy, specjaliści od cięcia kosztów i bankowcy inwestycyjni, którzy nie mieli zbyt wiele ciekawego do powiedzenia, więc uwielbiali gryźć końcówki ołówków. Wtedy właśnie poprosiłem Sally o rękę i dostałem pierwszego kosza.

Rozdział 4

- Nie mogę za ciebie wyjść.

- Dlaczego?

- Przecież nic o mnie nie wiesz.

Ale to, co wiedziałem, całkowicie mi wystarczało. Kochałem ją, do diabła! I gotów byłem to udowodnić. Ona jednak poczuła się osaczona i teraz znów częściej sypiała w swoim starym mieszkaniu, którego wciąż nie chciała się pozbyć i gdzie ciągle miała pracownię malarską.

- Czasem potrzebujemy samotności. Ja jej potrzebuję.

Zdarzały się chwile, że podobała mi się ta niezależność, bywała wygodna, ale ogólnie czułem... strach. Tak jakby głupi świstek papieru, przysięga czy jeden wspólny dom dawały mi większe prawa. A przecież uczuciami nie da się kupczyć.

W tym czasie SkyCom przestał już ukrywać swój sztandarowy produkt i oficjalnie rozpoczął prace nad wdrożeniem prototypu Wally'ego do seryjnej produkcji, co trochę oderwało mnie od myślenia o uczuciach. Oboje mieliśmy masę pracy. Zarząd przerzucił mnie z działu badań do nowo utworzonego pionu produktów kluczowych, a potem, jak tylko pchnąłem do przodu wszystkie projekty konstrukcyjne komunikatora, zaproponował stanowisko głównego technologa.

- Kto miałby nim zostać, jeśli nie ty? - przekonywał Devon na zebraniu z pracownikami. - Ben Stiller, autor pierwszej linijki kodu Wally'ego. Powinieneś go opatentować, Ben, a potem sprzedać nam za miliony dolców. Ale ty wolałeś zrobić to dla SkyComu, dla nas wszystkich. Podzielić się swoim sukcesem. Brawa!

Ja też klaskałem, po czym odparłem skromnie:

- Na tym polega moja praca, Devon.

Chyba cenił we mnie właśnie ten umiar i wstrzemięźliwość w wyrażaniu radości. To on był od krzyków, rozdierania koszul i

biznesowych skoków na bungie, całego tego szalu kreowania sztucznej rzeczywistości uwielbienia dla korporacyjnego geniuszu. Aplauz go napędzał, był źródłem energii. Koniecznością i potrzebą.

Awans miał dobre i złe strony, przy czym ani trochę nie wpłynął na moje zabiegi wobec Sally. Zdawało mi się, że jesteśmy bliżej, kochaliśmy się coraz mocniej, a jednak ona unikała jakichkolwiek rozmów o przyszłości. Nie wiedziałem, czy boi się perspektywy założenia rodziny, dzieci, codziennych obowiązków, może czuje się po prostu za młoda na wrzucenie w codzienny kierat, a może...

- Chodzi o karierę? Obawiasz się, że nie pozwolę ci się rozwijać?

Zmierzyła mi włosy i śmiała się długo, pieszczotliwie. Nie była zła za to idiotyczne pytanie.

- To ty robisz karierę, ja po prostu pracuję.

- Jesteś moją muzą.

- I tak niech zostanie.

Codziennie musiałem znosić zmienne humory Clarka, a przynajmniej raz w miesiącu wizytację jego analityków, potencjalnych inwestorów i dziennikarzy. Czasem przychodziły takie typy, że bardziej pasowały na gangsterów niż członków establishmentu. Devon coraz częściej organizował też narady szefów wszystkich pionów i w końcu oświadczył, że Wally staje się naszym głównym projektem, a wszystkie działy mają się dostosować do postępów pionu Stillera.

- Stiller! - Musiał wywołać mnie po raz drugi. - Benie Stiller, twoje dziecko właśnie zdało pierwszy egzamin. Czas wypuścić je na szersze wody.

- To twoje dziecko, Devon - poprawiłem go z grzeczności.

To musiała być okropna wiadomość dla wszystkich, którzy rozwijali inne technologie. Mieliliśmy wspaniały dział oprogramowania biznesowego, bardzo obiecujący pion rozwiązań sieciowych, znakomite kioski inteligentne. To były dotychczasowe lokomotywy SkyComu, pomnażające zyski, dobrze się rozwijające, zwiększające wartość firmy. A Wally? Był nadzieją. Tylko i aż nadzieją.

Patrzyłem na twarze przyjaciół, którzy nagle zdali sobie sprawę, że zostali odstawieni na boczny tor, że to Stiller wygrał wyścig szczurów i prawdopodobnie wkrótce wygrzie ich do końca, że pozostałe projekty zostaną zarzucone albo sprzedane konkurencji. Przestali być *core* biznesu korporacji Clarka.

- To kwestia skali i wizji - powiedział kiedyś Devon, zatrzymując mnie w swoim gabinecie. Właśnie skończyło się posiedzenie zarządu. Nie czekając aż wszyscy wyjdą, Clark zdjął marynarkę i krawat, rozpiął koszulę i zaproponował mi drinka. Devon Clark proponuje drinka Benowi Stillerowi. Piękny byłby z tego obraz do kolejnej prześmiewczej powieści Houellebecq'a. Jed Martin z pewnością namalowałby taką scenę. - Oni nie rozumieją, że tylko nowe idee tworzą potęgę. Spójrz na Apple czy Microsoft. Oni nie powielali tego, co jest, tylko tworzyli coś nowego, niezwykłego, niespotykanego. Odwaga, to jest wartość każdego biznesu. Pomysł i odwaga.

- Nie wszystko zawsze się udaje - powiedziałem ostrożnie i zasugerowałem: - Może za szybko próbujemy to zrobić, Devon?

Spiorunował mnie wzrokiem.

- Wally odniesie sukces. Jestem tego pewien.

- Ja też. Ale czy wiesz, o co mi...

- Dość. Mieliśmy o tym nie rozmawiać.

- Jak chcesz.

- Potrzebuję cię, Ben. Potrzebuję cię bardziej niż wszystkich tych gogusiów, którzy nie są w stanie zmienić swojego myślenia. Tylko rewolucja burzy ustalony porządek rzeczy. Ty to rozumiesz, prawda, Ben?

Wiedziałem, co ma na myśli. Trzy czwarte firmy chciało rozwijać się liniowo, powolnymi krokami budując przewagę SkyComu na rynkach, na których już byliśmy obecni lub mieliśmy realne szanse powalczyć o kawałek tortu. Mniejszy czy większy, w każdym razie wystarczająco duży, by dojść do kolejnej bariery rozwojowej. Iść prostą, bezpieczną drogą. Wszystko wskazywało na to, że możemy zająć dobre miejsce w środku stawki średnich firm technologicznych na giełdzie.

Każdy z menedżerów zarobilby na dom nad oceanem i wakacyjną podróż dookoła świata.

Po co im więcej? Czemu mieliby robić rewolucję? Po co ryzykować?

Prace badawcze były zawsze najkosztowniejsze i nie dawały wielkich nadziei na zwroty. Ileż to razy przełomowe projekty ginęły na śmietniku, tak jak miliardy dolarów, które pochłonęły. A jeśli pojawiało się coś takiego jak Wally, każdy zdawał sobie sprawę, że jego wprowadzenie na rynek oznacza wejście na poziom ryzyka, który może doprowadzić do upadku firmy. Albo dać jej solidnego kopniaka w górę i wywindować do poziomu Microsoftu, Apple czy IBM.

Devon wyczuwał szansę, tak jak wcześniej jego ojciec. Wiedział też, że jeśli mu się uda, zagra ojcu na nosie, co było niemożliwe w przypadku wyboru mniej ryzykownej drogi. To była jego gra. Wirtualna, korespondencyjna wojna tego samego genotypu.

- Nie są gotowi do gry w pierwszej lidze - zakończył naszą dyskusję.

Kilka tygodni później wymienił połowę zarządu, wystawił na sprzedaż działy biznesowe niepotrzebne do rozwoju Wally'ego i zaproponował mi stanowisko wiceprezesa do spraw produkcji. Nie czekał na odpowiedź. Po prostu zrobił to i przekazał swoją decyzję. Krótkie, jednoznaczne oświadczenie. Teraz jesteś prezesem, Ben. Jedziemy na tym samym wózku. Ponosimy taką samą odpowiedzialność. Taki już miał charakter. Wieczorem tego samego dnia zaproponował wspólną kolację i zaprosił do odwiedzenia swojej posiadłości na Clark Island.

- Weź kogoś ze sobą, będzie miło.

Przymknąłem oczy, mocno zaciskając zęby na wspomnienie tamtego wieczoru. Ja, Sally, Devon i Maria. Piękna, wspaniała Maria, która tak szybko znalazła wspólny język z Sally, zaopiekowała się nią i otuliła ciepłem jak siostrę. Oczy Devona płonęły, ilekroć na nią spoglądał. Nachylał się do mnie i mówił:

- Jest najwspanialszą kobietą na ziemi, Ben... Moja Maria.

- Wierzę.

- A ty i Sally? Nie wiedziałem, że jesteście razem. To coś

poważnego?

Tak, to było coś poważnego. Skinąłem tylko głową.

- Wspaniała dziewczyna. Nie zwlekaj, bracie, bo ktoś ci ją zwinie sprzed nosa. Jak najszybciej weźcie ślub. No, chyba że czekasz, aż zostanę prawdziwym multimilionerem i będę mógł podarować wam najnowszy model jaguara w prezencie ślubnym - roześmiał się.

Rozejrzałem się po tej niesamowitej posiadłości na Clark Island i o mało nie warknąłem ze złością: jesteś zepsutym wałem, Clark. Masz własną wyspę, piękny secesyjny dom, łódź pełnomorską, helikopter i ciągle chcesz więcej. Już jesteś multimilionerem. Nic cię nie obchodzą biedne dzieci w Afryce, ludzie umierający z głodu i dziewczynki sprzedawane przez ojców w Azji. Ale czy ja sam byłem lepszy? Też interesował mnie tylko... postęć. Tylko mój Wally.

I Sally.

Sally, która jeszcze parę godzin temu drżała ze strachu, że nie poradzi sobie w towarzystwie Devona, a teraz promieniała urodą, ciepłem i pewnością. Choć w jej oczach wciąż było to coś, co mnie niepokoiło. Nie strach. Coś zupełnie innego, czego nie potrafiłem zrozumieć i zinterpretować.

- Nie patrz tak. - Clark wyrwał mnie z rozmyślań. - To wszystko należy do mojego ojca, nie do mnie. Podarował mi wyspę, żebym zawsze wiedział, że nie będę w stanie dojść do tego, co on.

- Na pewno dasz radę, Devon - odparłem głupio.

Popatrzył z błyskiem w oku. Było w nim coś złego, czego również nie rozumiałem. Nie tylko potrzeba osiągnięcia sukcesu, udowodnienia wszystkim, że potrafi, nawet stosując niedozwolone czy kontrowersyjne metody. Nie, to było coś jeszcze gorszego. Zachłanność i chciwość doprawiona przebiegłością.

A może to ze mnie był gówniany psycholog, który nie potrafi zwyczajnie odczytać sygnałów dawanych przez ciała kochanki i przyjaciela? Wtedy jeszcze tego nie rozumiałem. Jeszcze uwielbiałem Devona, bo mnie docenił i dał mi szansę. Nie chciałem dostrzec tego, co kryło się w jego wnętrzu.

Tak jak nie chciałem dostrzec sygnałów wysyłanych przez Sally.

- Pewnie, że dam radę - odparł, kończąc dyskusję, jakby bał się, że możemy zejść za daleko. - Pływałeś kiedyś trzydziestometrowym jachtem, Ben?

Dwa dni na Clark Island naładowały mnie energią na cały miesiąc. Clark miał rację. Było miło, cholernie miło. Tak zaczęła się nasza przyjaźń - przyjaźń, która mogła przetrwać do końca życia, gdyby nie to, co się wydarzyło.

Tymczasem na testach Wally prezentował się znakomicie: był elastyczny, oprogramowanie sterujące współpracowało ze wszystkimi platformami i systemami operacyjnymi, a awaryjność hardware'u nie przekraczała pięciu procent. Analitycy nie mieli wątpliwości. Tak dobrych wyników nie uzyskało dotąd żadne urządzenie w historii. I żadne nie było tak wyjątkowe jak Wally.

Wszystko wydawało się dopięte na ostatni guzik i przygotowane do premiery. Pion produkcji zarezerwował już linie w fabrykach w Tajlandii, Wietnamie i Irlandii, marketing miał opracowaną całą strategię promocji, rozwijaliśmy sieć partnerów i sprzedawców, handlowcy i dystrybucja podsycali umiejętnie zainteresowanie, zapewniając „w sekrecie”, że Wally będzie przełomem.

Bo też miał nim się stać.

Po serii prezentacji Devon zapowiedział, że akcje SkyComu jesienią przyszłego roku trafią na giełdę, a w grudniu z hukiem wejdzie na rynek nasz najnowszy produkt, który stanie się ikoną firmy.

Moje dziecko. Moje i Devona. I kogoś jeszcze, czyj cień wisiał nad tym projektem od początku, choć wmawiałem sobie, że tak nie jest. Może to on sprawiał, że praca pochłaniała mnie w stu procentach i może przez niego nie zauważyłem, że coś złego zaczęło dziać się z Sally.

Zadawałem sobie te pytania miliony razy przez dziesięć lat.

Czy gdybym nie był takim cholernym dupkiem, zapatrzonym w siebie draniem, dostrzegłbym, że coś jest nie tak?

Czy mógłbym pomóc Sally i uchronić ją przed śmiercią?

Rozdział 5

Amanda była już w pokoju i od razu zauważyła moje roztrzęsienie. Jej opaloną, trochę latynoską twarz zdobiły starannie przyszczyżone tuż nad szyją połyskujące czarne włosy. Oczy przypominające duże guziki emitowały emocje niczym telewizor. Nie potrafiła ich ukryć. Była jak otwarta księga: jeśli się na kogoś wściekała, od razu dało się to wyczuć. Podobnie jak miłość albo rozbawienie. Mogłem ją bez trudu otworzyć na dowolnej stronie i przeczytać. Ja dla niej pewnie wciąż stanowiłem zbiór pokreślonych zdań w brudnopisie. Mimo to potrafiła doskonale odczytywać te bazgroły. Wystarczyło jedno spojrzenie i już wiedziała, że się rozklejam. Wahalem się tylko chwilę, czy opowiedzieć jej o zjawie na kładce.

- Widziałem Sally.

- Sally?

Nie od razu zorientowała się, o kim mówię. Skinąłem głową. Dopiero wtedy zrozumiała.

- Stała na przejściu nad autostradą - dodałem.

- Gdzie?

- Tutaj.

Wskazałem za okno w kierunku, w którym za skarpą, pasem zieleni i palm biegła Pacific Coast Highway.

Wyczuła, że się rozklejam. Coś sprawiało, że nadawaliśmy na tych samych falach, na których porozumienie można uzyskać bez słów. W gruncie rzeczy ona wydawała mi się taka prosta i nieskomplikowana, a może to była tylko poza przyjęta z powodu mojej sytuacji i świadomości tego, co musi dziać się ze mną w środku. Może całkowicie błędnie odczytywałem wysyłane przez nią sygnały?

- Daj spokój. Przecież to nie mogło się zdarzyć. Sally nie żyje.

Pokręciłem głową. Oczy zaszyły mi łzami.

- Mówię ci, to była Sally! Była taka...

- ...podobna - wpadła mi w słowo, przytulając mnie mocno.

- Nie cofniesz czasu. Przykro mi.

Nie miała racji. Sally była nie do podrobienia. Jedyna w swoim rodzaju. Bez względu na to, jak próbowałbym to ukryć, cokolwiek usiłowałbym sobie wmówić, prawda zawsze wychodziła na wierzch. Wylewała się ze mnie jak kipiące mleko, jak jakaś przekłeta, skażona przez obcych substancja. Błob zabójca. Oglądaliście filmy o Blobie zabójcy? A może był tylko jeden. Tylko w ten sposób daję sobie z tym radę. Myśląc o czymś zupełnie absurdalnym. Wtedy czasem się śmieję. Niestety coraz częściej przez łzy.

- Przepraszam - wyszeptałem.

Powinienem ugryźć się w język, nie powinienem jej mówić. Za późno. Chyba ją to trochę ubodło, bo zobaczyłem cię przemykający przez jej twarz.

- W swoim życiu spotkałem dwie wyjątkowe kobiety: Sally i ciebie, dobrze o tym wiesz. Gdybyś to ty pojawiła się na tej kładce, też nie miałbym wątpliwości.

- Ja żyję - przypomniała z głośnym westchnieniem. - Ona nie.

- Wiem.

- Więc uspokój się. Nie możesz wierzyć w coś, co nie istnieje.

- Tak, oczywiście.

Tak czy inaczej, wieczór był już spieprzony. Przeze mnie. Gdybym się nie rozkleił, mogło być jeszcze miło, a tak pozostało się tylko upić. Nawet żarcie Tanga nam nie smakowało.

Wieczorem poszliśmy do nocnego klubu i tańczyliśmy. Nie mogłem przestać myśleć o Sally i Amanda to widziała. Starła się ukryć niezadowolenie, ale mnie nie zwiodła. Jej wesoły śmiech podczas płaśów w rytm płomiennej salsy zawisał w powietrzu jak sztuczny efekt świetlny albo dym po wystrzeleniu flary. Nie miał nic wspólnego z rzeczywistą radością. Patrzyłem na niezbyt wysoką, mocno zaokrągloną na piersiach i biodrach sylwetkę Amandy i zrobiło mi się dziwnie smutno. Nie

powiniennem tu być. Powiniennem wciąż płakać za Sally i nie wciągać nikogo w moją rozpacz. Smutek nie potrzebuje towarzystwa. Nie powinien być rozpylany przez takich jak ja: przegranych. Otoczenie nie zasługuje na to, byśmy obarczali je swoimi demonami. Ma ich wystarczająco dużo do zwalczania i robi to, nie oglądając się na jednostki.

Jestem draniem, myślałem. Zwykłym, chrzanionym draniem.

Z drugiej strony, może trochę przesadzałem. Ona też miała przecież swoją przeszłość, której echa towarzyszyły nam do dziś. Nie miałem pretensji, kiedy dzwonił do niej były mąż, a ona wciąż rozmawiała z nim tak, jakby wcale się nie rozstali.

Może przyczyna leżała w tym, że ona nigdy nie opowiadała mi o swoich byłych, a ja opowiedziałem jej wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami. Do motelu wracaliśmy spacerem.

Amanda unikała moich objęć. Szła z boku, krok ode mnie.

- Liczysz się dla mnie tylko ty. - Nawet w moich uszach zabrzmiało to sztucznie. Kolejne durne zdanie w moich ustach. Tak bardzo się starałem, żeby zabrzmiało naturalnie. Za bardzo. Wtopa na całego.

Nie odpowiedziała. Szła ze zwieszoną głową i kopała kamyczki.

- Nie musisz tego robić - rzekła wreszcie.

Przemknęło mi przez głowę, że ma rację. Nie musiałem tego robić. Nie musiałem myśleć o Sally, wspominać jej i zadreć się pytaniami o jej śmierć. Nie musiałem doprowadzać do jej zmartwychwstania, budzić trupa, ożywiać w swoim umyśle i przywoływać wspomnień. Niczego nie musiałem. Mogłem zapomnieć i przejść nad tym do porządku dziennego.

I co by się wtedy stało?

Czy nadal byś mnie kochała, Amando?

Czy nadal kochałabyś mnie, wiedząc, że nic nie zrobiłem, by ją ocalić?

Rozdział 6

Nazajutrz z samego rana podjąłem ostateczną decyzję. Trzeba było z tym skończyć, im szybciej tym lepiej.

Poczekalem, aż Amanda ruszy do pracy, po czym wyjąłem z notesu wizytówkę, którą dostałem kilka miesięcy temu od Mike'a, zadzwoniłem i od razu umówiłem się na spotkanie.

Do Downtown dotarłem autostradą w niespełna godzinę. Nie było korków. W ogóle ruch był tego dnia niewielki. Przez jakiś czas towarzyszył mi policyjny śmigłowiec, potem zastąpił go niewielki robinson wykorzystywany przez stację telewizyjną. Pomyślałem o Devonie. Z całą pewnością mógłby wynająć śmigłowiec, żeby mnie śledzić. Miał dość forsy, żeby wykupić dwudziestoczterogodzinną inwigilację z powietrza, a nawet zamówić satelitę. Dziesięć lat temu chyba nawet wynajął. Dziś dał mi spokój. Ale to się zmieni. Wystarczy, że zadzwonię i powiem mu o tym, kogo zobaczyłem na kładce, a to się zmieni.

Przy West Adams była jakaś obława policyjna i kierowcy zwalniali, żeby obejrzeć czarnych chłopaków popychanych i szarpanych przez nawołujących się za pomocą radiotelefonów policjantów ze strzelbami i długimi pałkami. Gliniarze ocierali pot z czoła, wzdychali ciężko i podciągali zsuwające im się z tyłków spodnie. Prawie wszyscy byli nieco za grubi. Przechodzicie testy sprawnościowe? Złapałibyście tych dzieciaków, gdyby nagle zaczęli uciekać? Nie, wolelibyście ich zastrzelić, a potem wymyślić bajeczkę o zagrożeniu życia.

Nie lubiłem gliniarzy.

Wzdrygnąłem się, jakbym tam był.

Nigdy nie popychał mnie żaden gliniarz, nie miałem na rękach kajdanek, co z pewnością się zmieni. To doświadczenie jest dopiero przede mną.

Zjechałem z autostrady; mijając Convention Center, pomyślałem o Luckmanie, któremu mój ojciec rzekomo naprawiał kiedyś samochód, czym chwalił się potem

miesiącami, jakby to było jakieś wielkie wydarzenie, jakby Luckman był co najmniej gwiazdą rocka czy telewizji, a nie zwykłym architektem. Następnie wbiłem się pomiędzy wieżowce w centrum i poszukałem miejsca do zaparkowania, w którym mojemu pojazdowi nie groziłby żaden samobójca spadający z drapacza chmur. Na Wallnecie widziałem grupę, która nawoływała do takiego protestu przeciw rosnącym wpływom korporacji finansowych. Rzućmy się wszyscy z dachu ich wieżowców. Jeden biedak posłuchał i na nieszczęście spadł na kogoś. Zabił siebie i kobietę, która wcale nie chciała ginąć za ideę. Z samobójcy przeistoczył się więc w zabójcę.

Zabójcę, który wymknął się sprawiedliwości.

Kancelaria Helen Berg mieściła się w jednym z biurowców przy Trzeciej Ulicy. Otoczona drapaczami chmur okupowanymi przez banki i instytucje finansowe, wydawała się duszna i jakby stłamszona. Z okien poczekalni widać było Departament Sprawiedliwości, w którym Helen miała ostatnio tyle spraw do załatwienia w imieniu klientów podsyłanych przez Mike'a.

Przyjęła mnie kwadrans po czasie i przeprosiła za to, że musiałem czekać. Miała na sobie zgrabny, czarny kostium, była piekielnie wysoka i chuda. Mało kobieca twarz trochę przypominała afrykańskich czarowników z jednego z filmów, jakie Mike nakręcił w Afryce. Bardzo mocna opalenizna i makijaż nie zdołały ukryć brzydoty ostrych, ptasich rysów. Głęboko osadzone, małe i ruchliwe oczka patrzyły z wyraźnym dystansem i niechęcią. Berg nie należała do sympatycznych osób, nikt nie zatrudniłby jej do reprezentacji firmy, chyba że zależałoby mu na odstraszaniu klientów.

Uśmiech także miała mało przyjazny.

- Witaj, Ben. Mike wspominał, że możesz mieć do mnie sprawę.

Głos miała za to zadziwiająco śpiewny i gładki. Nie wiedziałem, jakie relacje ich łączą, więc wołałem nie komentować.

- Rzeczywiście. Dziękuję, że tak szybko mnie przyjęłaś.

- Dobrze trafiłeś. - Zerknęła na zegarek. - Akurat miałam wolne, bo zastrzelono mi klienta, który miał tu dziś siedzieć na tym miejscu, o tej porze. Trzy kule w piersi wystrzelone z

uzi. Założę się, że nie złapią sprawcy.

- Może sam zgłosi się do ciebie, żebyś go bronila.

- Kto wie...

- Dziwnie się czuję, zastępując trupa - zazartowałem z wymuszonym uśmiechem na twarzy.

- Nie ma co go żałować. Był niezłym draniem.

- Podobno twoi klienci to w większości dranie. Niektórzy wyjątkowi.

Przypomniałem sobie wszystkie artykuły o złej Helen Berg, która zamiast poszukać

sobie niewinnych klientów, bronila straszliwe męty, często skutecznie. Zła Helen, Czarna Helena, BbS - Berg bez Sumienia, tak ją nazywano po tym, jak doprowadziła do uniewinnienia Joachima Buhwalta, bezwzględного drania oskarżonego o porwania, przetrzymywanie, torturowanie i wreszcie zamordowanie trzech kobiet w jego domu. Helen podważyła dowody zgromadzone przez policję, podkreśliła wielokrotne złamanie procedur oraz błędy w śledztwie, które uniemożliwiały skazanie Buhwalta - chyba że sam by się do wszystkiego przyznał. Buhwalt nie zamierzał się przyznawać. Z uśmiechem stwierdził, że jest niewinny i to ktoś zupełnie inny musiał zamordować te kobiety w jego domu. Czerwony ze złości prokurator musiał przełknąć gorycz porażki. Na jednym ze zdjęć w „Los Angeles Timesie” patrzył na nią, jakby chciał gołymi palcami wyrwać jej serce. Kiedy zapytano ją o ten wzrok, odparła podobno: „Chciał mi wyrwać serce? Ja nie mam serca”.

- Myślisz o Joachimie? - roześmiała się. - Nie jestem od oceny moralnej, tylko od tego, żeby pilnować przestrzegania zasad obowiązujących w państwie prawa. Policja ma za zadanie udowodnić winę, a nie preparować dowody. Moja rola to bronić klienta najlepiej jak umiem. Zresztą, jak wiesz, nie skończyło się to dla niego dobrze.

Buhwalta zastrzelił ojciec jednej z zamordowanych kobiet. Drań niedługo cieszył się wolnością. Zginął tuż po uwolnieniu, przed gmachem sądu. Wściekły zabójca wywalił w niego cały magazynek, po czym odłożył pistolet i czekał spokojnie na

policję. Stróże prawa wcale nie kwapili się z założeniem mu kajdanek. Wielu miało dzieci, zrobiliby to samo, gdyby to ich spotkała taka... sprawiedliwość. A co wy byście zrobili, gdyby jakaś łajza zgwałciła i zamordowała wam córkę? - pytał przysięgłych podczas własnego procesu.

- Broniłaś też zabójcy Buhwalta - przypomniałem.

Wtedy media uznały to za zabawny i interesujący zwrot sytuacji, na chwilę wzięły jej stronę, choć nie brakowało złośliwych, którzy wytykali jej koniunkturalizm i właśnie takie pokierowanie sprawą, by wzbudzić emocje i zapewnić sobie jeszcze większą reklamę. Uważano, że Helen robi wszystko dla kasy i rozgłosu. Mike przekonywał mnie, że jest inaczej, a ja mu wierzyłem.

- Wiem, co chcesz powiedzieć - uśmiechnęła się lodowato. - Muszę cię jednak zawieść. Nie planowałam tego. Nie wybroniłam Joachima, żeby można było go dopaść i zabić. Nic nie wiedziałam o morderczych planach tego biednego ojca. Robiłam, co do mnie należało.

- Jego za to nie udało ci się wybronić - wymamrotałem.

Zabawne, sprawca odrażających zbrodni nie poniósł kary, a moralnie usprawiedliwiony człowiek wymierzający sprawiedliwość poszedł do więzienia. Tak ma wyglądać sprawiedliwość?

- Dostał dziesięć lat - przyznała. Zabrzmiało to jak: dostał „tylko” dziesięć lat.

Przecież mógł dostać znacznie wyższy wyrok.

Straciła też sympatię mediów, gdy niedługo później podjęła się obrony jednego z najokrutniejszych zabójców z dzielnicy gangów. Helen chyba się tym nie przejmowała, sądząc po wywieszonych na korkowej tablicy wycinkach z obelgami pod jej adresem. A może lubiła się tak maltretować dla podniesienia progu bólu?

- Lubisz się tak katować? - zapytałem, wskazując na wycinki.

- Prowadzę tylko sprawy o zabójstwo, nie dziw się więc, że moi klienci wzbudzają emocje.

- Szczególnie kiedy ich wina nie podlega wątpliwości.

- Tak, szczególnie wtedy.

- Mimo to ich bronisz?

Nie odpowiedziała. Przełknąłem głośno ślinę. Koniec wstępu, trzeba było delikatnie przejść do najważniejszej dla mnie sprawy. Helen wbiła we mnie świdrujące spojrzenie.

- Po co przyszedłeś, Ben? Szukasz pomocy prawnej?

- Być może będę jej potrzebował.

- Jak już mówiłam, prowadzę tylko sprawy o zabójstwa.

- Wiem o tym.

- Zamierzasz kogoś zamordować?

Tym razem to ja nie odpowiedziałem. Czekwała cierpliwie.

- Chciałbym cię poprosić, żebyś została moim adwokatem w razie czego, jak to się mówi... Chciałem zająć miejsce w kolejce.

- Nie podoba mi się to, Ben.

Nic dziwnego. Mnie też by się nie podobało. Ale musiałem ją zdobyć. Jakby powiedział Mike: to była kluczowa kwestia.

- Mike wspominał ci, że zaginęła moja dziewczyna? - zacząłem od innej strony.

- Tak, dziesięć lat temu. Zabiłeś ją?

- Nie, ale ostatnio stało się coś, co sprawia, że zastanawiam się, czy będę potrzebował adwokata.

- Ale na razie nie potrzebujesz?

- Nie.

- W takim razie zgłoś się, kiedy coś się zmieni - powiedziała chłodno, dając mi do zrozumienia, że tylko marnuję jej czas.

Wychodziłem z ociąganiem, bo nie uzyskałem tego, po co przyszedłem. Helen ujęła moją dłoń i ucisnęła ją po męsku. Długo badała mnie spojrzeniem i chyba wyczytała w mojej twarzy, że nie jestem draniem, bo powiedziała:

- Naprawdę boisz się, że mogą cię oskarżyć?

- Nie, ale jeśli to się stanie, chcę mieć najlepszego adwokata w mieście. Zawahała się.

- Jeśli coś się wydarzy, zadzwoń do mnie. Po prostu zadzwoń.

Rozdział 7

Rosjanin miał na imię Oleg i wyglądał na prawdziwego twardziela. Dwa metry wzrostu, pięćdziesiąt centymetrów w bicepsie, tatuaż sowieckich sił specjalnych na prawym ramieniu przechodzący w jakąś nowofalową wariację aż do przegubu dłoni i podobny, wizjonersko-narkotyczny obrazek na szybko poruszającym się teraz tyłku. Umięśnione pośladki unosiły się i opadały, gdy ich właściciel wykonywał mocne, równomierne pchnięcia, od prawie godziny posuwając prostowłosą blondi tak, że pokój zdawał się falować razem z nimi.

Charlie Miranda zniecierpliwiony spojrział na zegarek.

Oglądał ten spektakl na niewielkim monitorze nowego modelu Wally'ego, który sobie sprawił zaledwie dwa tygodnie temu. Nie pierwszy raz był pod wrażeniem jego możliwości i kompatybilności z miniaturowymi kamerami, które kupił w sklepie z gadżetami i zainstalował w pokoju hotelowym Rosjanina. Postanowił dać twardzielowi skończyć i poczekać, aż prostytutka wyjdzie z pokoju, ale teraz zaczął się zastanawiać, czy jednak nie zabić od razu obojga.

Z kilku powodów byłoby to prostsze i bezpieczniejsze dla niego. Wystarczyło wyłamać drzwi umieszczone niemal dokładnie naprzeciwko szerokiego, wysokiego łóżka z grubym materacem i metalową ramą, wymierzyć z wyposażonej w tłumik beretty i dwukrotnie nacisnąć spust. Olbrzym nawet nie zdążyłby się odwrócić. Dziewczyna może jęknęłaby nieco głośniej i mniej monotonna, niż robiła to od godziny. Ciche klaśnięcia, śwąd prochu, krew z dziury wylotowej w głowie rozprysnięta na ścianie i dwa trupy. Dwa trupy zawsze wyglądają lepiej, nawet jeśli zapłacono mu tylko za jednego. Dwa trupy to różne możliwości interpretacji dla glin, choć tu przecież i tak nie będzie żadnego większego śledztwa. Ot, zwykle gangsterskie porachunki.

Ruskie ścierwo i ukraińska dziwka to nie powód, żeby wszczynać śledztwo. Odnotowanie w księdze zgonów i ślad w komputerze wystarczą. Żadnych konferencji prasowych, narad, newsów w telewizyjnych wiadomościach. Nawet ambasada się nie zainteresuje, co najwyżej wyśle policji sygnał, że wcale jej nie żal obywatela, którego przeszłość, delikatnie mówiąc, nie należała do chwalebnych.

Tak, lepiej było zostawić dwa ścierwa.

Tyle że Rosjanin zasłużył na śmierć, a prostytutka nie. Przynajmniej Charlie nic o tym nie wiedział. Miranda należał do tych nielicznych zawodowych zabójców, którym nie było obojętne, kogo odsyłają na drugą stronę. Był człowiekiem głęboko wierzącym i prawie zawsze rezygnował z zadania, jeśli miał wątpliwości co do winy ofiary. Potrafił odmówić najpotężniejszym zleceniodawcom, nigdy nie zabijał dzieci - choć generalnie dzieci nie znosił - za to nie miał skrupułów wobec kobiet.

„Są często znacznie bardziej zepsute od mężczyzn” - zwykł uzasadniać, szczególnie kiedy Steve prowokował go do małych filozoficznych dyskursów na temat zbrodni, kary, winy, przeznaczenia i Boga.

Steve był w porządku. Charlie lubił go i miał wrażenie, że tamten odwzajemnia te uczucia. Gdyby było inaczej, przecież nie zapraszałby go do rodzinnego domu, nie przedstawiał dzieciom i żonie, nie zachęcał do wypicia drinka i zapalenia cygara w bibliotece.

Szanował go, choć przecież nie musiał. Inni członkowie rodziny nie spoufalali się ze zwykłymi żołnierzami i mordercami pozbawionymi tak naprawdę szans na większą karierę w strukturach syndykatu. Tacy jak on byli *sporco*, nieczystymi i brudnymi mieszającami. Szeptano o nich pokątnie jak o *lebbroso*, trędowatych wykolejeńcach. Wykorzystywano, pozornie nawet szanowano, dobrze płacąc i obsypując nagrodami, ale jednocześnie traktowano ich trochę z góry, z dużym dystansem, unikając uściśnięcia dłoni czy spojżenia prosto w oczy.

Steve był inny, może dzięki ojcu, najokrutniejszemu i

zarazem najbardziej nietuzinkowemu człowiekowi, jakiego Charlie znał, o którym mówiono, że także lubił morderców i przyjaźnił się nawet ze słynnym Icemanem - bezwzględny, pozbawionym skrupułów i budzącym strach i zarazem odrazę Polakiem, który w ubiegłym wieku przez blisko trzydzieści lat zabijał dla mafii.

- Powinni nakręcić o tobie film, Charlie - oznajmił mu kiedyś Steve i dodał, jakby wyczuwając, że Charlie często myśli o Richardzie Kuklińskim: - Tak jak o Icemanie. Jesteś równie... ciekawą osobowością.

Nie, nie był podobny do Richarda. Nie był potworem. Choć dla niektórych mogło to wyglądać na swoisty wyścig z tą czarną, mroczną legendą, Charlie wciąż nie dorównywał Icemanowi, choć trzeba przyznać, że istniało spore podobieństwo. Obaj nie byli Włochami. Obaj stosowali żelazne reguły, jednocześnie nie odczuwając żadnej skruchy z powodu tego, co robili. Obaj potrafili być okrutni i bezwzględni.

Ale pod jednym względem różnili się zasadniczo: Z ręki Charliego umierali tylko ci, którzy na to zasłużyli.

Grzeszył, prowadził ryzykowną grę ze Stwórcą, odbierając życie niegodnym, ale nie robił tego dla przyjemności i każda z jego ofiar sobie na to zasłużyła.

„Grzeszysz, synu, może jeszcze bardziej niż ci wszyscy chorzy z ambicji lub przeżarci potwornymi popędami zbrodniczy” - przekonywał go kapłan, u którego spowiadał się od lat i któremu w końcu zdecydował się uchylić rąbka naprawdę ważnych tajemnic. - „Zadawanie śmierci należy do Najwyższego, nie jest kwestią kalkulacji i rozważań. Bez względu na to, komu odbieramy życie, popełniamy grzech ciężki”.

„A jeśli jesteśmy na wojnie?”

Był na wojnie. Był na wojnie z Meksykańcami, czarnuchami i wszystkimi innymi draniami, którzy nie szanowali zasad, rodziny, religii. Z potworami gwałcącymi małe dziewczynki, porywającymi cudze żony, bijącymi bez większego powodu ludzi nieopatrznie stających im na drodze, uwodzącymi nieletnich chłopców, sprzedającymi truciznę w narkotykach,

obcinającymi palce i głowy przeciwnikom, szczycącymi się i podniecającymi brutalnością. Walczył ze skorumpowanymi glinami i prawnikami, biznesmenami kantującymi partnerów handlowych, filmowcami sprzedającymi się za perwersyjne przyjemności, draniami nad draniami. Takich właśnie zabijał. Tylko takich.

Wzdrygnął się, kiedy Rosjanin na koniec ścisnął szyję prostytutki, udając, że chce ją udusić. Roześmiał się, gdyż skutecznie wystraszył dziewczynę, następnie uderzył ją w twarz i rzucił z pogardą na łóżko.

Nie, ona nie zasługiwała na śmierć. Była tylko ofiarą. Świadkiem wojennych zmaganiań.

Oleg wciągnął spodnie, usiadł przy biurku i wyjął banknoty z portfela. Przeliczył, cisnął nimi o podłogę, po czym krzyknął do dziewczyny:

- Uchadzi, bladzi!

Blondi zebrała swoje rzeczy i uciekła, nie do końca ubrana. Olbrzym wstał, stanął przed lustrem, naprężył mięśnie. Przyjął postawę bokerską i walczył przez chwilę z cieniem lekkimi pozorowanymi ciosami. Prawy-lewy, prawy-skos, unik, lewy podbródkowy, odskok, dwa szybkie krótkie sierpowe. Na koniec mocny zamachowy, wyprowadzony z całą siłą, z pełnym skrętem tułowia. Cios, który powaliłby byka.

Miranda zebrał wszystkie informacje o ofierze, wiedział więc, że Oleg jest byłym bokserem. Przeciętym, lecz niezwykle silnym nawet jak na wagę ciężką. Jeśli wygrywał na ringu, zwykle nokoutował przeciwników. Faulował często, jak każdy drań, więc prędko skończył karierę bez żadnych osiągnięć.

Nie miał na półce medali i pucharów, za to szybko zdobywał uznanie w przestępczym półświatku Solncewa, południowo-zachodnich przedmieść Moskwy. Dwukrotnie aresztowany, skazany za rozbój i próbę morderstwa, trafił na kilka lat do gułagu na Syberii, gdzie przeszedł dodatkowe szkolenie z maltretowania bliźnich. Krzywdził kobiety i dzieci, nie miał skrupułów i uważał się za nieśmiertelnego.

Dlatego zrobił to, co zrobił, i dlatego musiał umrzeć.

Charlie wstał, poruszył ramionami, również rozgrzewając mięśnie i sprawdził, czy krótkie, szerokie ostrze z rękojeścią umieszczoną jak w korkociągach dobrze pasuje mu do dłoni. Cicho otworzył drzwi i kocimi krokami ruszył w kierunku pokoju znajdującego się na drugim końcu korytarza. Kątem oka dostrzegł cień zbiegającej po schodach prostytutki, a chwilę potem stanął naprzeciwko numeru 306. Zapukał raz, nie odpowiedział, kiedy ze środka padło rosyjskie przekleństwo.

- Czego? - Oleg szarpnął drzwiami i obrzucił taksującym spojrzeniem niewysokiego, szczupłego mężczyznę o łysej głowie uzbrojonej w głęboko osadzone, czujne oczy, ubranego w czarny, przylegający do ciała kostium.

Przypominał mu kota. Chudego, małego, niegroźnego kota tylko udającego panterę - i to niezbyt przekonująco. Zbyt małego, by rzeczywiście go przestraszyć. Przez chwilę nawet pomyślał, że ktoś zrobił mu jakiegoś psikusa, przysyłając do pokoju męską prostytutkę udającą kota.

Wtedy Charlie zaatakował.

Uderzył barkiem w tors Olega, by pchnąć Rosjanina w głąb pokoju, przykleił się do niego, przytrzymał lewym ramieniem, uniemożliwiając skuteczną obronę, a prawą ręką uzbrojoną w ostrze uderzał nieco chaotycznie, celując w szyję. Pierwszy i drugi cios trafiły w tętnicę. Krew bryznęła na wszystkie strony, brudząc meble i ściany, rozlewając się szybko rosnącą kałużą na podłodze. Kolejne ciosy ugodziły w ucho i twarz, ostrze w końcu utkwilo w czaszce. Charlie poślizgnął się i upadł na ziemię. Huk padającego dwumetrowca poniósł się głuchym echem po korytarzu, podłoga zawirowała na sekundę w oczach Charliego i znieruchomiała. Oleg charczał, żył jeszcze przez chwilę.

Charlie uwolnił się spod jego ciężkiego ramienia i odsunął na bok. Patrzył na martwego już Rosjanina bez żadnych uczuć. Nie czuł satysfakcji, odrazy, złości ani smutku.

Potem wstał i zamknął drzwi. Zabrał z pokoju trzy ukryte kamery, które wcześniej zainstalował, i przeszukał dokładnie każdy kąt. W szafce nocnej na nowiutkim i chyba nigdy

nieużywanym egzemplarzu Biblii leżał nieco zbyt duży, dziwaczny pistolet. Znał tę broń, choć niespecjalnie ją szanował. Rosyjska *giurza*, pistolet służb specjalnych i bandytów, którą można było załadować pociskami przebijającymi niemal każdą kamizelkę kuloodporną.

Skuteczna, lecz toporna i czasem zawodna.

Sprawdził szybko broń, schował do kieszeni kostiumu, wyszedł. Szybkim krokiem podążył do swojego pokoju, upewnił się, że nikt go nie widział, wszedł do środka. Zdjął czarny strój, włożył do foliowej torby i poszedł pod prysznic.

Nie spieszył się. Był pewien, że o tej godzinie na piętrze nikogo nie było. Tylko dwa pokoje były wynajęte, a obaj lokatorzy zwiedzali w tym czasie Nowy Jork. Jeden był popularnym blogerem z Europy, któremu w nagrodę za pozytywne teksty firma prowadząca fast foody zafundowała wycieczkę do centrum świata. Drugi przyjechał na kongres ubezpieczeniowy, a zarazem w odwiedziny do kochanka, którego ukrywał przed żoną.

Spakował rzeczy do torby sportowej, założył czapkę z daszkiem, okulary przeciwsłoneczne i młodzieżową kurtkę. Przejrzał się w lustrze, a następnie wyszedł stawiając szybkie, sprężyste kroki. Lubił wcielać się w nastolatka i wciąż wychodziło mu to całkiem nieźle.

Na zewnątrz było zimno. Śnieg po ostatnich zamieciach już stopniał, ale mocny wiatr od oceanu przenikał do szpiku kości.

Charlie przeszedł przez ulicę, skulił się i przebiegł parę przecznic w kierunku wejścia do metra. Nie zszedł jednak do podziemi. Zatrzymał żółtą taksówkę i zamówił kurs na Brooklyn. Zapłacił, odczekał, aż taksiarz zniknie mu z oczu, a potem wsiadł do niepozornej hondy, którą zaparkował tu kilka dni wcześniej. Bał się, czy akumulator jest wystarczająco naładowany. Na szczęście nie zawiódł. Wracał na Manhattan okrężną drogą, nie przekraczając dozwolonej prędkości, i dopiero dwie godziny później pukał do gabinetu Steve'a.

Otworzył mu wesoło uśmiechnięty, okrągły mężczyzna. Steve od lat walczył z nadwagą i była to wojna o tyleż wyczerpująca, co skazana na porażkę. Miał identyczną budowę ciała jak jego

ojciec. Powinien pogodzić się z tym, że zawsze będzie nieco przy kości. Nikt jednak nie śmiał powiedzieć mu tego wprost, choć Steve wszystkich i zawsze zachęcał do szczerości. Zaraz potem zbyt szczerych katował do nieprzytomności, trudno więc było się dziwić, że chętni nie pchali się drzwiami i oknami.

- Witaj, Charlie. Miło cię widzieć.

- Ja też się cieszę.

Zamknęli drzwi, Steve zaproponował drinka i dopiero po krótkiej rozmowie o niczym, zapytał:

- Jak poszło?

Charlie wzruszył ramionami.

- Jak zwykle - powiedział. - Ruski gryzie piach. Tak jak chciałeś, nie oszczędzałem go.

- Oni muszą wiedzieć, że z nami nie ma żartów.

- Ten buc zasłużył na gorszą śmierć. - Charlie przypomniał sobie zdjęcia dziewczyn i chłopaków zmaltretowanych przez Olega. On też nie miał litości dla ofiar. Był bezwzględny i wyjątkowo okrutny. Zdecydowanie zasłużył na to, co go spotkało. - Jakaś reakcja ze strony Iwanowicza?

- Nie. - Steve uśmiechnął się pod nosem. - To płotki, nikt ich nie będzie oplakiwał. Ale przesłanie pójdzie w świat.

Rozmawiali przez chwilę o stosunkach z Ruskimi, którzy zaczęli się niebezpiecznie panoszyć, niekiedy dość odważnie rozszerzając strefy wpływów poza Little Russia. Prawdę mówiąc, Charlie nie podzielał negatywnej opinii Steve'a o Rosjanach. Nie miał z nimi wiele do czynienia. Oleg i jego dwaj towarzysze byli jego pierwszymi „klientami” pochodzącymi z tego regionu świata.

W sumie to dziwne - pomyślał. Zabił dotąd trzydzieści cztery osoby i żadna nie pochodziła z kraju niedźwiedzi chodzących po ulicach, jak wciąż lubił go nazywać, choć był tam kiedyś i przekonał się na własne oczy, że niedźwiedzie można podziwiać wyłącznie w zoo.

- Mam dla ciebie prezent - powiedział nieoczekiwanie nawet dla siebie. Wstał, sięgnął do torby i wyciągnął z niej *giurzę*. - To pistolet używany przez rosyjskie służby specjalne. Dość rzadki.

Steve lubił oryginalną broń. Wszyscy o tym wiedzieli. Jak każdy człowiek lubił też prezenty.

- Jest czysty?

- Z łatwością to sprawdzisz.

- Oczywiście, dziękuję. - Steve wycelował w ścianę. - Fajny, naprawdę mi się podoba.

- Dziwny - odparł Charlie. - Jak wszystko, co rosyjskie.

- Rosja to stan umysłu, Charlie.

Charlie wstał z ociąganiem.

- Na mnie już czas.

- Poczekaj. - Steve sięgnął do szuflady. - Ja też mam dla ciebie prezent.

Kartonik gęsto zadrukowany symbolami i nadrukami pachniał farbą drukarską. Charlie dwukrotnie przeczytał zawarte na nim informacje i westchnął.

- Los Angeles?

- Tam nawet zimą jest w miarę ciepło. - Steve dobrze wiedział, że Charlie akceptuje pogodę w Nowym Jorku od marca do września. Pozostałe miesiące są dla niego męką. Jak każdy porządny drapieżnik lubił się wygrzewać na słońcu.

- Zrobisz sobie małe wakacje.

Charlie zerknął na niego podejrzliwie. Wiedział z doświadczenia, że zawsze, kiedy ktoś wysyłał go na wakacje, czekało go więcej pracy niż odpoczynku.

- O co chodzi?

Steve wręczył mu teczkę zawierającą plik kartek i parę zdjęć krępego, czarnowłosego mężczyzny, który od biedy mógł nawet uchodzić za Włocha.

- To Żyd. - Steve znów zdawał się czytać w jego myślach. - A może bardziej mieszaniec o żydowskim nazwisku. Nazywa się Stiller. Ben Stiller.

Rozdział 8

W porównaniu ze SkyComem Easylog był liliputem. Żadnych fabryk, badań, produktów. Tylko konsulting i wynajęty fragment callcenter w jednej z sieci usługowych. Nie mieliśmy nawet własnej stołówki, nie mówiąc już o czymś podobnym do Wally'ego.

Nic nas nie wyróżniało. Nic nie czyniło wyjątkowymi.

Dziesięciu pracowników w centrali, dwa oddziały zamiejscowe w Nowym Jorku i Seattle oraz filia w Europie, stanowiąca przyczółek, na wypadek gdyby zachciało nam się dokonać światowej ekspansji. Najmniejszy oddział SkyComu w Reykjavíku był większy od całej naszej „struktury”. Nikt też, poza Amandą i może Mikiem, nie wiedział, dlaczego zdecydowałem się na założenie europejskiego przyczółka w Polsce, a nie na przykład w Paryżu czy Madrycie.

Oddziały wciąż raczkowały, podczas gdy główna część firmy w Kalifornii zyskiwała zasłużoną sławę jednej z najlepszych agencji do obsługi konferencji i eventów. Skupialiśmy się głównie na poważnych, biznesowych stypach, ale zdarzały się niekonwencjonalne projekty, jak organizacje dnia magika, zjazdów motocyklistów czy światowego zlotu miłośników Harry'ego Pottera.

Devon zadzwonił kiedyś i zapytał, czy nie obsłużyłbym trzecich urodzin syna jego kuzyna. Wiedziałem, że dzwoni tylko po to, by się upewnić, czy mi nie odbija i nie stanowię dla niego zagrożenia. Mała psychologiczna gra. Odmówiłem, zapewniając go, że daję sobie radę. Chyba uwierzył, choć dalej próbował.

- Bo wiesz... SkyCom jest twoim dłużnikiem. Gdybyś potrzebował pomocy...

- Nie potrzebuję, Devon. SkyCom nie jest mi nic winien.

- Organizujemy wiele eventów, zupełnie nie wiem, dlaczego nie chcesz przyjmować od nas zleceń. Nasz budżet...

- Nie chcę, żeby ktoś zarzucał ci brak transparentności -

skłamałem.

- Bzdura. Nikt by się nie czepiał.
- Po prostu mam dużo pracy, Devon. To wszystko.
- Byliśmy przyjaciółmi, Ben...

Odłożyłem słuchawkę.

Przez te wszystkie lata obserwowałem rozwój SkyCom i Wally'ego, a potem także Wallnetu. Był czas, że kolekcjonowałem artykuły z gazet i zdjęcia z wydarzeń dotyczących firmy lub Devona, czytałem wszystkie recenzje, relacje z pokazów kolejnych wersji oprogramowania i sprzętu, wręczania nagród i ogłoszenia rankingowe, przesiadywałem na forach internetowych poświęconych tym tematom, ale w końcu się wyleczyłem. To była zamknięta karta w moim życiorysie.

Poza Sally.

W piątek organizowaliśmy konferencję „Jak odkryć w sobie milionera”. Instynktownie czułem, że znów zostanę wystawiony na próbę, nie byłem tylko pewien, jak wielką. Na widok Sally na kładce zareagowałem niezbyt dobrze; zastanawiałem się, co będzie, kiedy stanę z nią oko w oko, na wyciągnięcie ręki. Co wtedy zrobię?

Nie wyszło najlepiej, wiedziałem, że nie było najlepiej, choć Amanda nic nie mówiła. Nie oceniała mnie. Do diabła, chciałem, żeby to się wreszcie stało. Żeby poddano mnie ostatecznej próbie. Żeby to się raz na zawsze skończyło.

Dziesięć lat życia w zawieszeniu, ciągłego myślenia co i jak.

To się musiało wreszcie skończyć.

W czwartek w nocy nie mogłem spać. Przez chwilę miałem ochotę rozpieprzyć to wszystko. Zadzwoić do Devona i wygarnąć mu, a potem zakazać tych cholernych telefonów, sprawdzania mnie, wysyłania samochodów, detektywów i innych szpicli, wszystkich dziwnych rzeczy, które robił. Nie wolno ci do mnie dzwonić, draniu. Nie po tym, co się stało. Nigdy, słyszysz?

Wymazałbym jego numer i zostawił całą przeszłość za sobą.

Nie posłuchałby mnie.

Dobrze go znałem. Zrozumiałby przekaz i zajął pozycję

obronną. Tylko tyle mogłem uzyskać. Każdy następny ruch z mojej strony spowodowałby odwet i gwałtowny atak z niezbyt trudnymi do przewidzenia skutkami. Starcie Dawida z Goliatem tym razem zakończyłoby się w najbardziej przewidywalny sposób.

Amanda też nie spała. Gładziła mnie po nagich plecach, prowokowała i zachęcała. Ale ja nie chciałem się kochać.

- A jeśli on jest niewinny? - zapytała nagle.

- Niewinny?

Nie wiedziałem, o co dokładnie jej chodzi.

- Jeśli niesłusznie go obwiniasz? Może się mylisz...

- Nie myślę się - powiedziałem twardo.

- Każdy tak mówi. Do chwili, aż zrozumie własny błąd.

- To nie błąd. Devon jest... Devon musi odpowiedzieć za to, co zrobił.

- Igrasz z ogniem. To jedno wiem na pewno.

Rozdział 9

Poczekalem, aż zaśnie, a potem wyjąłem Wally'ego z szuflady. Kupiłem go przed miesiącem. Najnowszy model, po liftingu, z bajerami w postaci sterowania głosem i najnowszymi kodami do wyszukiwania zależności. Niesłychane w swojej prostocie połączenie tableta, komputera, telefonu z funkcjami społecznościowymi i siecią. Praca, rozrywka, znajomi - wszystko w jednym miejscu. Do tego niemal prawdziwe, wirtualne życie. Może za daleko się posunęliśmy, ale mimo ataków, Wally i Wallnet wygrali. Przebili się przez całą niechęć, wątpliwości i protesty, a teraz... teraz już było za późno, żeby ich powstrzymać.

Po prostu.

Simply Wally, po prostu - jak go reklamowano - mówisz i masz, teraz z poleceniami głosowymi.

Kiedy tworzyliśmy pierwszą generację urządzenia, nie było mowy o takich bajerach. Wszystko trzeba było wpisywać na piechotę, planować i powoli budować rozwój konta i awatara. Jak w życiu. Inaczej robił się bałagan, który czynił Wally'ego w dużej mierze nieprzydatnym. Miałem wrażenie, że zbyt dużo bajerów mogło nas pogrzebać. Ileż to razy firmy przegrywały, przesadzając z nadmierną liczbą pozornie atrakcyjnych gadżetów.

W przypadku Wally'ego Clark dobrze wiedział, co robi.

Oczywiście nowy model wciąż miał wszystkie podstawowe możliwości komunikatora z zaawansowanym zarządzaniem, ale funkcje analityczne stawały się nieprzydatne. Zespół czy też zespoły Devona wszystko uprościli, spłaszczając Wally'ego i jednocześnie czyniąc go bardziej przystosowanym do oczekiwań większości klientów. W tym tkwiła jego wielkość. Wally, którego ja projektowałem, miał być narzędziem dla człowieka. Devon szybko zrozumiał mój błąd i zmienił założenia. Człowiek wcale nie chciał kontroli nad

maszyną. Oczekiwał urządzenia, które uprości mu życie, które odbierze mu część kontroli, żeby nie powiedzieć: zacznie go kontrolować.

Zrób coś, co w pięćdziesięciu procentach będzie pasowało wszystkim. Niedoskonałości eliminuj stopniowo, żeby móc wprowadzać upgrade'y za dodatkową kasę.

Urządzenie trochę przypominało stare modele minitabletów Apple o szerokości ekranu nieco mniejszej od dłoni, ale było znacznie grubsze. Dzięki temu mieściło lepszy mikrofon, głośniki oraz kamerę, umożliwiające komunikowanie się na wysokim poziomie, bez słuchawek. Oczywiście wciąż można było ich używać, ale Devon słusznie założył, że dzieciaki będą miały frajdę, gdy wszyscy wokół będą słyszeć, że popisują się swoim Wallym. Dotykowy ekran zajmował cały front. Nie wysuwał się, bo i po co. Z klawiatur zrezygnowano już w drugiej wersji.

Przenośne Centrum Komunikacji Wally.

Tak początkowo próbowano go nazwać, ale szybko zrezygnowano z pierwszych trzech członów nazwy. Po prostu Wally. *Simply* Wally intryguje, „Przenośne Centrum Komunikacji” odstrasza. Wyjątkiem była partia dla klientów biznesowych, która miała bardziej toporną stylizację i nastawienie na funkcjonalność typowych urządzeń telekomunikacyjnych. Zestawienia połączeń, telekonferencje, praca w grupie, kalendarz multimedialny, osobista sekretarka zapisująca złote myśli i pisząca listy do akcjonariuszy, klientów i zarządów konkurencyjnych firm, baza aktów prawnych, obsługa procesów. Wszystko w jednym miejscu.

Jednak biznes nas początkowo nie chciał. Pod tym względem Devon też miał rację. Biznes trudno przekonać do rewolucji. Trzeba zacząć od masowego konsumenta lub wojska. Devon nigdy nie lubił korporacji zbrojeniowych, poszedł więc w pierwszym kierunku, klienta masowego. Trzeba mu dać dobre hasło marketingowe i prostotę. To najważniejsze.

I wymyślił je.

Twoje wirtualne wcielenie.

Oto co było potrzebne Wally'emu - mocny, działający na

wyobraźnię slogan.

Twoje wirtualne wcielenie.

Trudno było o lepsze wyrażenie intencji twórców Wally'ego. Wirtualne wcielenie. Klient dostał w jednym pudełku wszystkie możliwości dostępne na rynku w innych urządzeniach. Telefon, telewizor, komunikator, multimedia i centrum rozrywki z grami i bibliotekami, ale przede wszystkim awatarową ściankę Wally'ego. Elektroniczne odbicie, nie tylko reprezentujące zaprogramowaną postać, ale też zdolne do samodzielnego reagowania na zachowania innych. Prosta interakcja, która stawała się po wyrobieniu nawyków czymś więcej. Czymś samodzielnie... myślącym. Obdarzonym cechami, którymi nie było dotąd obdarzone żadne z urządzeń. Prawdziwą sztuczną inteligencją.

Kiedy dodatkowo SkyCom wydzierżawił farmę serwerów i stworzył społecznościową sieć dedykowaną Wally'emu, dzieciaki zwariowały. Po umiarkowanym sukcesie pierwszego modelu, wykupieniu niemal co do sztuki drugiego, po płynące z Tajlandii pierwsze partie trzeciej generacji trzeba było stać w kolejkach.

Każdy chciał mieć swojego Wally'ego. Najnowszą technologiczną zabawkę, która nie tylko pozwalała pisać za pomocą poleceń głosowych, w jednym miejscu trzymać ulubione filmy i płyty, zastępować kartę płatniczą i upominać się o kieszonkowe od starych, automatyzując przelewy, to jeszcze tworzyła własny, niepowtarzalny wirtualny świat dla osobistego awatara. Poniekąd żyjącego własnym życiem, a czasem podpowiadającego właściwe rozwiązania z niezwykle pojemnej biblioteki możliwych zachowań.

Tego samego, który ściągnął na mnie i Devona pierwsze gromy krytyków.

Niebezpieczne zabawy w Boga. Maszyna myśląca czy oglupiająca. Uzależniający produkt masowego rażenia. Myślący narkotyk.

Prasa atakowała do czasu, kiedy Devon wynajął agencję PR ze znajomościami we wszystkich mediach i powiększył budżet reklamowy. Nawet gdyby tego nie zrobił, pewnie nic by się

nie stało. Zwycięzców się nie sądzi, nie rozlicza. Gazety mogły pisać co chciały, a Clark i tak by triumfował. Wally odniósł gigantyczny sukces. Kropka. Krytycy zawsze się znajdują. Protesty wywoływała już tylko pazerność. Devon na to rozkładał bezradnie ręce. Co zrobić? Nie on wymyślił opłaty abonamentowe dla lepszych profili oraz za bonusowe i bardziej zaawansowane funkcje. SkyCom jedynie dostosował się do warunków rynku, standardów określonych przez jego pazerną konkurencję.

Zalogowałem się do sieci i wywołałem swój profil.

<Cześć, Ben> - powiedział Wally.

<Cześć, Wally.>

<Jeśli chcesz, możesz mnie ulepszyć do wersji 5.11. Wystarczy, że klikniesz zielony guzik albo po prostu powiesz „tak, chcę”...> - zalotnie zaszcebiotał falsetem. Podobno większość mężczyzn wybierała do obsługi głosy kobiet, a większość kobiet - mężczyzn. Oczywiście do czasu sprofilowania całej postaci Wally'ego i wgrania próbki własnych dźwięków. Ja wołałem męski głos, który czasem jednak był irytujący.

<Nie chcę.>

<Och, daj spokój, Ben. To tylko dolar i dwadzieścia centów.>

<Nie chcę> - powtórzyłem.

<Edytor głosu jest tego wart. Nie chciałbyś mówić głosem Morrisona? Lubisz Morrisona. Mógłbym dla ciebie śpiewać. W pakiecie dostaniesz wszystkie jego płyty i kurs nauki gry na gitarze. Grasz na gitarze, Ben? Nie, nie grasz, ale mógłbyś się nauczyć. Masz predyspozycje, przebadalem synchronizację ruchu twoich palców i jestem tego pewien. Mógłbyś być całkiem niezłym gitarzystą.>

<Nie chcę> - westchnąłem, myśląc: do diabła z tobą. Najtańsza wersja abonamentu była rzeczywiście irytująca z powodu ilości propozycji i reklam.

<Dodatkowo będziesz miał nową wersję bazy danych. Jest w stanie przechowywać prawie trzy terabajty twoich danych. Rozumiesz, Ben? Trzy tera za jedynego dolara i dwadzieścia centów.>

Jeszcze rok temu oferowali pięćset giga w cenie pięćdziesięciu dolców. A teraz mogłeś mieć sześć razy więcej za dolara i dwadzieścia centów. To nowa polityka marketingowa firmy, Ben. *All in one* - w jednej cenie. Zdjęcia, filmy, co tylko chcesz. Wszystko to dostępne z poziomu podstawowego za pomocą jednej komendy.

Uruchamiasz urządzenie, kładziesz się, zamykasz oczy i mówisz: mam ochotę na *Hello, I love you*. Albo na Schumanna. No i masz Schumanna.

<Masz ochotę na film, Ben? Mówisz: włącz mi *Czas apokalipsy*. Czy to wciąż twój ulubiony film? A może coś z Penelope Cruz?>

<Chcę mieć Angelinę Joli> - powiedziałem z premedytacją. Angelina, jako jedna z nielicznych, nie udzieliła Devonowi licencji i po tekstach o zatrudnianiu dzieci w fabrykach w Wietnamie nazwała go „pieprzonym wałem wyzyskiwaczem”. Mimo reakcji Devona i obietnicy poprawy sytuacji, nie zmieniła zdania. Nie wierzyła draniowi. I słusznie. Też mu nie wierzyłem.

<Obawiam się, że to niemożliwe> - odparł Wally po chwili. Zawsze, kiedy padało niestandardowe pytanie, jego wirtualna wysokość przekierowywała się na bazę niestandardowych odpowiedzi i chwilę musiała szukać właściwej. W pierwszej wersji niedoskonała sztuczna inteligencja waliła masę gaf. Dziś prawie się nie myliła. To nie jest już twój stary, dobry, zabawny Wally. To doskonała maszyna do robienia kasy dla Devona.

<Coś takiego!>

To jednak nie był dobry pomysł. Nie miałem dziś ochoty na usprawnianie mojego osobistego Wally'ego. Nacisnąłem przycisk uspienia i odłożyłem urządzenie.

<Masz jakieś sugestie odnośnie do ulepszeń?> - zapytał zgodnie z wprowadzonym kodem. Każdy mógł wysłać Devonowi sugestie potrzebnych zmian, a on je wykorzystywał lub nie. Nie, nie pomyliłem się, to on osobiście podejmował najważniejsze decyzje, a nie sztab projektantów. Oczywiście miał ich całą masę i zapewne nie każdy ruch sygnował swoim

podpisem. Podobno w nowym ośrodku w Redwood zatrudniał już prawie dziesięć tysięcy programistów i konsultantów. Wszyscy pracowali nad usprawnieniami do Wally'ego. Mimo to Szef Wszystkich Szefów lubił doglądać prac. Znałem go i wiedziałem, że to nie plotka. Devon sprawował nad wszystkim kontrolę, dobrze wiedział, jak ustawić priorytety. A interakcja z klientami była najważniejszym elementem jego strategii.

Słusznie. To też mój pomysł. Nie olewaj klientów. Szukaj rozwiązań, które przypadną im do gustu, a jeszcze lepiej zapytaj, czego chcą.

- Chcą Angelinę Joli - mruknąłem pod nosem.

- Znów o niej myślisz? - Amanda przeciągnęła się na łóżku i przytuliła do mnie.

W ułamku sekundy Angelina wyparowała z moich myśli. Zobaczyłem czerń, a chwilę później z ciemności wyłoniła się smukła złotowłosa postać Sally. Poprawiła kosmyk włosów i uśmiechnęła się blado. Potem zniknęła.

Nie, nie myślę o tobie. Nie przy Amandzie.

Rozdział 10

W hotelu Nama Bay w Las Vegas zjawiłem się przed ósmą. Konferencja miała rozpocząć się dopiero o dziesiątej, ale trzeba było wszystko dograć. Augustinowi Noriedze szczególnie zależało na dziennikarzach. Doskonale to rozumiałem. Każdy wizjoner bazujący na zbiorowych halucynacjach potrzebuje reklamy i musi dobrze żyć z pismakami.

- Dobrze wiesz, Ben, że w naszej robocie najważniejsze są media. Bez mediów nie istniejemy.

- Zupełnie jak terroryści.

- Jest pewna różnica. My nie zabijamy ludzi.

- Za to zniewalamy dusze. To mniejsza zbrodnia?

- Po prostu jesteśmy łowcami, Ben.

Augustin był jednym z najlepszych na świecie macherów od robienia ludziom wody z mózgu. Trudno było o równego mu mówcę. Zaczynał od branży medycznej, udając bioenergoterapeutę, fizjologa oraz specjalistę od medycyny chińskiej. Następnie zabrał się do tworzenia łańcuszków marketingowych, romansował z branżą finansową i ubezpieczeniową przy refinansowaniu kredytów hipotecznych i tworzeniu różnego typu piramid, by w końcu znaleźć swoje miejsce i zostać milionerem.

- To niesamowite, jakie to proste - wyznał mi kiedyś. - Wystarczy ludziom powiedzieć, że wiemy, jak mają zostać milionerami, by w rzeczywistości zarobić miliony. Sposób prosty jak drut.

- Mogą cię zlinczować, jeśli się zorientują.

- Ludzie wierzący w podobne rzeczy nie są w stanie się zorientować. To kwestia wiary, a wiara nie podlega prawom fizyki. Tu nie ma miejsca na żadną analizę.

Mimo wszystko nie udałoby mu się to, gdyby nie miał talentu oratorskiego, pomysłowości i umiejętności

reżyserowania oraz manipulacji tłumami. Resztę zapewniałem^{ja}.

- Nie uważasz, że to oszustwo? - zapytała mnie kiedyś Ami.

- Niby dlaczego?

- Wmawiacie ludziom, że możliwe jest coś, co w rzeczywistości zależy od zupełnie innych czynników. Nie da się osiągnąć sukcesu waszymi metodami.

- Waszymi?

- Twoimi i Augustina.

- Ja jestem tylko wynajętym gościem od techniki.

- Jasne. Ja tylko wykonuję rozkazy. - Nie kryła sarkazmu. - Ktoś kiedyś już tak mówił.

- Nie oceniaj nas tak. Augustin nie robi niczego złego. Na spotkania z nim przychodzą ludzie potrzebujący zmiany, motywacji, nowych wyzwań. Daje im to. Czasami rzeczywiście zmienia podejście, ładuje pozytywną energią, pozwala uwierzyć w siebie.

- Ale milionerami nie czyni? - zakpiła.

Zacisnąłem zęby. To nie była sprawiedliwa ocena. Żeby jej dokonać, trzeba było to zobaczyć. Trzeba było zobaczyć te tysiące zbłąkanych duszyczek, którym Augustin pomagał odnaleźć siebie, energię do pracy, odkrywać wewnętrzny potencjał. Nie, Augustin nie był oszustem. Dawał swoim słuchaczom więcej niż większość uczelni na wykładach motywacyjnych. Tylko tyle, zdaniem Amandy, a moim - aż tyle. Każdy, kto kiedyś prowadził własny biznes, wiedział, ile zależy od właściwego nastawienia i motywacji.

- Zdziwiłabyś się, ilu z tych słuchaczy poprawia swoje wyniki w pracy.

- Jak te kobiety, którym korporacje każą wieszać na lodowce widokówki z Karaibów i Malediwów?

- Co w tym złego?

- To, że to jest kłamstwo. I manipulacja.

- Instalacja świateł na skrzyżowaniu też jest manipulacją. Nauki Augustina pomagają, nie szkodzą.

Wierzyłem w to. Po tych wszystkich występach, koncertach, sympozjach, wierzyłem, że nie robię niczego złego. Ufałem też

Augustinowi i rozumiałem, dlaczego potrzebuje wciąż nowych impulsów i pomysłów. Z jednej strony musiał zachęcić widownię, z drugiej sam nie mógł bez tego żyć. Musiał napędzić trochę siebie. Niedowiarków było mnóstwo, a on pozwalał im nie wierzyć. Bo ludzie bez wiary nie są w stanie zejść dalej niż do ściany, którą widzą. Tylko spojrzenie w głąb, przekroczenie bariery dla wzroku, pozwala na zrobienie tego kroku w nadprzestrzeni.

Brzmiało to może niezbyt sensownie, ale działało. Tak jak całe show: wielkie, epickie, zaplanowane i przeprowadzone z rozmachem show Augustina.

- Chcę wylądować na scenie śmigłowcem, dlatego potrzebuję czegoś w rodzaju amfiteatru - zażądał przed piątkiem.

Pomyślałem o Nama Bay. W hotelu znajdował się amfiteatr położony nad dużym basenem. Gorzej było z uzyskaniem zezwolenia na lądowanie śmigłowca.

- Jest pan pewien, że on się nie zabije? - zapytał strażak z biura burmistrza.

Zapewniłem go, że tak, po czym wręczyłem kopertę wypchaną banknotami. Stary, dobry, niezawodny sposób. Przekupiony urzędnik nagle zmienia zdanie. Tysiąc dolców za głupi kaprys Augustina. Trzeba było podnieść cenę, a bilety i tak rozeszły się na pniu.

Wejście Augustina istotnie było spektakularne. Orkiestra grała dość głośno, starając się zagłuszyć huk silników śmigłowca, a potem z nieba spłynął w feerii barwnych i wybuchowych fajerwerków ucharakteryzowany na kosmicznego bohatera kuglarz i zaczął z właściwą sobie energią:

- Ktoś powiedział mi, że nie da się tego zrobić. Nie da się spaść z nieba w Nama Bay. A jednak tak się stało. Jaki z tego wniosek? Nie wiercie utartym poglądom, przełamujcie bariery, szukajcie niemożliwego...

Słuchałem go tyle razy, że nie miałem ochoty na kolejny wykład. Miałem i tak naładowane do granic baterie, nie potrzebowałem większej motywacji.

Nad oprawą wydarzenia pracowało dziesięciu fachowców niepotrzebujących mojej kontroli. Dobrze wiedzieli, co i jak mają robić, kiedy uruchamiać prezentacje, jak zmieniać światła i dźwięki. Wyszedłem z amfiteatru, przeszedłem korytarzem do wnętrza hotelu. W holu stał automat SkyComu z wielką reklamą:

Masz już swojego Wally'ego? Zaloguj się za darmo TERAZ. Rozpocznij przygodę!

Przygoda. Nie o to w tym chodziło, Devon, pamiętasz? To miało być poważne urządzenie komunikacyjne, a nie zabawka, którą ty z niego zrobiłeś. Ludzie lubią się bawić - pewnie byś odpowiedział. Wszystko jest zabawą, wszystko jest grą. Życie to też gra, nie sądzisz? W ten sposób sprzedajesz więcej, ale czy na pewno będziesz miał większą satysfakcję? Czy tylko o kasę tu chodzi? Przecież masz jej tyle, że mógłbyś nawodnić całą Afrykę. Czy to nie jest lepsze od nowego modelu komputera? Nie lubisz Afryki, Devon? Chcesz, żeby ludzie wciąż ginęli z głodu i pragnienia?

A może ty sam przeniosłeś się już do Wallnetu?

Według ostatnich plotek, które czasem do mnie dochodziły z biura zarządu, Devon coraz częściej zamykał się w swoim gabinecie i oddawał wirtualnym sesjom. Udawał, że testuje nowy hełm albo projektor holograficzny, ale prawda była inna. Wsiąkł. Uzależnił się, dał się złapać na megapakiet ful wypas. Nawet jeśli nie uzależnił się jeszcze od Wally'ego, to był na najlepszej drodze, żeby tak się stało.

Zadzwoił telefon. Numer nieznany, na kartę. Wiedziałem, kto to, a jednak odebrałem.

- Myślisz, że to było zabawne, Ben?

- A nie było?

Rozdział 11

Ian Kazar westchnął ciężko, jako dziennikarz spotykał już na pewno wielu dziwnych typów.

- Jesteś mi winny tę rozmowę.

- Dlaczego? Przecież mówiłem ci, że nie udzielam wywiadów.

- To nie w porządku, Ben. Pojechałem na Florydę, żeby się z tobą zobaczyć, a ty mnie wystawiłeś.

- Sam się prosiłeś.

- Okay, niech ci będzie. Nie mam żalu. Ale powiedz mi chociaż parę słów. Dwa zdania do wywiadu i dam ci spokój.

W sumie, czemu nie?

- Co chcesz wiedzieć?

Kazar odetchnął głęboko. Pewnie teraz był mi nawet wdzięczny. Wychodził sobie wywiad z Benem Stillerem, który nie udzielał wywiadów. W jego małym dziennikarskim kosmosie to było nie lada wydarzenie. Wybuch supernowej. Będzie mógł potem opowiadać, z jakim trudem zdobywał tych parę mało znaczących zdań.

- Dlaczego odszedłeś ze SkyCom, Ben?

- Co to za pytanie? Przecież wiesz, że nie odpowiem na nie.

- Dlaczego? Minęło już tyle lat, że powinniśmy chyba poznać prawdę. Byłeś głównym technologiem firmy, projektantem Wally'ego. Dlaczego więc zrezygnowałeś, w dodatku tuż przed sukcesem?

- Nikt nie wiedział, czy to będzie sukces.

- Och, przestań. Musiałeś go przeczuwać. Tak rewolucyjne rozwiązanie nie mogło nie wypalić. Myślisz, że Jobs nie przeczuwał sukcesu iPhone'a? To nie mogło się nie udać. Dlaczego więc, Ben? Dlaczego dałeś się wygryźć z tego interesu?

Chciałem odpowiedzieć od razu i nieco bardziej opisowo, ale nagle wyczułem podstęp. Kazar nie zadał tego pytania ot, tak

sobie. Wyraźnie próbował zakamuflować jego prawdziwe znaczenie. Dlaczego dałeś się WYGRYŹĆ. Wygryźć, a nie dlaczego odszedłeś. Szukał dziury w całym, szukał afery. Och, cóż za spostrzegawczość. Przecież od tego jest.

- Nikt się mną nie interesuje, Ian - odparłem krótko. - Nikogo nie obchodzi Ben Stiller.

- Ale wszystkich obchodzi Wally.

- Nie widzę związku.

- To twoje dziecko. Ty je wymyśliłeś.

Powoli, spokojnie. Najpierw myśl, potem mów. Odwrotna kolejność może wywołać poranne torsje przy lekturze gazety z twoimi wypowiedziami. Mike ciągle siedział w mojej głowie i przestrzegał. Dziennikarz to łowca. Poluje na twoje potknięcia.

- Miałem udział w jego powstaniu - przyznałem - ale to, co mówisz, to poważne nadużycie.

- Liczy się pomysł. Idea. Nie pamiętasz, co zawsze mówi Devon?

- Pamiętam.

- Po co Devon miałby nas wszystkich okłamywać? Skoro ty się nie chcesz lansować i przyznać do autorstwa, mógłby to zrobić sam.

- Devon też nie stworzył Wally'ego.

- A kto? Nie ty? Nie Devon? Kto zatem?

Zastanawiałem się, jak dużo wie i o co naprawdę mu chodzi. Ale chyba rzeczywiście na razie nic nie wiedział. Błądził po omacku i szukał frajera, który przeprowadziłby go przez ten ciemny pokój. Za przewodnika się płaci, Ian, a ty próbujesz załapać się na krzywy ryj.

- Zespół! - syknąłem. - Właśnie ich oglądam i czuję się trochę nie w porządku, że z tobą rozmawiam. Muszę kończyć.

- Czy zmuszono cię do odejścia, Ben? Czy Devon cię do tego zmusił? Powiedz mi.

- Nikt mnie do niczego nie zmuszał.

- Czy to przez Sally?

Oblał mnie zimny pot. Co Kazar mógł o tym wiedzieć? Kto go naprowadził na Sally? Dlaczego powiązał zniknięcie Sally z

moim odejściem? Co to miało wszystko znaczyć? Nagle zaschło mi w gardle.

- Co wiesz o Sally? - wychrypiałem.

Kazar wyczuł, że jeszcze jeden nieroztropny krok, a spłoszy zwierzynę, i szybko rzucił:

- Zadzwoń później.

Rozłączył się. Do diabła z tobą, Kazar, pomyślałem. Skąd u licha te podejrzenia? Co wiesz, pieprzony pismaku? A przede wszystkim: skąd to wiesz?

Rozdział 12

Byłem wzburzony, bo zainteresowanie dziennikarza śledczego nie było mi teraz ani trochę potrzebne. Z drugiej strony, pomyślałem, zaskakując sam siebie, media to siła, którą także można wykorzystać. Czemu nie? Skoro one wykorzystują nas...

Przeszedłem przez hol do sali dla gości specjalnych, oznaczonej dużym księżycem i gwiazdką. Cała była wysypana księżycowym piaskiem, na którym w sposób pozornie chaotyczny umieszczono kilkaset wielkich puf. Większość była zajęta przez ludzi, którzy za bilet musieli zapłacić dwa razy więcej niż normalni słuchacze. W zamian mieli potem specjalną sesję z Augustinem, ale żeby nie poczuli się za dobrze, wykład oglądali na telebimie. Rozsiadłem się na jednej z puf i uruchomiłem Wally'ego w trybie cichym. Sprawdziłem skrzynkę mejlową, odpowiedziałem na dwie wiadomości, przejrzałem najnowsze newsy ze sprofilowanej strony NYT i uruchomiłem Wallnet. Mój awatar był bezosobową, szarą postacią i wyglądał dość ponuro. Urządzenie pozwalało na niemal doskonałe odwzorowanie postaci właściciela ze zdjęć i filmów. Wystarczyło wrzucić do narzędzia profilującego parę fotek, dobrać animację i już mieliśmy siebie w sieci. To był prawdziwy *fun* widzieć siebie na ekranie. Niemal prawdziwego, ruchliwego, myślącego, oferującego pomysły i rozwiązania za dolara i dwadzieścia centów. Większość użytkowników z niego korzystała. Oczywiście część wybierała dostępne postaci aktorów albo piosenkarzy, którzy udzielili Devonowi licencji. Inni wrzucali jakieś swoje wariacje lub bezprawnie wykorzystywali zdobyczne wizerunki. Takich jak ja, korzystających z szarych postaci, było naprawdę niewielu. Może dlatego mój Wally był jakiś taki ponury i smutny.

W trybie „cichy” nacisnąłem przycisk kontaktów i Wally

podniósł się niechętnie z miejsca, wyciągnął przed siebie dłoń, na której pojawił się mały sześcian, kliknął w jeden z ekranów i zobaczyłem awatara Amandy. W przeciwieństwie do mojego, precyzyjnie odwzorowywał jej postać. Wyglądała rewelacyjnie. Była wyraźnie niezadowolona, że musi gadać z jakimś szarym cieniem. Zapytała, czy jestem online, a kiedy Wally odparł, że nie, po prostu przekazała wiadomość. Na całe szczęście nie korzystała z funkcji gotowych odpowiedzi. Ciekawe, co Wally by mi zasugerował, gdybym chciał skorzystać z jego rad?

<Była u mnie policja, Ben. Oddzwonń, jak będziesz mógł.>

Otworzyła usta, jakby chciała coś dodać, ale w końcu nic nie powiedziała i rozłączyła się. Jej awatar odwrócił się na pięcie i odszedł, kręcąc pupą.

Otworzyłem okienko wyszukiwarki osób i wpisałem adres Amandy na Wallnecie. Kiedy pojawił się jej awatar, wcisnąłem ikonkę „połącz” i czekałem, aż Wally przejdzie do właściwych drzwi. Otworzył je i uściskał wirtualną Amandę. Mieliśmy status „związek”, mogłem więc wybrać bardziej czułe powitanie zarezerwowane dla małżonków lub kochanków, ale Amanda je zablokowała. Tłumaczyła, że nie będzie płacić za młodzieżowe gadzety. Poza tym nie chciała, żeby ktoś jej zrobił podobnego psikusa, jak ten wymyślony przez dzieciaki z Meksyku, które opracowały wirusa umożliwiającego wirtualny seks z awatarami. Po instalacji gadżetu każdy mógł przelecieć awatara. Devon oburzał się i pieklił w telewizji, a ja myślę, że specjalnie do tego dopuścił. Kto wie, czy to nie jego zespół napisał wirusa, a potem dostarczył go po cichu hakerom. Reklama rządzi się swoimi prawami. Czasem zły news jest dobrym newsem.

<Amanda jest offline> - pojawił się komunikat.

Jej awatar stanął z boku i czekał.

<Chcesz zostawić wiadomość, Ben?>

Po prostu rozłączyłem się. Do diabła z tobą, Wally. Kiedy jesteś potrzebny, do niczego się nie przydajesz. Swoją drogą, ten gliniarz mógłby skontaktować się przez Wallnet. Co ty na to, Devon? Wystarczy wdrożyć wirtualny posterunek i opcję

przesłuchań online. Przecież aplikację „wirtualna spowiedź” już masz. Czemu gliny są gorsze od księży?

Przymknąłem na chwilę powieki, a potem, patrząc tępo na trzy telebimy, czekałem na zakończenie głównego wykładu Augustina.

Na pierwszym był podgląd wykładu na głównej sali i z niego dochodził też donośny głos Augustina. Drugi prezentował bajeczne widoczki z hotelu, pokazując zespół basenów, najlepsze pokoje i apartamenty oraz grę świateł na różnych imprezach. Z pewnością zlatujący z nieba Augustin też znajdzie się w kolejnej reklamówce hotelowej. Ostatni telebim wyświetlał obraz z czterech kamer podglądających hol, wejście do hotelu, bar i restaurację z kawalkiem oszklonego pomieszczenia dla palaczy.

Pewnie dlatego znów pomyślałem o Sally. Namiętnie paliła papierosy, nie przejmując się nawet tym, że Devon obcinał dziesięć procent pensji palaczom na fundusz zdrowotny i pracowniczy.

Palarnia była teraz pusta.

Nie było w niej Sally, tak jak nie było jej w moim sercu i nie powinno być w pamięci. Ale na drugim ekranie stała kobieta bliźniaczo do niej podobna. Machała do mnie ręką, jakbyśmy się umówili. Nie, nie była podobna. To była ona. Sally. Dziewczyna, którą kiedyś kochałem, stała tam i uśmiechała się niepewnie.

Rozdział 13

W samolocie Charlie Miranda pechowo trafił na wyszczekaną dziewczynę studiującą antropologię. Jak tylko otwierał oczy, próbowała go zagadywać, musiał więc udawać, że śpi. Połowę miejsc w boeingu zajmowały kobiety w czarczafach. Pozostali pasażerowie sprawiali wrażenie lekko zaniepokojonych. Niektórzy udawali, że ich to nie rusza, ale nie bardzo im to wychodziło. Nie martwcie się, jeśli mieliby porwać samolot lub wysadzić go w powietrze, ubraliby się inaczej - pomyślał Charlie. W duchu często krytykował politykę i postawy Amerykanów wobec krajów Trzeciego Świata. Sami sobie zasłużyliśmy na tę wojnę. Niestety, zaczęliśmy o tym myśleć dopiero, gdy nas rzeczywiście dotknęła. Gdyby jednak ktoś z jego bliskich zginął w budynkach WTC, także stać by go było na taką wyrozumiałość dla Arabów?

Ale nie zginął.

Nad Miastem Aniołów antropolożka w końcu usnęła, a on mógł bez przeszkód oglądać w okienku szeroki i ciągnący się w nieskończoność dywan ze świateł. Mrugały do niego jak flesze albo gwiazdy. Najwspanialsze miasto świata - mawiał jego wuj, który był kaskaderem i grał w kasowych produkcjach Hollywood. Zastrzelono go w ulicznej awanturze, w której nie uczestniczył. Był tylko przechodniem. Charlie zabił tyle osób, tyle razy sam ryzykował życie, a tak naprawdę los mógł zdecydować o wszystkim za niego, przez przypadek.

Los albo Najwyższy.

Ktokolwiek decyduje o życiu i śmierci, ma swoje spojrzenia na te najważniejsze sprawy, kieruje się pewnym kluczem, ustala reguły. Dlatego trzeba być fair. Trzeba przestrzegać zasad.

Na lotnisku wziął taksówkę i podał nazwę niepozornego

hotelu w Santa Monica tuż przy słynnej plaży. Recepcjonista obiecał mu widok na molo i dobrą komunikację z całym miastem. Charlie słabo znał Los Angeles, więc mu zaufał. Santa Monica była naturalnym wyborem, gdyż Stiller mieszkał niedaleko. W drodze do hotelu dużo myślał o tym Żydzie. Dawno nie miał podobnie tajemniczego zlecenia. Steve był w tym wypadku dość skryty i dopiero po kilku pytaniach o powody odparł:

- Jest... zamieszany w zabójstwo. Mocno zamieszany.

Zapalili cygara i wtedy Steve opowiedział mu historię Stillera. Mówił beznamyślnie, bez emocji. Charlie słuchał uważnie, zastanawiając się, czy nie powinien odrzucić tego zlecenia. Ten chłopak nie wyglądał na drania, z którymi zwykle miał do czynienia. Nawet jeśli wszedł na niewłaściwą ścieżkę, zadarł z gangsterami, naraził się Steve'owi, skumał się z tym, z kim nie trzeba. Różnił się znacząco nawet od cynicznych, bezwzględnych i godnych pogardy technokratów i finansistów. Oni zasługiwali na nauczkę, a Stiller... Charlie nie był co do tego przekonany.

- Może nie będziesz musiał nic robić - zakończył Steve. - Może wystarczy chłopaka nastraszyć, jeśli będzie sprawiał kłopoty.

- Nie podoba mi się to, Steve.

Szef nie odpowiedział. Wstał i odwrócił się plecami do Mirandy. Charlie zdał sobie sprawę, że jego rozmówca jest zły. Nie powinien go pouczać, nie lubił tego. Charlie był od wykonywania zadań i rozkazów, a nie od mądrzenia się. To nie była jego rola. Zawsze, gdy był na niego zły, odwracał się plecami. Czy kiedyś sięgnie po broń i wykończy go w przypływie furii?

- Tylko nastraszyć? - powtórzył.

Steve odetchnął głęboko i wrócił na miejsce.

- Tak, tylko nastraszyć. Być może.

Dobrze, na to mógł się zgodzić. Poza tym... Coraz bardziej intrygował go ten Stiller. Ta historia zwyczajnie go zafascynowała. Ben i piękna Sally oraz tragedia, która ich spotkała. Niesamowita historia. Wiele ich słyszał, ale ta była

naprawdę wyjątkowa.

Na odgrywanie złego straszaka mógł się zgodzić. W końcu czasem wykorzystywano go w ten sposób i wychodziło mu to równie dobrze jak zabijanie. Gorzej, jeśli na straszaniu się nie skończy, a przecież często tak bywało. Czy wtedy będzie mógł się jeszcze wycofać? Czy Steve nie weźmie tego do siebie i nie zdenerwuje się w sposób ostateczny? A może jednak Stiller zasłuży na śmierć?

Oby skończyło się na pokerowych zagrywkach.

Przypominał sobie kolację z bankierami w zeszłym roku, tuż przed wybuchem kolejnego kryzysu finansowego. Steve został na nią zaproszony, bo chcieli przekazać mu smutną wieść o utracie części środków w funduszach hedgingowych oraz oszustwie jakiegoś maklera z Francji, przez którego środki zarządzane przez Steve'a miały zmniejszyć się o połowę. Steve niezbyt ucieszył się z tych wieści, ale też specjalnie się nie zmartwił. Zadzwoił po prostu do Charliego i poprosił, by ten zastąpił go na kolacji.

- Ubierz się tylko ładnie, najlepiej w ten garnitur, który kupiłeś na pogrzeb Marco Tiverne.

To był jedyny porządny garnitur Charliego. Wciąż nieźle leżał, więc bankierzy nie od razu się zorientowali, z kim mają do czynienia.

Było ich pięciu. Siedzieli za okrągłym stołem w specjalnie wynajętej sali restauracyjnej w podziemiach hotelu Hilton. Pięciu władców świata, pięciu gości rozporządzających miliardami, potrafiących zaszachować finanse paru całkiem dużych państw, rozwalać niewielkie giełdy i destabilizować te największe. Kolesi zarabiających miliony dolarów, przez których dzieciaki z normalnych rodzin żyły na tyle marnie, że nie chciało im się pracować.

Charlie gardził nimi i miał ochotę ich wszystkich zamordować, a nie nastraszyć. Ale wtedy to on musiałby oddać Steve'owi te trzysta milionów dolarów, które byli mu winni.

Kelnerzy wnieśli jedzenie, podali wina i napoje, po czym zamknęli drzwi od zewnątrz. Mieli polecenie, żeby wchodzić

tylko na wyraźną prośbę gości.

Bankierzy zdziwili się nieco, kiedy zobaczyli Charliego zamiast Steve'a, ale jego schludny ubiór i nienaganne maniery szybko uspiły ich czujność. Początkowo zbywał pytania o to, czym konkretnie zajmuje się w spółce. Niewiele mówił, przyglądając się tym upadającym gwiazdom, którym oszustwa i kręctwa niedługo przestaną uchodzić na sucho. Sycił się ich niepokojem, napawał strachem. Dopiero kiedy się najedli, napili i całkiem rozluźnili, przystąpił do realizacji zadania.

- Steve prosił mnie, żebym przekazał wam jego decyzję o rezygnacji z dalszej współpracy - oznajmił, nie przerywając jedzenia deseru. Szarlotka na ciepło z lodami była doskonałym zwieńczeniem posiłku złożonego z ciężkich befsztyków i pieczeni.

Bankierzy zamilkli. Najwyższy, najstarszy i zarazem o dziwo najgrubszy, chrząknął i odparł:

- Zmiana strategii inwestycyjnej w takim momencie może skończyć się... cóż, dramatycznymi stratami.

Hm, ten człowiek miał wszystko „naj”. Najwyraźniej był też najgłupszy.

- Steve jest wyrozumiały. Trudno, nie zarobił. Wystarczy, że odzyska zainwestowane środki i będzie po sprawie.

Finansista siedzący po prawej parsknął śmiechem. Co cię tak bawi, bucu - pomyślał Charlie i spiorunował go ostrym spojrzeniem. Tamten błyskawicznie spowaźniał i wlepił wzrok w talerz.

- Cóż, niestety... Środki odzyskane w tym momencie będą znacznie skromniejsze... - zaczął nieśmiało „Naj”. - Mówię o stratach przekraczających połowę inwestycji, więc jest o czym dyskutować. Sto pięćdziesiąt milionów...

- W ciągu tygodnia - przerwał mu Charlie, odkładając widelczyk na talerz obok resztki lodów.

- Co w ciągu tygodnia?

- Macie przelać pieniądze. Wszystkie. - Charlie wstał. - Steve nie przyjmuje wiadomości o waszych porażkach i niespecjalnie go one obchodzą. Umowa była taka, że

pożyczacie pieniądze na odpowiedni procent.

Popatrzyli po sobie wyraźnie skonsternowani.

- Inwestycja to nie pożyczka - zaproponował „Naj” nieśmiałym, ledwie słyszalnym głosem. - Przecież Steve czytał umowy.

Charlie uśmiechnął się chłodno.

- Steve, mimo stosunkowo młodego wieku, jest człowiekiem starej daty. Nie interesują go papierki i podpisy. Ponad wszystko przedkłada dane drugiemu człowiekowi słowo.

- Słowa to tylko słowa...

- Ja pojawiaam się wtedy, kiedy ktoś złamie dane mu słowo. W cywilizowanym świecie ludzi honoru słowa znaczą więcej niż podpisy, papierki, a nawet pieniądze. Pieniądze są tylko elementem relacji pomiędzy ludźmi honoru. Nie powinny być najważniejsze, prawda?

Bankierzy chyba jednak uważali inaczej.

Zastanawiał się, czy opowiedzieć im o biznesmenie z Singapuru, który sprzedał Steve’owi firmę pozbawioną wartości jako przyszłego technologicznego giganta. Albo o trzech chłopakach z Czech, którzy wykiwali tysiące naiwniaków na piramidzie finansowej, a zyski chcieli ulokować w nieruchomościach, za które przepłacali, rywalizując przez przypadek z firmą developerską Steve’a. A może o kolumbijskim klaunie, który był pewien, że rąbnięcie miliona z konta Steve’a to całkiem niezły żart. Steve ubawił się po pachy, cha, cha. Wszyscy w sposób spektakularny i bolesny przekonali się, że dla ludzi honoru naprawdę pieniądze nie są najważniejsze.

Ale bankierzy... to bankierzy.

Historie spoza ich obszaru zainteresowań byłyby zapewne jeszcze bardziej sugestywne. Choćby ta o Olegu, czy sprawa zakończona dokładnie trzy miesiące wcześniej: somalijskiego pirata, któremu się wydawało, że na włoskie statki handlowe można napadać równie bezkarnie jak na francuskie albo belgijskie. Chcecie posłuchać o człowieku powoli obdzieranym ze skóry, pozbawianym przez długie godziny paznokci, włosów, języka, oczu, palców? W końcu został tylko korpus. Wciąż

oddychający, choć w zasadzie martwy...

A może powinienem odtworzyć wam ten dramatyczny krzyk, którym pożegnał się z życiem pewien twardziel z Miami, który uważał, że Steve jest tylko frajerem niegodnym swojego ojca i można przejąć jego wpływy za pomocą kilku kałasznikowów i wyrzutni rakiet?

- Pytaliście, czym się zajmuję? Naprawdę chcecie wiedzieć?

Nikt nie odpowiedział.

- Steve to porządny człowiek - zakończył Charlie. - Nigdy nikogo nie oszukał, nie wpisuje klauzul drobnym druczkiem w papierach, nie stosuje zmiennych niewygodnych dla kontrahentów, nie zatrudnia setek prawników do interpretacji spornych paragrafów. Nie potrzebuje tego, bo ma mnie. Nieuczciwym partnerom składałem zawsze dwie wizyty. Pierwszą zapoznawczą, drugą ostateczną. Jeśli taka wasza wola, przyjdę za tydzień.

Nie było to konieczne. Po tygodniu od kolacji, na koncie Steve'a znalazły się wszystkie zainwestowane środki. Dziękując Charliemu za poświęcony czas, szef zapytał, czy nie uważa, że okazał zbyt daleko posuniętą wielkoduszość, nie domagając się rekompensaty za utracone zyski.

Rozdział 14

Amanda nie chciała mnie słuchać.

- Mówię ci przecież, że to niemożliwe!

- Nie wymyśliłem sobie tego.

- Nie mówię, że wymyśliłeś. Mówię tylko, że niemożliwe, żeby to była Sally.

Miała rację, a jednak...

- To nie ona - powtórzyła Amanda. - Sally nie żyje.

- Wiem - warknąłem. Chciałem jak najprędzej zmienić temat. - Czego chciał ten gliniarz?

- Twierdzi, że mają wątpliwości co do twoich zeznań.

- Jakich zeznań? Nie składałem żadnych zeznań.

- Może chodzi o ten wypadek.

A tak, wypadek. Pół roku wcześniej byłem świadkiem wypadku. Pijany mężczyzna w luksusowym ferrari przejechał na pasach dziewczynę. Przeżyła, ale została kaleką. Tylko ja twierdziłem, że facet wjechał na nią na czerwonym świetle i zataczał się jak pijany. Złożyłem zeznanie na miejscu, dałem się spisać policji i wróciłem do domu. Byłem pewien, że gdy odjeżdżałem, nadjechała jakaś furgonetka telewizyjna i wytoczył się z niej gość z kamerą i laska z długimi rudymi włosami wymagającymi ciągłego poprawiania, która robiła za prezenterkę. A jednak na żadnym kanale nie pojawiła się nawet najmniejsza wzmianka o wypadku. Może uznali, że to mało ważne - sugerowała wówczas Amanda, i pewnie miała rację. Dlaczego taki wypadek miałby interesować telewizję? A choćby dla tego cholernego ferrari i kierowcy o aparycji gwiazdora filmowego.

Dwa tygodnie później wezwano mnie na posterunek i poproszono o weryfikację zeznań. Policjant, który ze mną rozmawiał, nie był specjalnie zainteresowany. Dał mi protokół do przeczytania i zajął się innymi aktami.

- Przeczytał pan? - zapytał w końcu.

- Tak.
- Wszystko się zgadza? To pańska wersja?
- Wersja?
- Czy to właśnie pan widział?
- No... tak.

Wtedy odłożył akta, rozparł się w fotelu i syknął:

- Tylko pan twierdzi, że kierowca zataczał się i wjechał na pasy na czerwonym.

- Chyba nie tylko ja. A ofiara? Mam nadzieję, że przeżyła?

- Ma się dobrze. Przyznała się, że to jej wina.

- Jej wina?

- Tak, zagapiła się i włąła na pasy, kiedy nie powinna. To ona miała czerwone światło.

- Ale...

- Inni świadkowie to potwierdzają. Nikt też nie widział, żeby kierowca się zataczał. Wyszedł z samochodu i udzielił pierwszej pomocy.

- No nie wiem... Być może...

- Więc jak w końcu? Potwierdza pan swoje zeznania czy chce je zmienić?

Byłem pewien, że coś tu nie gra. Może dziewczyna dostała kasę za milczenie. Może wszyscy byli przekupieni. Tak czy inaczej, zmieniłem zeznania. Odwołałem wcześniejsze i stwierdziłem, że nic nie pamiętam i niczego nie widziałem. Policjant pouczył mnie, że bym na przyszłość raczej starał się mówić prawdę w rozmowach z policją, bo składanie fałszywych zeznań jest przestępstwem.

- Można za to trafić za kratki, kolego.

Kolego. Właśnie tak zakończył rozmowę i już się mną nie interesował. Nie podał ręki, nie odprowadził wzrokiem. Po prostu olał murek i ruszył dalej.

Może znów potrzebowali „weryfikacji” zeznań?

Uruchomiłem Wally’ego i wrzuciłem w wyszukiwarkę nazwisko gliniarza. Tommy Sanyo. Kiedyś była taka firma robiąca sprzęt muzyczny. Kto wie, może wciąż istnieje? Tacy jak my, wygryźliśmy ich z pierwszej ligi.

Sanyo figurował w rejestrach policyjnych i znalazłem go bez

trudu. Był dość znany. Wypowiadał się nawet w telewizji na temat dawno zapomnianych okrutnych morderstw w North Valley. Jakiś psychopata wykańczał równo co miesiąc sąsiadów z jednej ulicy. Podejrzewano gang, ale nikogo nie aresztowano. Dopiero po latach okazało się, że zabójcą był przyjaciel wszystkich rodzin, sąsiad, który potem przejmował ich majątki. Robił to dla pieniędzy. Sanyo, jeśli dobrze rozumiałem, mówił, jak bardzo nowoczesna technika usprawnia działania policji, pozwala odgrzebywać stare, zapomniane sprawy i je wyjaśniać. Stare sprawy.

Gdzie indziej porucznik Sanyo figurował jako oficer operacyjny specjalnej grupy policyjnej „Archiwum” powołanej do analizy dawnych spraw, które nie doczekały się rozwiązania. To był klucz i odpowiedź na moje pytania.

Sanyo zajmował się starymi sprawami. Jedyne stara sprawa, z jaką można było mnie skojarzyć, to była sprawa Sally. Poczulem szybsze bicie serca, pot na twarzy i nagłą słabość. Musiało to być mocno widoczne, bo Amanda zapytała z niepokojem:

- Coś się stało?

- Nie, nic. Ten gliniarz... Zajmuje się starymi sprawami.

Skwitowała to milczeniem. Chyba miała dość prób ukierunkowania mojego umysłu na racjonalne myślenie. Ale czy ja nie myślałem racjonalnie? W ciągu jednego tygodnia widzę dwa razy Sally lub jej sobowtóra, a zaraz potem zgłasza się do mnie gliniarz z wydziału spraw zamkniętych czy też nierozwiązanych. Archiwum. Starych spraw. Czy to mógł być przypadek?

Sally, może to jednak ona. Może coś się wydarzyło. Może jest jakieś wyjaśnienie. Może żyje, a jej śmierć została tylko upozorowana.

Do diabła, to wszystko zaczynało mnie przerastać.

Wziąłem koc i wyszedłem na taras. Zawsze w takich chwilach uciekałem na taras. Była już późna noc i zrobiło się dość chłodno. Klimat Kalifornii jest jedyny w swoim rodzaju. Latem niby gorąco i duszno, ale niezbyt uciążliwie. Pacyfik pachniał świeżością i rybami. Wyobraziłem sobie dzieciaki szukające

nocnych uciech na plażach od Santa Monica po Malibu. Zakopałem się w koc na bujanym fotelu i przymknąłem oczy. Amanda dała mi jakieś pół godziny samotności. Potem ułożyła się na sąsiednim fotelu i poszukała mojej dłoni. Mocno ją ścisnęła. Nie jesteś sam, Ben. Jestem tu i chcę ci pomóc. Jestem z tobą.

To był ważny gest.

Później musiałem zasnąć i znów przeżywałem to, co przed ośmioma laty. Sally nie było przy mnie, a ja czułem, że zapadam się w mrok, obejmują mnie macki demonicznych stworzeń. Nie ma życia bez Sally.

Rozdział 15

Zadzwoiłem do porucznika Sanyo z samego rana, zaraz po wyjściu Amandy.

- Korzysta pan z Wally'ego? - zapytał.

- Tak, skąd pan wie?

- Pogłos. Kiedy dzwoni pan na normalny aparat, osoba odbierająca czuje dyskomfort. Ma wrażenie, że rozmowa jest podsłuchiwana.

- Bo jest. Wally nagrywa wszystkie rozmowy.

- To właśnie mam na myśli. Czy to prawda, że to pan skonstruował to urządzenie?

- Pracowałem przy prototypie - odparłem wymijająco.

Spotkaliśmy się godzinę później w jego biurze przy Downtown. Nie był to żaden komisariat, bardziej przypominało kancelarię prawną niż posterunek policji. Dziesiątki biurkoprzedzielanych ściankami, stosy papierzyk na stołach i migające monitory komputerów. Zasuszeni, bladzi mężczyźni w okularach i tanich marynarkach na obrotowych krzesłach. Jeden Murzyn, dwóch Azjatów, reszta biali. Żadnej kobiety.

- Dziwisz się, Ben? Mogę tak do ciebie mówić? Jesteśmy jednostką specjalną i stosujemy specjalne metody.

- Dlatego nie zatrudniacie kobiet?

Uśmiechnął się.

- Szefowa jest kobietą. To wystarczy.

- Może my bardziej się nadajemy do babrania w brudach - mruknąłem.

- Nie wiem, Ben, ale wiem, że dziś potrafiemy dużo więcej niż kiedyś. - Tommy Sanyo przeszedł do rzeczy. - I skutecznie rozwiążemy sprawę nawet sprzed dwudziestu lat.

- Dlatego dzwoniłeś? Chcesz porozmawiać o Sally? Macie jakiś trop?

Sanyo przysunął mi krzeselko od biurka obok, rozparł się na fotelu i pomachał ręką, prosząc, żebym zwolnił.

- Spokojnie. Wejdz, rozgość się. Chcesz herbaty? Kawy nie proponuję, bo tu dają okropną lurę.

Poprosiłem o colę. Sanyo wyszedł, a ja obejrzałem sobie tę część gabinetu. Miał oszklony front, jakieś dziesięć metrów kwadratowych powierzchni, był zavalony kopiami akt i innymi papierzyskami. Niewielka szafka z boku puchła od papierów, które albo czekały na swoją kolej, albo dotyczyły spraw zamkniętych i czekały na wywiezienie.

- Czy coś się ostatnio wydarzyło, Ben? - zapytał Sanyo. Wzruszyłem ramionami.

- W jakim sensie?

- Wyglądasz na wzburzonego. Czy coś się wydarzyło?

- Nie.

- Nie jeździ za tobą ten mercedes, którego kiedyś zgłaszałeś?

- To było rok temu.

Potem sprawdzałem sam.

- Więc nie jeździ?

- Nie.

- I nic ostatnio nie wzbudziło twojego niepokoju?

Pokręciłem głową.

- Skoro zadzwoniliście, to chyba jednak coś się wydarzyło.

- Być może.

- Zajęliście się zniknięciem Sally?

- Podobno twierdziłeś, że to morderstwo?

- Tak przypuszcza...łem.

Moje zawahanie wynikało z faktu, że nie wiedziałem, jakiego czasu użyć: przeszłego czy teraźniej szego. Sanyo zerknął do akt.

- Zgłosiłeś zaginięcie Sally we wtorek rano, upierałeś się, że wydarzyło się coś złego. Przyjęto zgłoszenie, choć potraktowano cię trochę per noga, ale to zwykła procedura, kiedy gość szuka laski albo laska faceta. Tamtej nocy po pijaku wykrzykiwałeś różne oskarżenia, pamiętasz?

- Były nieprzemyślane - przyznałem.

- Krzyczałeś coś o Devonie. Oskarżałeś go.

- Tak, pamiętam.

- Dlaczego? Miałeś podstawy?

Otworzyłem usta, ale nic nie byłem w stanie powiedzieć. Nie, nie miałem podstaw. Byłem zwykłym, skretyniałym młodym błaznem, szukającym dziewczyny, która postanowiła po prostu odejść.

Po wypadkach sprzed dziesięciu lat uznałem, że tak właśnie będę udawał.

- Devon nie miał z tym nic wspólnego - mruknąłem.

- Sally jednak rzeczywiście zniknęła. Nie odnaleźliśmy jej.

- To prawda.

- Na świecie codziennie ktoś znika, jednak mało kto z zaginionych zostaje zamordowany. Różne są przyczyny zniknięć. Może wcale nie mieliśmy do czynienia z przestępstwem. Może Sally po prostu odeszła.

- Może.

- Nie wierzysz w to?

Zawahałem się. Nie, nie wierzyłem. Ale nie zamierzałem ponownie do tego wracać. Nie tutaj.

- Macie coś nowego czy nie?

- Opowiedz, co się wtedy wydarzyło.

Sanyo rozparł się na fotelu. Wciąż wyglądał na wyluzowanego, ale wyczułem pewne napięcie.

- Nagrywa pan? - zapytałem.

- Mieliśmy sobie mówić po imieniu, pamiętasz, Ben? Zawsze nagrywam. Masz coś przeciwko temu?

- Nie.

- Chcesz, żebyśmy rozmawiali w obecności adwokata?

- Nie ma takiej potrzeby.

- Opowiedz mi więc. Opowiedz, co się wydarzyło w tamten weekend.

Może jednak powinienem poprosić o adwokata. Wtedy, dziesięć lat temu, reprezentował mnie Kevin Kranz, ale on specjalizował się w poszukiwaniach zaginionych osób i do tego głównie sprowadzała się jego rola. Pomagał w kontaktach z prasą, organizacjami społecznymi i policją. Nie bronił mnie, bo nie miał przed czym. Nigdy nie byłem oskarżony. Nie potrzebowałem adwokata. Nie potrzebowałem też jeszcze Helen Berg.

A Amanda? Ona przecież była prawnikiem, choć od spraw finansowych i gospodarczych. Z pewnością jednak mogła pomóc, jeśli coś by mi groziło. Może powinienem ją wezwać?

Rozdział 16

- Ostatni raz widziałem ją w sobotę po południu - zacząłem.
- Pojechała po zakupy do Walmartu, tam też znalazłem potem jej samochód. Na parkingu. Wieczorem byliśmy umówieni z Devonem. Ponieważ nie wróciła, pojechałem sam.

Przymknąłem oczy i natychmiast ją zobaczyłem. Nie w tym ostatnim wcieleniu, na kładce czy na monitorze w Nama Bay, dziesięć lat starszą, w żakiecie i spódnicy jak stewardesa czy bizneswomen. Nie, zobaczyłem dawną Sally, w wyciągniętej koszuli, z pobrudzonymi farbą palcami i włosami strzelającymi na wszystkie strony. Bez makijażu, a jednak najpiękniejszą na świecie. Uśmiechnęła się do mnie, a ja zacisnąłem zęby. Nie uratowałem jej, do diabła. Nikt jej nie uratował.

Zdarzenia sprzed lat wróciły w jednej chwili. Długie godziny na posterunku, bezradność policji, bezskuteczne poszukiwania. Ogłoszenie wykupione przez Devona w sieciach kablowych i krótka informacja wepchnięta do CNN przez Mike'a. Nic to nie dało. Masa zgłoszeń od różnych ludzi. Część pewnie celowo mylących, wszystkie bez efektu. Po tygodniu policja sprawdziła kamery przed Walmartem, ale akurat w miejscu, gdzie zaparkowała Sally, ich nie było. Analiza pozostałych nagrań też nic nie wniosła. Sally zapadła się pod ziemię. Dało to nam wszystkim do myślenia: może specjalnie tak zrobiła, zaplanowała, unikała kamer. Albo ten, kto jej to zrobił, unikał. Policjant prowadzący śledztwo (nie zapamiętałem jego imienia) bez większego zainteresowania zrobił, co do niego należało, a potem rozłożył ręce. Chłopie, chcesz, to sam sobie szukaj swojej lali.

Szukałem. Szukałem przez rok. A potem się z tym pogodziłem.

- Wróćmy do twojej wizyty u Devona - zaproponował Sanyo.
- Dobrze.
- Powiedziałeś mu, że Sally jest chora.

Detektyw nie korzystał z notatek. Musiał uważnie prześledzić moją sprawę i zapamiętać zeznania. W gazecie opowiadał, że czyta kilkanaście razy akta dochodzeń, szukając klucza. Dzięki temu z pewnością dobrze je poznaje i rozumie.

- Tak. Wstydzilem się powiedzieć, że nie wiem, gdzie się podziała. Byliśmy umówieni, mieliśmy pożeglować jego nową łodzią i omówić strategię wprowadzenia Wally'ego na rynek.

- Myślałem, że wszystko było już ustalone? Czy na dwa miesiące przed premierą nie powinno tak być? Czy wszystko nie powinno być związane na ostatni guzik?

- Podstawowe sprawy, owszem, ale wiele rzeczy zmienia się do ostatniej chwili. Wciąż nie byliśmy pewni, do której grupy docelowej uderzyć najmocniej.

- Wybraliście dzieciaki. Przyszłość narodu i łatwy obiekt manipulacji.

- Mieliśmy rozmawiać o Sally.

- Tak, to prawda. A więc? Co się dalej wydarzyło?

- Zjedliśmy kolację z Devonem, wypiliśmy trochę wina i poszliśmy obejrzeć łódź. Nie chciałem pływać, ale Devon nalegał. Krótki nocny rejs w kierunku Cataliny. Zwrot na pełne morze, żeby choć na chwilę uwolnić się od całego świata. Dwie godziny i jesteśmy z powrotem. Zgodziłem się. Wypłynęliśmy i wróciliśmy.

- Była zła pogoda, prawda? Wiała Santa Ana?

- Było dość zimno i wiało - przyznałem. - Ale port był otwarty. Santa Ana wyraźnie słabła, to były jej ostatnie podrygi.

- Mimo to w taką pogodę pływają tylko ci, którzy muszą. Wy nie baliście się pływać?

Pokręciłem głową.

- Piliście?

- Tak. Wino.

- Co było dalej?

- Devon się trochę upił i rozkleił. Mówił, że jestem jego najlepszym przyjacielem i na zawsze nim pozostanę.

Przypomniałem, jak krzyczał do mnie tej nocy, jak błagał, bym nie patrzył na niego tak, jakby to wszystko było jego winą.

Nie był winny. Zobaczyłem małego chłopca wystraszonego na śmierć, że ktoś zabierze mu jego zabawki i nigdy ich nie odda. Potrzebował mnie wtedy. Potrzebował starego przyjaciela i współnika w zbrodni.

- Byliście aż tak blisko?

- Nie do końca... - wycodziłem powoli. - Ale Devon zawsze po alkoholu się rozklejał i spoufalał. Potem nie zawsze o tym pamiętał.

- Jak w tym filmie z Chaplinem.

- Devon już taki był. Mówił, że firma to on, a ja jestem jego bratem krwi. Wszystko, co jego, należy też do mnie. Także Wally.

- Wiązał z nim duże nadzieje, prawda?

- Głęboko wierzył w sukces. I miał rację.

- A ty?

- Nie wiem. Wally miał potencjał, to było pewne, ale wiele podobnych przedsięwzięć zakończyło się kląpą. Udaje się tylko nielicznym i Devon wiedział, że to jest ten jeden z niewielu przypadków, kiedy się udało. Dziś widać, że miał w stu procentach rację, a moje obawy były nieuzasadnione.

- Dlaczego odszedłeś z firmy? Dziś byłbyś milionerem...

- Ostatnio ciągle słyszę to pytanie - mruknąłem. Detektyw wciąż czekał na moją odpowiedź. Zawahałem się, a potem spytałem cicho: - Masz kogoś, Sanyo? Kochasz kogoś?

Wzruszył ramionami.

- Może.

- Co byś zrobił, gdyby nagle ta osoba zniknęła, a nikt nie chciałby ci pomóc?

- Policja nie zlekceważyła twojego zgłoszenia. Szukaliśmy Sally.

- Nieskutecznie. Co ty byś zrobił?

Sanyo nie odpowiedział, tylko westchnął i powtórzył pytanie:

- Dlatego odszedłeś ze SkyCom?

- Przed premierą Wally'ego firma potrzebowała osób skoncentrowanych na tym... sukcesie. Szef pionu kluczowych produktów, główny projektant czy technolog, zwał jak zwał, musiał być w to zaangażowany w stu procentach. Nie mogłem

myśleć o Wallym, szukając Sally.

- Jak zareagował Devon?

- Był wściekły - podsumowałem krótko. - Uważał, że robię dywersję z powodu...

- ...jakiejś dziwki?

- Właśnie.

- Właśnie to wykrzykiwałeś wtedy w nocy. - Sanyo tym razem zerknął do notatek i zacytował: - „Ona nie jest jakąś dziwką, Devon. Kocham ją. Nie możesz mi jej zabrać. Nie ją”. Pamiętasz?

- Tak. Mówiłem już: upiłem się i niesłusznie zrzuciłem winę na Devona.

Sanyo patrzył na mnie uważnie, badawczo. Co sobie myślisz, glino? Dziesięć lat temu trzeba było myśleć. Czy jednak mógłbyś przywrócić jej życie?

- Upierasz się, że Sally została zamordowana? Nic się nie zmieniło?

- Wszystko na to wskazuje. Samochód porzucony przed Walmartem, brak jakichkolwiek śladów. Nie znaleźliśmy jej. Ani policja, ani detektywi, ani mój adwokat. Nikt więcej nie widział Sally.

Przemknęło mi przez głowę, żeby mu powiedzieć. Żeby wyznać, że teraz, po dziesięciu latach, znów ją zobaczyłem. Co byś na to odpowiedział, Sanyo? Jakie miałbyś dla mnie wyjaśnienie, pieprzony poszukiwaczu trupów w szafie?

- Może po prostu uciekła?

Uważnie patrzył mi w oczy. Czyżby wyczuwał, że nie mówię mu prawdy i coś ukrywam?

Wzruszyłem ramionami.

- Zostawiając całe swoje życie? Nie, Sanyo, ona nie żyje. Ktoś ją zamordował, albo...

- Albo co?

- Miała jakiś wypadek, została porwana... Sam nie wiem. Słyszałeś o tych kobietach znalezionych w domu jakiegoś Meksykanina? Ile jest historii o dziewczynach wywożonych do domów publicznych? Do krajów, w których nikt się nie przejmuje niewolnicami? Nie wiem, co dokładnie się stało,

ale wiem, że Sally padła ofiarą przestępstwa.

Jak zatem wyjaśnisz jej powrót, Ben? - mógłbym zapytać sam siebie. - Jak wyjaśnisz, że stała tam na kładce, nad autostradą, a potem w holu hotelu, w którym organizowałeś sympozjum? Jest jakieś wyjaśnienie, Ben? Bardzo proste, Sanyo. Nawet nie wiesz, jak proste.

Otrząsnąłem się z tych myśli. Opadły na podłogę, odbijając się jak piłeczki wyrzucone ze szklanej bańki. Coraz wolniej.

Sanyo wyjął długopis i zapisał coś w notesie, jakby był pisarzem, któremu nagle przyszedł do głowy nowy pomysł. Schował długopis i notes, po czym zapytał:

- Nie pomyślałeś, że Devon zrobił to specjalnie, żeby się ciebie pozbyć?

- Niby co zrobił?

- Porwał, a może zamordował Sally. - Mówił zupełnie poważnie, beznamiętnym tonem. Żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. - Chciał odwrócić twoją uwagę od firmy, pozbyć się ciebie raz na zawsze bez żadnych odpraw i odszkodowań? Odszedłeś na własną prośbę, nie dostałeś premii, prawda?

- Prawda.

- Nie podejrzewałeś podstępny?

Roześmiałem się.

- Nie.

- Dlaczego więc wtedy, w nocy, we wtorek krzyczałeś, że to Devon jest mordercą?

- Efekt przesilenia. Byłem już pewien, że jej nie znajdę i że stało się coś nieodwracalnego. Sally odeszła, zginęła. Ktoś ją zamordował. Potrzebowałem winnego na już, natychmiast. Znalazłem Devona.

- Czy to prawda, że następnego dnia po tym incydencie poprosił cię o odejście dla dobra firmy?

- Nie. Dał mi bezterminowy urlop.

- To nie to samo?

- Nie całkiem.

Sanyo znów spojrział w moje oczy, szukając odpowiedzi na niezadane pytania. Westchnął, ponownie wyjął notes i postukał

długopisem w okładkę. Raz, dwa, trzy.

- Sally do dziś nie odnaleziono - mruknął. - Ani jej ciała. Znajdę ją, Ben, możesz być pewien, że ją znajdę.

Zabrzmiało to trochę jak oskarżenie, złowroga zapowiedź rzucona w oczy mordercy. Tyle że oparta na błędnym założeniu i niewłaściwie wymierzona. Wiedziałem, że to obietnica bez pokrycia. Nie ja byłem mordercą, Sanyo. Źle wytypowałeś ofiarę.

Rozdział 17

Nie przypuszczałem, że mimo upływu lat i odniesionych sukcesów Devon Clark zachowa stary numer komórki. Miałem jego numer do sekretariatu, esemesy na komórkę, wiadomości w Wallnecie serwowane z oficjalnego, firmowego profilu, który w jego wypadku był tożsamy z prywatnym, ale uznałem, że chcę spróbować właśnie tego, starego numeru.

Odebrał po piątym sygnale i miałem wrażenie, że nie korzystał z żadnych narzędzi do multiplikowania numerów w jednym urządzeniu. Może nie ufał Wally'emu tak samo jak ja.

- To ty, Ben? To naprawdę ty?

Głos Devona był silny, władczy. Ostatni raz słyszałem go te parę lat temu, kiedy proponował mi obsługę urodzin syna jego kuzyna. Minęło dużo czasu, a jednak miałem wrażenie, jakby cały czas był gdzieś obok. Może dlatego, że tyle razy słyszałem go w telewizji albo w radiu. Ostatnio coraz rzadziej.

- Nie zmieniłem komórki, wciąż mam ten sam numer - powiedziałem. - Widzę, że ty też.

- Nigdy nie wiadomo, jaka czeka nas niespodzianka. Co się stało? Z czym dzwonisz?

Byłem trochę zaskoczony, że tak szybko przeszedł do rzeczy. Spodziewałem się nieco

dłuższego badania. Może uznał, że minęło zbyt wiele lat, by dalej traktować mnie jak niewiadomą. Dziś byłem już tylko jednym z miliona gości, którzy czegoś od niego chcieli i powinni zaatakować natychmiast, wykorzystując tę jedną, jedyną chwilę. Za sekundę drzwi się zamkną i następną okazję na rozmowę z Bogiem będziesz miał za rok, Ben. Szybko więc, streszczaj się, albo spadaj.

- Powinniśmy się spotkać.

Trzask na linii. Jeden, drugi, trochę szumu. Może podsłuch, a może...

- Jestem w Kairze, Ben.

...to kwestia odległości. No tak, dlaczego z góry założyłem, że Devon tylko czeka na mój telefon?

- Kiedy wrócisz. To chyba nic pilnego.

- Chyba?

Dawał mi szansę na sprecyzowanie oczekiwań. Sekundy biegną, Ben. Streszczaj się.

- Jeśli duchy przeszłości mogły poczekać dziesięć lat, poczekają jeszcze parę dni - powiedziałem.

Jakbym widział jego twarz przed sobą. Nagle musiała spochmurnieć, stężeć. Policzki zapadły się, oczy zaświeciły złowrogo jak u złapanego w potrzask zwierzęcia. Nie, jeszcze nie był w potrzasku. Stawał przed pogrążonym w mroku pokojem i nie wiedział, co go czeka w ciemności. Może coś miłego, a może ostrze noża. Krew i cierpienie. Tego możesz oczekiwać ode mnie, przecież nie miłości. Słusznie zachowujesz czujność.

- Duchy przeszłości? - powtórzył. - Wracam w poniedziałek. We wtorek możemy zjeść lunch. Lubisz kuchnię angielską, prawda?

Dobrze wiedział, że nienawidzę kuchni angielskiej.

- Wolę włoską.

- Dostaniesz namiary od mojej asystentki.

Trzask, szum i koniec połączenia.

Niesamowite, zrobiłem to. Zadzwoiłem do Devona Clarka i umówiłem się z nim na lunch. Po tym, co się wydarzyło, po dziesięciu latach od zniknięcia Sally i po nocy, kiedy wykrzykiwałem, że Devon jest zbrodniarzem, złodziejem i zabójcą. A on po prostu się ze mną umówił, tak jak wcześniej wielokrotnie proponował współpracę. Devon Clark miał wiele powodów, żeby mnie nienawidzić, a jednak chciał się spotkać.

Amanda unikała komentarza. Przyniosła butelkę wina i poprosiła, żebym otworzył. Leżeliśmy na tarasie, chłonąc zapachy nocy, popijając tanie bordo i myśląc każde o sobie. Byłem cholernym samolubem. Ale czy ona była lepsza? Czy jakkolwiek człowiek na świecie jest lepszy? Wszyscy myślimy tylko o sobie. Nawet jeśli znajdujemy wyższe cele, to dla

własnej satysfakcji. Hedonizm czystej wody.

Zamknąłem oczy i chyba się nawet zdrzemnąłem. Nie pamiętam snu. Ale zakończył go Clark. Zobaczyłem jego przystojną, niemal anielską, okoloną blond włosami twarz wydmuchującą mi dym z jointa wprost w oczy.

Powinienem był cię załatwić, Ben. Tak, właśnie to powinienem był zrobić.

Senny koszmar.

Amanda nie zauważyła, że zasnąłem. Opowiadała mi o najnowszym wcieleniu Gary Sinise'a, którego bardzo lubiła w filmach i nie znosiła w serialach.

Rozdział 18

Ponownie przymknąłem oczy i pomyślałem o Devonie, który początkowo tak bardzo zawodził ojca, by w końcu go przerosnąć. Nigdy nie poznałem ojca Devona. Praktycznie nie bywał w SkyCom. Wiedziałem, że dał pieniądze na start firmy syna, ale potem zostawił go samego sobie. Rok po debiucie Wally'ego na rynku i kolejnych emisjach akcji udział ojca w firmie spadł do poniżej dziesięciu procent, a niedługo potem Devon go całkowicie wykupił.

Ciekawe, jak się czuł? Czy uważał, że syn go wykiwał? A może taką zawarł umowę?

Bądź co bądź, stary Patrick Adam Clark nigdy nie wierzył w tę całą nową ekonomię, w której nie liczyły się fabryki, rachunki zysków i strat, parki maszynowe, surowce, bilanse i inne filary tradycyjnej gospodarki. Dla niego to nie była rewolucja, tylko przejściowa moda. Balon, który musi pęknąć z mniejszym lub większym hukiem i wywalić w powietrze wszystkich naiwniaków, którzy uwierzyli, że kasa może być wirtualna. Im mocniej urośnie, tym donośniej strzeli przebitą igłą rynku, który w końcu będzie musiał zawołać: sprawdzam! Błef jest dobry na początku partii; im więcej pieniędzy leży na stole, tym mniejsza szansa, że się uda. Nie da się długo pociągnąć bez fabryk i dziesięcioletnich strategii - mawiał. „Pierdolony Szkot” - podsumowywał go Devon, zawsze dość małomówny, jeśli chodziło o rodzinę. Wszystko, co o nich wiedziałem, pochodziło z internetu.

- A ty, Ben? Jesteś Żydem? - zapytał kiedyś Clark.

- Żydem? - zdziwiłem się. - Nie. Dlaczego?

- Czy to coś złego być Żydem?

- Nie. Nie wiem.

- Więc czego się wstydzisz? Stiller to przecież żydowskie nazwisko.

Kurwa, po prostu tego nie wiedziałem. Ojciec nigdy nie

wspominał, że pochodzi z żydowskiej rodziny. Był synem emigranta, tyle wiedziałem. W kwestiach religijnych nie był specjalnie biegły. Ochrzczono mnie, jak chciała matka. Żadnego obrzezania czy innych dziwnych rytuałów.

Ojciec nie chciał rozmawiać o dziadku. Wiedziałem jedynie, że był kiedyś policjantem, ale odszedł za wcześnie ze służby, by dostać emeryturę czy inne przysługujące mundurowym korzyści. Matka przyznawała się do katolickich, irlandzkich korzeni, ale również nie była specjalnie wierząca czy też praktykująca. Babka za to nienawidziła Niemców i ciągle powtarzała, że wszystko, co złe, jest przez nich. Dziadka od strony matki nigdy nie poznałem, bo zniknął z jej życia, zanim się urodziłem.

Miałem pozornie smutne, ubogie dzieciństwo. Ale choć często nie starczało nam do pierwszego, to i tak kochałem ojca ponad wszystko. I nie mogłem darować Bogu, że mi go zabrał. Może dlatego nie chciałem zaakceptować potem ojczyma i Mike'a, który zepchnął mnie na margines. Ale to ojczym, a raczej jego kasa sprawiła, że dostałem szansę i mogłem uczyć się fizyki, wyjechać do Europy na studia. I dzięki niej Mike został dziennikarzem, a nie czyścicielem silników w fabryce, jak mój ojciec, Frank.

Co więc miałem mu odpowiedzieć? Może tyle, że ojczym nie był Żydem, to wiedziałem na pewno. Był - mówiąc językiem Devona - pierdolonym Francuzikiem.

Wolałem zmienić temat.

- Szkoci są dumni. Ty, Devon, odziedziczyłeś dumę po ojcu.

- Tak, rzeczywiście są dumni.

Patrick Adam Clark, syn szkockiego górala i przemysłowca, założyciela Clark Corporation, dziś jednego z największych na świecie producentów stali. Ojciec Devona. Stary, pomarszczony siwy zakapior z bokobrodami jak postać z powieści Dickensa czy Mary Shelley. Nie za wysoki, krępy i silny. Trochę quasimodo, lekko przygarbiony, z dzikim wyrazem oczu. Zero wyrozumiałości. Mocna szczeka i wydatne kości policzkowe przedzielone szerokim nochalem. Jeśli duży nochal rzeczywiście zwiastuje wielkiego kutasa, to Patrick miał się

czym pochwalić. Biznesmen starej daty, nieufny i nieskory do sojuszy. Wierzył w konkurencję i wolny rynek. I w samego siebie. Pewnie dlatego sądził, że jego syn niczego nie osiągnie. Typowe dla takich ramoli.

Dziś pewnie udaje, że to się nie liczy.

Wirtualna kasa, wirtualne zyski i wirtualny sukces.

Tak myślisz, staruszkuro?

On w każdym razie miał jak najbardziej twarde aktywa.

CC - znak firmowy Clarków - można było znaleźć na okrętach, czołgach, działach i samochodach. Fabryka, w której pracował mój ojciec Frank, także przez jakiś czas produkowała dla CC, który był jednym z większych odbiorców. Potem to się zmieniło, gdy kontrakty przejęła korporacja United States Steel, stworzona przez J.P. Morgana z kilku dużych spółek stalowych.

Clarkowie skutecznie opierali się dominacji bankierów i wyrosli na potentatów w przemyśle zbrojeniowym, dzięki czemu zyskiwali na wszystkich wojnach, a potem odbudowie zniszczonych krajów. Według encyklopedii, stary cap w latach pięćdziesiątych porzucił na stałe Wschodnie Wybrzeże, przeniósł się z Pittsburgha do L.A. i wyrósł na naczelnego skandalistę Kalifornii, uganiając się za aktoreczkami i modelkami, czym w końcu doprowadził matkę Devona do zawału. Nie ożenił się więcej, co nie znaczy, że zrezygnował z kobiet.

Za to dobre imię rodziny zostało mocno nadszarpnięte, kiedy jakaś bulwarówka napisała, że stary Clark przyjaźnił się z rektorem jednej z uczelni, aresztowanym potem za posiadanie dziecięcej pornografii. Niby niczego mu nie udowodniono, ale smród pozostał.

Może z tego powodu Devon nie chciał mieć z nim za wiele wspólnego? A może po prostu nie leżał mu przemysł ciężki?

Rozdział 19

Hotel był niewielki, usytuowany na skarpie przy Ocean Avenue. Okna pokoju rzeczywiście wychodziły na plażę, tak jak mu obiecano. Molo z wielkim diabelskim kołem prezentowało się niesamowicie o wschodzie słońca. No i było tu znacznie cieplej niż w NY. Zero śniegu, czy jego śladów, jak na zimową porę nie przeszkadzał nawet wiatr od morza. Charlie Miranda oddychał pełną piersią.

Zaraz po zameldowaniu wziął prysznic i rozłożył się na łóżku. Sprawdził, jakie kanały ma do dyspozycji w telewizji, a następnie pomyślał o studentce z samolotu. Nagabywała go, a może nawet podrywała. Jeśli tak, to znaczy, że wciąż jest atrakcyjny dla kobiet. Mimo łysiny, niezbyt okazałej postaci i szarej cery, mógł uchodzić za przystojnego. Byle tylko ukrywał oczy, zbyt rozbiegane, niecierpliwe i nieufne, a jednocześnie twarde i nieprzejednane. Nie były to oczy sympatycznego człowieka. Kobiety nie lubią mężczyzn o tak dziwnym spojrzeniu, choć często je pociągają.

Zło bywa pociągające.

Sypiał z nimi rzadko, ale w miarę regularnie. Raz w miesiącu, czasem dwa. Starał się dobierać profesjonalistki lub znużone mężatki. Był sprawnym i wymagającym kochankiem, więc poświęcały mu więcej czasu, niż kupił albo oczekiwał. Prawie zawsze zostawiały numer telefonu i zachęcały do powtórki. Nie wierzył w miłość i bał się jej. Bał się swojej naiwności i tego, że padnie ofiarą podstępny. Historia uczyła, że lepiej być ostrożnym. Sam dobierał sobie kochanki. Każda inna opcja była zbyt podejrzana i niebezpieczna.

Zasnął koło szóstej, obudził się po czterech godzinach.

Zimna woda otrzeźwiła go, ale nie postawiła całkowicie na nogi. Dawała się we znaki zmiana czasu i klimatu. Musiał się przestawić.

Potem poszedł na plażę i oglądał czarnoskóre dzieciaki

uciekające przed falami. Woda była zaskakująco ciepła, pewnie przez jakiś prąd albo z powodu mniejszej niż latem różnicy temperatur między nią a powietrzem. Choć z tego, co wyczytał, akweny w tych okolicach nigdy nie były zbyt przyjazne dla turystów czy amatorów sportów wodnych.

Jakiś szalony młodzieniec kąpał się w ciasno przylegającej do ciała pianie ochronnej. Nad głowami przelatywał helikopter patrolujący linię brzegową i poszukujący topielców, wariatów lub rekinów. Czasem przejeżdżał gliniarz na quadzie, a Charlie miał złudne wrażenie, że za każdym razem nieco dłużej wpatruje się właśnie w jego twarz.

Obiad zjadł na moło. Tanie burrito okazało się dość podłe, ale cola była taka jak wszędzie. Słodka i mdła. Co za gówno. Spróbował poprawić sobie humor owocami morza, ale okazały się niezbyt świeże. Na końcu moła umieszczono tablicę ze zdjęciami archiwalnymi. Na jednym z nich widać było ogromnego rekina złowionego w tych wodach. Miał rozwartą paszczę, wielkie zęby i długą, krwawiącą ranę w poprzek stalowoszarego cielska. Trzech uśmiechniętych marynarzy pozowało do fotki, jakby właśnie wygrali w totka. Może wygrali, w końcu osiągnęli coś w rodzaju anonimowej wiecznej chwały.

Nigdy nie widziałem żywego rekina, uświadomił sobie Charlie. Co będzie, jeśli umrę i go nie zobaczę? Czy to będzie w porządku? Choć z drugiej strony: czy aby na pewno chciałbym zobaczyć żywego rekina, będąc w wodzie?

Głupie myśli.

Wrócił na plażę, położył się plackiem na rozłożonej na piasku kurtce i zaczął rozmyślać o Stillerze. Zadałeś się z rekinami, Ben. Po co ci to wszystko? Miałeś spokojne życie i wszystko poukładane, a ty postanowiłeś to przekreślić i wejść na drogę rozgrywek dla naprawdę dużych chłopców. I z jakiego powodu? Dla miłości? Czy to miłość cię napędzała? Czym jest? Co takiego znaczy, że jesteś gotów dla niej ponieść najwyższą ofiarę, że stawiasz wszystko na jedną kartę, ryzykujesz, nawet nie wiesz jak bardzo, bo zmieniasz się w potwora. Wierz mi, wiem, co mówię. Nie mam pojęcia o miłości, ale o zabijaniu wiem więcej niż ty. Znacznie więcej. Trzydzieści parę razy

więcej. To nie twój świat, nie twoja liga.

Czy aby na pewno?

A jeśli nie doceniał Stillera? W końcu to właśnie ten niepozorny gość stworzył Wally'ego, z którego Charlie miał tyle pożytku. Jeśli był w stanie wymyślić coś tak rewolucyjnego i nieprawdopodobnego, to może jest też w stanie przechytrzyć wszystkich, nawet kostuchę.

Wygrasz z nią? Oszwabisz, okantujesz? Napiszesz jakiś algorytm, który zmieni rzeczywistość? Który sprawi, że dobro zwycięży zło.

Tak myślisz?

Mylisz się. Zło zawsze jest silniejsze. Inaczej na świecie byłoby za dobrze, ludzie nie hartowaliby charakterów. Trzeba ich poddawać próbom. Inaczej niebo szybko stanęłoby przed problemem przeludnienia.

A czy mogą tam trafić zabójcy?

Wyjął urządzenie z kieszeni kurtki i sprawdził mejle ze wszystkich fałszywych skrzynek. Wally był przydatny, ale i groźny. Charlie bał się, że jeśli kiedyś będzie miał kłopoty, ściągnie na siebie FBI czy innych szpicli, urządzenie może posłużyć do jego namierzenia lub zebrania dowodów przeciwko niemu.

Nigdy nie brał aparatu na akcje. Jeśli nawet wykorzystywał terminal, robił to na nowych kartach, anonimowych kontach, stosował najdroższe, najbardziej zaawansowane szyfratory i inne dostępne zabezpieczenia, a potem usuwał odciski, kasował dane, resetował system i włączone urządzenie zostawiał w miejscu publicznym. Zapewne szybko znajdowało nowego właściciela, ryzyko wytropienia pierwotnego nabywcy praktycznie nie istniało. Na szczęście wciąż nie trzeba było podawać prawdziwych danych przy zakupie ani przy pierwszym uruchomieniu.

W domu trzymał nieco starszy model, z zapisanymi ważnymi danymi. Gdyby ten wpadł w ręce glin... Cóż, wówczas Charlie mógłby mieć problem.

Zresztą nie tylko on. Mimo to nie potrafił się oprzeć.

Tak, Stiller, jestem twoim fanem. Ale jeśli będzie trzeba,

zabiję cię. Wchodząc do gry z takimi ludźmi jak Steve czy Devon Clark, przybrałeś postać Mr. Hyde'a. Przestałeś być niewinnym obserwatorem. Stałeś po stronie ciemności, zrobiłeś krok do świata, w którym można spotkać kogoś takiego, jak ja.

Czyste zło.

Nikt cię nie namawiał, nie zapraszał. Sam zdecydowałeś.

Dużi chłopcy odpowiadają za swoje czyny. Muszą zdawać sobie sprawę z ryzyka. Dużych chłopców już nawet nie ostrzega się przed konsekwencjami. Oni je po prostu ponoszą.

Kąśliwy dźwięk telefonu na kartę wyrwał go z zadumy.

Stary, czarny aparat z klawiaturą podskakiwał mu w dłoni alarmem wibracyjnym. Na rozświetlonym staromodnym zielonym wyświetlaczu widniał numer innego aparatu jednorazowego użytku.

Dzwonił Steve. Tylko on miał numer Charliego. Zanim odebrał, rozejrzał się, czy inni ludzie nie są za blisko albo czy ktoś go nie obserwuje.

- Tak?

- Wszystko w porządku? - zapytał bez wstępów Steve.

- Jestem już w hotelu.

- Byczysz się na plaży?

Charlie poczuł nieprzyjemny dreszcz. Czyżby Steve miał tu kogoś innego, kto go śledził?

- Jak jestem w L.A., pierwszy dzień zawsze spędzam na plaży - dodał szef. - Żarłeś to gównu na molo?

- Tak, jestem na plaży.

Steve roześmiał się, ale szybko spoważniał.

- Stiller zaczyna coś kombinować! - szepnął.

- Słucham?

Charlie poczuł nieprzyjemne łaskotanie w gardle. Coś w głębi jego duszy pragnęło, żeby stan zawieszenia ze Stillere trwał jak najdłużej. Mimo wszystkich tłumaczeń o winie Stillera i świadomości wyzwania, jakiego się podjął, Charlie miał poczucie, że zabijając chłopaka, złamie swój tajemny pakt ze Stwórcą.

- Był wczoraj na policji, dzwonił do Devona Clarka.

Wcześniej odwiedził adwokat Helen Berg. Słyszałeś o niej?

Niedobrze, cholera. Bardzo niedobrze.

- Berg, Berg... - Charliemu wreszcie coś zaświtało. - Broni zabójców?

- Wyłącznie.

- Rzeczywiście, nie wygląda to dobrze.

- Właśnie.

- Co mam robić? Złożyć mu wizytę?

- Na razie nie, ale trzymaj się blisko.

Charlie odetchnął głęboko.

Steve rozłączył się bez pożegnania. Zabójca popatrzył na aparat, włożył go do kieszeni, zerknął z niechęcią na uśpiony ekran Wally'ego i również go wyłączył.

Cóż, Stiller... Pora lepiej cię poznać.

Rozdział 20

Następnego dnia pojechałem do Nama Bay, oficjalnie po to, żeby osobiście dopilnować sprzątanania po imprezie. W rzeczywistości miałem inny cel. Pracownicy Easylog już kończyli załadunek sprzętu na dwie furgonetki. Telebimy, serwery, głośniki, sprzęt konferencyjny, projektory, centra tłumaczeń, zestawy słuchawkowe. Co by się stało, gdyby to wszystko spadło w przepaść albo spłonęło w pożarze? Czy to byłby koniec Easylog? Nie, mimo że to był nasz sprzęt, kupiony za ciężką gotówkę, to jednak nie on był głównym atutem.

Louis Arturian powitał mnie wesołym uśmiechem i machnięciem długiej łapy. Był niewysokim, okrągłym grubaskiem, z rumianymi policzkami, wyraźnym cieniem gęstego zarostu, łysiejącą głową, na której pozostało już niewiele kępek mocno kręconych włosów. Krótkie nogi i nieproporcjonalnie długie ręce sprawiały, że wyglądał trochę jak gnom albo bliski krewny szympansa. Zawsze miałem wrażenie, że w trakcie rozmowy może nagle wykonać salto w tył, wskoczyć na drzewo, wywinąć parę wymyków i innych figur gimnastycznych, po czym zeskoczyć z powrotem i kontynuować dyskusję jakby nigdy nic. Był jak małpa, silna i sprawna małpa.

Ująłem jego wielką dłoń i skrzywiłem się z bólu, choć zapewne nie był to najmocniejszy uścisk, jakim dysponował.

- Nie bądź mięczakiem, Ben - powiedział kiedyś, kiedy wyraziłem niezadowolenie z takiego powitania. - W moim kraju, jak kogoś nie ściska się mocno, to znaczy, że się go nie szanuje. Przyjaciela należy mocno wyściskać, klepnąć po plecach - zrobił to - i pocałować w usta.

- Co to, to nie! - wykrzyknąłem, ale nie dał mi uciec i pocałował mocno. Poczulem mdły zapach czosnku, ale o dziwo, wcale nie chciałem wywalić go z roboty. Może nie miałem wyjścia?

- Właśnie dlatego należy przyjaciół mocno przytrzymać,

żeby nie uciekali przed pocałunkami. Każdy chce się wymigać, ale nie przed rodziną Arturianów. Nie przed nami, Ben.

Był potomkiem azerskich i kazachskich koczowników. Śmiał się, że jego pradziad posuwał owce na stepie, a dziad zakładał organizację terrorystyczną, ale potem zakochał się w babce, religijnej Murzynce, i w ten sposób splodził istotę doskonałą, mieszanekę Kazacho- Azera z Bantu.

- Jestem lepszy niż maszyna, nie do zdarcia, Ben - tak zachwalał siebie na czymś w rodzaju rozmowy kwalifikacyjnej, kiedy go zatrudniałem.

Mówił prawdę: był maszyną, na dodatek świetnie skonstruowaną. Potrafił doskonale zapanować nad wszystkimi elementami organizacyjnymi dużych imprez, wiedział, co i jak należy rozstawić, w jakiej kolejności, jak podłączyć i kogo do tego wszystkiego zatrudnić, żeby było tanio, dobrze i żeby jak najmniej zginęło. W tym biznesie nie da się całkowicie uchronić przed stratami, ale Louis zapewniał najmniejszy poziom strat z możliwych.

- Widziałeś Matta?

Jeśli Loius był moją prawą ręką, odpowiedzialną za organizację, to Matt panował nad całą techniką. Poznaliśmy się jeszcze w SkyComie. Odszedł miesiąc po mnie, bo nie mógł dogadać się z kolejnym szefem produkcji, a jak tylko usłyszał, że zakładam firmę, zaproponował swoje usługi. Początkowo nie chciałem go zatrudnić, bo bałem się, że będzie mi przypominał o Sally. Ale potem pomyślałem, że w zasadzie nie mam nic przeciwko temu, żeby mi o niej przypominał.

Był geniuszem komputerowym, specem od wirusów i zabezpieczeń, jednym z najlepszych w swoim fachu. Nie potrafił programować, nie miał zresztą takich ambicji. Ktoś coś tworzy, ja staram się to jak najlepiej zrozumieć - to była jego filozofia.

- Ty stworzyłeś Wally'ego, a ja go zrozumiałem - powiedział mi kiedyś. - Ale nie dali nam dokończyć dzieła i poszli inną drogą, niż my chcieliśmy, prawda, Ben? To nie jest dobra droga.

- Nie jest - przyznałem. - A na pewno nie nasza.

Matt w Easylog odpowiadał za wszystkie sprawy techniczne - głównie za komunikację, nagrywanie, wizualizację i sprzężenie sprzętu. Zdziwiłem się trochę, że nie zauważył Sally, bo zwykle miał na oku wszystkie ekrany. Gdyby ją zauważył, na pewno by mi powiedział. To on zaproponował, żebyśmy poza prostymi organizacjami konferencji robili też eventy specjalne. Każdy lubi gry i zabawy, Ben, to będzie sukces. Miał rację.

Matt siedział w holu, grzebiąc w laptopie.

- Cześć. Wszystko okay? - zapytałem.

- Tak, zgrywam jeszcze małe intro dla Augustina, bo mnie prosił.

- Chce wrzucić na Wallnet?

- Pewnie tak. Fani czekają...

Usiadłem naprzeciwko. Matt musiał dostrzec we mnie jakieś napięcie, bo przerwał pracę i oparł się wygodnie na fotelu.

- Coś się stało, Ben?

- Chcę przejrzeć taśmy z piątku. Możesz mi je zgrać na dysk?

Wzruszył ramionami.

- Pewnie.

- Teraz - poprosiłem.

- Nie ma sprawy. Które kamery cię interesują?

- Z holu.

Był zaskoczony, ale wykonał polecenie. Zwykle nie zgrywaliśmy taśm z kamer hotelowych, choć nasz system był zawsze podpięty także do nich. W holu znajdowały się cztery kamery. Zastanawiałem się, która z nich mogła pokazać Sally. Przymknąłem oczy, przywołując tamtą sytuację. Palarnia, hol, Sally...

- Ta. Chcę obraz z tej kamery.

Matt zrobił minę małego dziecka niezadowolonego z zabawki, postukał w klawisze, uruchamiając wyszukiwarkę. Patrzyłem mu przez ramię.

- Pokaż ten środkowy plik od godziny szóstej do ósmej po południu - poprosiłem.

Otworzył go.

- Dalej. Przyspiesz przewijanie.

Przyspieszył obraz aż do szesnastu razy i czekał na mój sygnał.

- Teraz. Cofnij. Zatrzymaj. Włącz normalne odtwarzanie.

Stała tam znowu, machała do mnie. Sally, nikt inny. Nie miałem urojeń. Kamery nie da się oszukać. To była ona.

Matt patrzył na to, kiwając się w przód i w tył. To była jego zwykła oznaka zniecierpliwienia. Nie znosił sytuacji, których nie rozumiał.

- O co chodzi, szefie? Co to za laska?

- Nie poznajesz?

Przyjrzał się. Do diabła, minęło dziesięć lat, ale to nie tak wiele. Sally wygląda jak wtedy. No, prawie tak samo. Naprawdę nie poznajesz?

- To nie Amanda, prawda?

Amanda? Jak można w ogóle je porównywać? Jedna śniada, prawie Mulatka, ciemne proste włosy, brązowe oczy. Druga blondynka, czupiradło, z obłądnym nieposłuszeństwem w błękitnych oczach. Teraz ułożona, wygładzona, ale ta sama.

- Przyjrzyj się. I co, nic?

- Nie wiem, szefie. Zaraz, zaraz...

Nareszcie. To nie był żaden miraż, żadna fantasmagoria, rojenie chorego umysłu. To była ona. Nikt inny, Matt, ona.

- To naprawdę ona? - Matt dobrze znał naszą historię. Nigdy o niej nie rozmawialiśmy, nie dopytywał o Sally, ale musiał ją pamiętać. Przez co najmniej rok pracowali o parę biurek od siebie, jedli w barze, wracali autobusami do domu.

- To Sally, Matt. Odnalazła się.

Nic więcej nie powiedział. Zgrał mi wszystkie pliki na dysk, wydzielił fragment z Sally do odrębnego folderu, żebym nie musiał szukać, i już go nie było. Chyba czuł się niezręcznie. Choć sytuacja ze zniknięciem Sally była niezwykła, to jego bezpośrednio nie dotyczyła. Teraz nagle zetknął się z nią osobiście, lepiej więc było schować się do nory. Taki już był. Odwaga nie jest moją mocną stroną - mówiło całe jego ciało.

Wydrukowałem zdjęcie i poszedłem do recepcji, ale nikt nie rozpoznał Sally.

- Ta kobieta zostawiła na sali wykładowej torbę z dokumentami, jak sądzę, dość ważnymi. Jednak bez żadnych danych identyfikacyjnych - uzasadniałem powód poszukiwań.

- Może pan zostawić torbę - powiedział recepcjonista.

- Nie, poszukam j ej.

Chciał zaoponować, ale w końcu wzruszył ramionami. Mniejszy kłopot dla mnie.

- Proszę zgłosić to na policję.

- Oczywiście.

Jak mógłbym ją odnaleźć? Nie miałem pomysłu, gdzie szukać, kogo wypytywać. Wtedy nagle coś przyszło mi do głowy. Świństwo, ale nie miałem wyjścia. Włączyłem Wally'ego i zrobiłem to, co musiałem zrobić.

Rozdział 21

Wallnet miał specjalne grupy do poszukiwania zaginionych. Tworzyli je głównie ludzie, którzy stracili kogoś kochanego i bezinteresownie pomagali innym. Wrzucenie na nie zdjęcia gwarantowało duży rozgłos. Kiedy dodatkowo opisałem osobę na fotce jako zaginioną pracownicę SkyComu, która brała udział w projekcie Wally, będącym zaczątkiem Wallnetu, w sieci zawrzało.

Mike zadzwonił o dziesiątej wieczorem.

- Na twoim wallu jest zdjęcie Sally - powiedział.

- To prawda. Pojawiła się w hotelu w Las Vegas. Ona żyje, Mike. Wróciła.

Głośno przelknął ślinę. Chyba mi nie uwierzył.

- I wrzuciłeś jej zdjęcie do sieci? Zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś?

- Wsadziłem kij w mrowisko, Mike. Najwyższy czas. Milczał przez chwilę.

- Naprawdę chcesz zamieszać tym kijem?

- Tak.

- To dobry temat. Dziewczyna, która pracowała przy najważniejszym projekcie dziesięciolecia i zniknęła, nagle się odnajduje. Bardzo dobry temat... - powtórzył jakby do siebie.

Mike się postarał. W wieczornych wiadomościach Fox News puszczono dwuminutowy reportaż o niezwyklej sprawie. Wszystko, co wiązało się z Wallym, miało dziś wzięcie. Sally była dość atrakcyjna, nawet piękna, co na pewno nie było bez znaczenia. Ogólnikowy materiał o zagadkowej dziewczynie zrobił swoje.

Devon zadzwonił po kwadransie.

- Co się dzieje, Ben?

- Sally się odnalazła - odparłem, z trudem panując nad głosem. Nie wiedziałem, czy mam ochotę na niego nawrzeszczeć, rozplakać się czy wybuchnąć niepohamowanym

śmiechem. - Sally, rozumiesz, Devon? Sally się odnalazła! Jest znów z nami. Nie wierzysz? Pokażę ci zdjęcia. Możesz sobie obejrzeć nawet film. Sally znów tu jest.

- Co ty... Co się dzieje, Ben?

- Mówię przecież. Widziałem dziś Sally. I wczoraj też, ale jeszcze nie byłem pewien.

- Przecież... To niemożliwe, Ben.

- A jednak.

- Gdzie jesteś? Spotkajmy się.

- Mieliśmy umówić się na lunch w poniedziałek - przypomniałem.

- Jestem już w L.A. Po co czekać?

- Zgoda.

Przysłał po mnie limuzynę. Kierowca pewnie miał zakaz rozmowy, bo zasunął dzielącą nas szybę i włączył mi telewizor. Wybrałem kanał filmowy. Leciał *Wielki Gatsby*. DiCaprio był naprawdę świetny, ale nie mogłem na niego patrzeć. Za bardzo przypominał mi Devona. Przełączyłem na kolejny kanał, potem na następny. Nic interesującego. W kanałach tematycznych znalazłem program z europejskimi filmami. Ekran wypełniły czarno-białe zmagania biznesmenów z jakimś prokuratorem.

Przymknąłem oczy, starając się odpocząć. Z powodu wielogodzinnej pracy przy komputerze coraz częściej miewałem problemy ze wzrokiem. Kiedy od czasu do czasu rzucałem spojrzenia za okno, widziałem dogasające światła przedmieść. Devon, a raczej jego kierowca, wioził mnie za miasto. Nie na Clark Island, bo tam trzeba by było dolecieć śmigłowcem albo przepłynąć łodzią, a o tej porze raczej nie wpadłby na ten pomysł. Zresztą wyczytałem, że rzadko bywa na Clark Island, a nawet rozważa sprzedaż wyspy. Wiedziałem, że to nieprawda.

Cokolwiek się wydarzy, Devon jej nie sprzeda.

Godzinę później za oknami zapadał zmrok, a limuzyna wspinała się coraz wyżej w góry w kierunku Thousand Oaks. Wiedziałem już dokąd jedziemy. Do tajemniczej nowej posiadłości Devona przy Mulholland, o której czytałem w

jakimś serwisie.

Jechaliśmy przez wzgórze porośnięte karłowatymi krzewami i niskimi formacjami zieleni gdzieniegdzie poprzecinanymi dumnymi skałami, fałdami piasku i skupiskami drzew, kaktusów i palm. Stare słupy elektryczne straszyły upiornymi ramionami. Podwójna linia ciągła wymalowana niemal na całej długości trasy zabraniała wyprzedzania, ale szoferowi się nie spieszyło. Na tej ulicy nikomu się nie spieszyło.

Minęliśmy skręt do malowniczego, wiecznie zielonego i sennie beztroskiego Calabasas, i zagłębiliśmy się w niewielki wąwóz. Z góry patrzyły na nas pobłyskujące w blasku księżyca okna białych domków. Kilka zakrętów, wjazdów na posesje i wreszcie nieco zagubiona, niewielka ścieżka w góry bez żadnego kierunkowskazu. Niska, niepozorna willa Devona kryła się za wysokim białym murem, stróżówką i rzędami wysokich żywotników.

Byliśmy na miejscu.

Kierowca otworzył mi drzwi. Wyszedłem na podjazd przed rzędem cyprysów i drzewek oliwnych zasłaniających zejście do basenu i długiego budynku, w którym mogła się kryć niewielka sala sportowa. Całość nie robiła szczególnego wrażenia. W czasach, kiedy ludzie o jego pozycji kupowali posiadłości za sto milionów dolarów, przenoszone w całości z Europy zamki czy pałace kolonialne, Devon wciąż był dość oszczędny i starał się nie rzucać aż tak bardzo w oczy. Przynajmniej oficjalnie.

Nic dziwnego, że gazety uznały to miejsce za tajemnicze. Bardziej by im się podobała replika szkockiej warowni, jakie skupował ojciec Clarka juniora.

Stał tam, taki sam, jakim zapamiętałem go sprzed dziesięciu lat. Odrobinę dojrzałszy i lepiej ubrany. Tak samo napięty i złowrogi na twarzy. Devon Clark we własnej osobie.

Rozdział 22

Nie podał mi ręki, tylko przyglądał się badawczo.

- Witaj, Ben - powiedział po dobrej minucie.

- Cześć, Devon.

- Wejdiesz?

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź i poprowadził do środka, przez niewielki ganek, przedsionek i korytarz do holu z antresolą i wygodnymi kanapami rozstawionymi w pozornym nieładzie. Mojej uwagi nie umknęły abstrakcyjne, ale dość wulgarne obrazy, które Devonowi kupował jeden z zaprzyjaźnionych marszandów, podobno zawsze mocno przepłacając, a i tak następnego dnia Clark mógł je sprzedać za dwukrotnie więcej. Devon Clark podnosił wartość obrazu, mógł wynieść na piedestał każdego, nawet mało udanego artystę. A przy tym naprawdę miał dobry gust.

Zatrzymałem się na chwilę przy akwareli przedstawiającej wyjątkowo pięknie i ostro ubarwionego ptaka bez głowy.

- Masz dobry gust - pochwalił mnie Clark. - Wczesny Chatachurian. *Kulawy Ptasznik rozglądający się za wczorajszą nocą*. Uwielbiam obrazy o dziwnych nazwach.

Telewizor był włączony, ale nikt go nie oglądał. Przeszliśmy dalej, do gabinetu z biblioteczką. Devon zamknął za mną drzwi i od razu zadał pierwszy cios.

Niegdyś był podobno niezłym bokserem. Na Wallnecie napisano, że zanim rozpoczął karierę baseballisty, reprezentował szkołę w rozgrywkach międzyuczelnianych w zapasach i boksie. Ja niczego nie trenowałem. Biłem się dwa razy w życiu i choć obie walki wygrałem lub zremisowałem (w zależności od kryteriów oceny), to nigdy nie prowokowałem bójek. Udawanie twardziela też mi nie wychodziło, więc pozostawało nie odpowiadać na zaczepki albo trzymać się silniejszych kumpli. Mimo to lubiłem boks w telewizji i sporo się nauczyłem, oglądając transmisje z walk. Jak tylko

zorientowałem się, co się święci, uniosłem ramiona i zasłoniłem twarz podwójną gardą. Uderzył w nią dwukrotnie, a potem wziął mocny zamach, zamarkował kolejne uderzenie w twarz i trafił sierpowym pod łokieć. Westchnąłem i opuściłem gardę, umożliwiając mu czyste trafienie w skroń, a potem w szczękę. Usiadł na mnie i wtedy pomyślałem, że mnie po prostu zabije. Zrobi to, co powinien zrobić dziesięć lat temu.

Uniósł pięść do kolejnego ciosu... i znieruchomiał, jakby ktoś go wyłączył, odciął od prądu. Maszyna stanęła. Zsunął się na bok, ciężko dyszał.

- Dlaczego? Dlaczego mi to robisz, draniu? Dlaczego nie możesz po prostu zapomnieć?

To nie ja, Devon. To sprawiedliwość. Upomina się o ciebie. Nie pytaj mnie, dlaczego dopiero teraz, po latach. Może musiała dać ci się wyszumieć, a może potrzebowała czasu na przygotowania.

Dziesięć lat? Czemu miałyby to zająć tak długo?

Zwilżyłem usta językiem. Miały słodko-słony smak. Przesunąłem dłonią. Została na niej czerwona smuga. Rozkwasileś mi gębę, draniu.

- Widziałem Sally - powtórzyłem to, co już mówiłem przez telefon.

- To niemożliwe!

- A jednak. Kilka dni temu na ulicy, niedawno w hotelu. Dziś przejrzałem zdjęcia z kamery i wrzuciłem je do sieci. Sam możesz...

- Widziałem. Czemu to robisz, Ben? Przecież wiesz, że to nieprawda.

- Wiem, co widziałem.

- Do diabła...

- Nic na to nie poradzisz, Devon. Nie masz władzy nad moim umysłem i moimi oczami.

- Ale mam dobrą pamięć i wiem, że Sally nie może się tu pojawić. To nie ona.

- Mylisz się.

Miałem wrażenie, że znów do mnie doskoczy i zacznie bić, ale wstał, odwrócił się i podszedł do barku.

- Co pijesz?
- Wódkę.
- Polską?
- Jeśli masz.
- Tego też nie zapomniałeś?
- Wciąż budzę się w nocy i myślę, jaka ze mnie świnia - mruknąłem. - Powinniśmy załatwić to inaczej, Devon.
- Słyszałem, że założyłeś oddział w Polsce?
- To prawda.

Clark westchnął bardzo głośno. Długo zabierał się do następnej wypowiedzi.

- Nie wiem, co ty sobie myślisz, Stiller, ale źle robisz. To wszystko głupie. Nie można żyć tylko przeszłością. Musisz patrzeć w przód, bo inaczej...

- Bo inaczej co?

- Bo przeszłość upomni się o ciebie.

- Bez wyjaśnienia przeszłości nie myśli się o przyszłości.

- Mówisz jak jakiś pieprzony nawiedzony dureń. Wieczne ściganie zbrodniarzy powoduje tylko to, że w końcu skazujemy niewinnego. Stajemy się tacy sami jak oni, przesiakamy nienawiścią i łamiemy zasady w imię wyższego celu, który sobie postawiliśmy.

- Nie jesteś niewinny, Devon.

- Obaj nie jesteśmy.

Skinąłem głową.

- To prawda.

Widziałem, jak mocno zaciska palce na szkle. Podał mi wódkę i nie czekając, aż uniosę kieliszek do ust, wychylił swój do dna.

- Ten dziennikarz... Kazar. To też twoja robota? - zapytał. - Dlaczego teraz, Ben? Dlaczego, kiedy wszystko mi się tak wspaniale ułożyło, kiedy mam szansę przeskoczyć wszystkie założenia i zrobić ze SkyComu potęgę, pojawiaacie się ty ze swoją Sally i jakiś cholerny dziennikarz, wypyujący o początki firmy.

Pokręciłem głową i powiedziałem zgodnie z prawdą:

- Dzwonił do mnie, ale odmówiłem rozmowy.

- A jednak się mnie czepia.

- Nie mam z tym nic wspólnego - zapewniłem go. - Nawet nie wiem, jaką tezę stara się udowodnić.

Devon wrócił do barku, nalał nam drugą kolejkę i tym razem tylko umoczył usta.

- To proste. Uważa, że jestem oszustem. Że oszukałem wszystkich, a Wally jest wielką mistyfikacją i tak naprawdę nie istnieje.

Pokręciłem głową.

- Jak to: nie istnieje?

Przecież wszyscy go mogą dotknąć i użyć. Działa. O co zatem chodziło Kazarowi? Może chciał wyprowadzić Devona z równowagi absurdalnymi podejrzeniami, żeby potem zadać właściwe pytania i wymusić na nie odpowiedzi.

- Chodzi o twój kod.

- Kod?

- Algorytm sztucznej inteligencji. Uważa, że sztuczna inteligencja Wally'ego, a zarazem jego wyjątkowość, jest mitem.

- Jeśli nawet tak jest, to co z tego? Ważne, że Wally działa jak trzeba.

- Reklamujemy Walh'ego jako pierwsze inteligentne urządzenie komunikacyjne, a Wallnet jako pierwszą inteligentną sieć społecznościową z elementami wirtualnej rzeczywistości i zaawansowanym sterowaniem przy wykorzystaniu sztucznej inteligencji. Kazar chce udowodnić, że to nieprawda i czysta manipulacja, a my celowo wprowadzamy w błąd klientów, szukujemy ich, przywiązujemy do siebie, wykorzystując zabiegi socjotechniczne. Słowem, że jesteśmy wielkim złem.

- Nie rozumiem...

- Kazar zachowuje się trochę jak tropiciel sekt. Chce nas zniszczyć, nieważne jaką metodą. Uważa nas za zło, więc będzie imał się każdego sposobu, żeby owo zło zwalczyć. Wiesz, co ostatnio napisał mi z anonimowego konta? Coś w stylu: znajdę na ciebie sposób, jak urząd skarbowy na Ala Capone. Jeśli nie mogę cię zniszczyć za prawdziwe zbrodnie, znajdę kruczki proceduralne. Tak więc chce podważyć nasze

deklaracje, plany i prognozy i naslać na mnie SEC.

- SEC?

- Securities and Exchange Commission. Za przestępstwa giełdowe może mnie wsadzić do więzienia na dłużej niż urząd podatkowy.

- Jesteś przestępcą giełdowym?

- Typowo czarny PR - westchnął Devon. - Kazar szuka po omacku... - Spojrzał na mnie twardo i wycedził: - Dlatego muszę wiedzieć, Ben, czy grasz w jego zespole, czy naslałeś go na mnie i co mu powiedziałaś?

- Już mówiłem: nic mu nie powiedziałem. Nie mam z tym nic wspólnego.

- Nie kłamiesz?

- Nie.

- Lepiej, żebyś mówił prawdę, Ben - zakończył, nalewając ostatniego drinka. - I lepiej, żebyś nie rozgrzebywał przeszłości. Tak będzie lepiej dla nas obu.

Rozdział 23

Zaskoczyło mnie trochę to, że nie pytał o Sanya, choć musiał wiedzieć, że interesuje się sprawą i mnie przesłuchiwał. Byłem pewien, że dysponował nagraniem z przesłuchania. Może uznał, że nie ma o czym gadać, bo po raz kolejny opowiedziałem ustaloną wersję?

Ja nie mogłem poruszyć tego tematu.

Zaraz po powrocie z miasta zadzwoniłem do Kazara. Kazałem kierowcy zatrzymać się przy moło, wysiadłem z limuzyny i niemal od razu chwyciłem za telefon. Potrzebowałem tej rozmowy bardziej niż on i teraz żałowałem swojego wcześniejszego zachowania. Nie zaufa mi, trudno, ale na pewno mnie wysłucha. To jego robota. Szukać porozumienia z podobnymi mi dupkami. Odebrał po drugim sygnale.

- Ben, jak miło - powiedział złośliwym tonem. - Znow dzwonicz z Florydy? A może tym razem wybrałeś się na Księżyc?

- Jeśli chcesz mieć ten wywiad, możemy go zrobić choćby dziś.

- Zbliża się północ.

- Jednak nie śpisz. Znasz lokal U Czarodziei przy Wilshire?

- Znajdę.

- O której możesz być?

Godzinę później siedzieliśmy przy barze w niewielkiej, przytulnej knajpce. Noc - jak na tę porę roku - była ciepła i miła. Wiatr od oceanu ucichł, nie wdzierał się już pomiędzy gipsowe, nierówne ściany okolicznych budynków. Śmieci przyniesione z bulwarów przykleiły się do krawężników i rynsztoków. W najciemniejszych zakątkach czaiły się oczy nocnych istot. Ale nie wszystkich wystraszyły. Za oknem wciąż przechadzali się spacerowicze podążający nad ocean. Jakiś luksusowy, sportowy wóz rozgrzewał silnik. Kobieta o oczach wampira przechyliła się przez bar i pogłaskała mnie po

policzku.

- Pamiętasz mnie, słodki?

- Szanti-La? - zapytałem z uśmiechem. Dobrze pamiętałem to dziwne imię. Jak można nazywać się Szanti-La?

- Szanti-La - przyznała. - Znalazłeś swoją ukochaną?

- Jeszcze nie, ale jestem blisko...

Nalala nam po szklance whisky spod baru na koszt firmy, po czym odpłynęła szukać nocnych zwierzeń u innych samotników.

- Wystarczyłoby, żebyś z nią porozmawiał, a wiedziałbyś o mnie wszystko - powiedziałem do Kazara.

- Kto to?

- Barmanka. Pracuje tu od co najmniej dziesięciu lat i ma nieprawdopodobną pamięć. Pamięta wszystko, co jej powiedziałem, pewnie do dziś mogłaby powtórzyć słowo w słowo, choć minęło dziesięć lat.

- Wolę usłyszeć to od ciebie.

- I usłyszysz - zapewniłem go.

Ktoś wrzucił monetę do automatu i z głośników zaczęły się sączyć powolne nawoływania wiecznie żywego Elvisa. Są postaci, które nie umierają. Sally nie umarła. Zawsze będzie żyła w moim umyśle, nawet jeśli Devon ma rację i to nie ją widziałem dwukrotnie w ciągu ostatnich dni.

- Znasz moją historię - bardziej stwierdziłem, niż spytałem, bo przecież musiał ją znać. Pewnie przygotowując się do wywiadu, przeczytał wszystkie relacje z tamtego czasu. O tym, co stało się z Sally i ze mną po jej zniknięciu. - Dziesięć lat temu zaginęła moja dziewczyna. Miała na imię Sally i była wyjątkowa.

Kazar skinął głową.

- Nigdy jej nie odnalazłem - ciągnąłem. - Bóg wie, ile czasu poświęciłem na poszukiwania, lecz nie odnalazłem jej. Wszystkie ślady okazały się fałszywe, a ścieżki prowadziły donikąd. W końcu pogodziłem się z tym, ale...

Nie dokończyłem.

- Ale nie zapomniałeś - stwierdził Kazar.

Skinąłem głową.

- Dlatego odszedłeś ze SkyComu?
- A co ty byś zrobił, gdybyś stracił jedyną osobę na świecie, z którą cię coś łączyło?

Wzruszył ramionami.

- Rozumiem cię.

- Nie odnalazłem Sally. Byłem całkowicie bezradny. - O dziwo nie rozkleiłem się, jak zawsze, kiedy musiałem przyznać, że poniosłem porażkę. W tej jednej kwestii poniosłem całkowitą porażkę.

- Czy ona zaginęła, Ben, czy została zamordowana?

Pytanie Kazara na chwilę zawisło w powietrzu. Było zupełnie naturalne. Nic dziwnego, że je zadał.

- Wtedy nie myślałem o morderstwie.

- To dlaczego wykrzykiwałeś te oskarżenia pod adresem Clarka?

- Skąd o tym wiesz?

- Akta policyjne łatwo zdobyć. Rozmawiałem z ówczesnymi sąsiadami Devona. Zapamiętali cię. Zapamiętali wariata, który w ich spokojnej, luksusowej dzielnicy wykrzykiwał oskarżenia pod adresem sąsiada.

- Co tak naprawdę cię interesuje, Ian? Czego szukasz?

- Tematu - odparł. - Jak każdy dziennikarz. Wiem, że w tej historii jest temat dla mnie. Wiem że jest wyjątkowy, tylko muszę go odkryć.

- Tylko to się dla ciebie liczy?

- Nie, Ben. Mogę ci pomóc, jeśli chcesz. Jeśli mi zaufasz, chętnie stanę po twojej stronie. A dopiero potem zajmę się moim tematem.

- Dlaczego?

- Dlaczego chcę ci pomóc? Bo ci wierzę. Bo widzę, że tak naprawdę jesteś porządnym gościem, którego ktoś bardzo mocno skrzywdził. Myślę, że to Devon jest zły. Ale musisz mi pomóc to udowodnić.

- A jeśli nie ma dowodów?

- Pomożesz mi je zdobyć.

- A jeżeli to wszystko nieprawda? Jeżeli na Devona nie ma żadnych haków?

- Na każdego są haki, Ben. Nie ma ludzi bez skazy. Może tak, może nie.

Kazar wyjął notes i przekartkował go. W pewnej chwili zamarł w bezruchu, po czym pokręcił głową.

- Ależ historia, Ben! Zupełnie nieprawdopodobna.

- Wiele jest takich historii.

- Nie takich. Możesz mi coś zdradzić?

- Co takiego?

- Easylog, twoja nowa firma, specjalizuje się w konferencjach, ale zaczynaliście od czegoś innego, prawda?

Wahałem się sekundę za długo. Kazar zwietrzył padlinę. Była stara i śmierząca, ale leżała na tym jałowym polu i czekała na odkrycie.

- Nie taki był pomysł na firmę - przyznałem.

- A jaki?

- Chcieliśmy robić gry fabularne dla dorosłych i sprzedawać je korporacjom.

- Gry fabularne?

- Rodzaj zabawy na różnego rodzaju spotkania firmowe, imprezy okolicznościowe i podobne okazje.

- Na czym to miało polegać?

- Po co do tego wracać? Nie udało się - mruknąłem, ale ponieważ Kazar czekał, powiedziałem: - Mieliśmy opracowanych kilka scenariuszy, modyfikowanych pod potrzeby klienta.

- Podaj przykład.

- Zamiast nudnych imprez albo grilla proponowaliśmy firmom przygodę dla pracowników. Na przykład autobusy wiozące ich do teatru nagle skręcały do lasu i wiozły na pole, gdzie musieli zorganizować sobie sami nocleg, ognisko i podobne rzeczy. Oczywiście zapewnialiśmy też dodatkowe atrakcje w postaci kwieciście opowiadających tropicieli, którzy pokazywali, jak za pomocą patyka wskrzesić płomień, ustalić godzinę na podstawie położenia gwiazd, znaleźć północ, sprawdzając, z której strony drzewa są obrośnięte mchem... Pracownicy lubili takie akcje. To było coś, gdy nagle wszyscy musieli zaufać jakiemuś traperowi.

- Albo traperce - wtrącił Kazar. - Zatrudnialiście też traperki?
- Owszem, jeśli klient sobie tego życzył.
- Podobno w ofercie miałeś nawet symulowany atak terrorystyczny?

Rozdział 24

Spojrzałem na niego ze złością. Podpuścił mnie do zwierzeń, a dobrze wiedział o tajemnicach Easylog. Wcale nie musiałem tego opowiadać. Z drugiej strony to ja poprosiłem o rozmowę. Miał prawo pytać, o co chciał. Za ten numer z Florydą.

- To był głupi pomysł. Dostaliśmy po głowie od lokalnej gazetki i wycofaliśmy go z oferty. Te nasze wyczyny w sumie były dość bezpieczne, takie niezbyt wymyślne zabawy jak wyprawy do wioski wikingów, uniwersum z *Gwiezdných wojen*, obozu Indian. Nurkowanie, wspinaczka, inne sporty ekstremalne. Naprawdę rzadko zdarzało nam się organizować coś wyjątkowo odbiegającego od schematu. Nie było w tym nic nowatorskiego, wiele firm tak robi.

- Hmm... - Kazar przejechał językiem po górnej wardze, przerzucił kilka kartek i przeczytał z notesu: - Niejaki Henry Siegel, pracownik kancelarii prawnej Vesell & Hoggies specjalizującej się w obsłudze fuzji i przejęć, zażądał w dwa tysiące dziesiątym odszkodowania za żart zorganizowany przez współpracowników i partnerów firmy. Siegel twierdził, że był przez cały weekend przetrzymywany w budynku firmy i terroryzowany przez bandytów, którzy potem okazali się aktorami wynajętymi do sfingowania porwania.

- Nie miałem z tym nic wspólnego - zaprzeczyłem szybko.

Nie kłamałem. Firma chciała nas wynająć, ale odmówiliśmy ze względu na ryzyko narażenia się na zarzuty o złamanie prawa. Mogliśmy robić różne rzeczy, ale nie łamaliśmy prawa.

- Jednak zeznawałeś w procesie?

- Tylko dlatego, że jeden z tych aktorów pracował też dla mnie. W przedstawieniach korporacyjnych grał Zerga.

- Kogo?

- To plemię kosmicznych najeźdźców ze znanej gry komputerowej. Urządzaliśmy bitwy paintballowe w

księżycowej scenerii. Zergowie walczyli z Terranami, czyli ludźmi. Ten aktor był zawsze Zergiem.

- Aha. Ten Siegel nie dostał jednak odszkodowania.

- O ile wiem to był drań, wymyślał niestworzone historie. Próbował szantażować partnerów firmy, żeby dali mu awans, sprzedawał klientów dziennikarzom i ciągle intrygował. Nie dziwię się, że postanowili wykręcić mu numer. Jednak nie wiąż mnie z tą sprawą, bo to nie ja zorganizowałem tę imprezę. Podobno podczas „przedstawienia” narobił w gacie.

- Podobno?

- Usłyszałem o tym podczas procesu.

- Tak czy inaczej ci, którzy uczestniczyli w twoich inscenizacjach, uważali, że przeżycie było wyjątkowe.

- To prawda, mieliśmy dobre recenzje. Może dlatego, że zaskakiwaliśmy naszych klientów. Pracownicy firm do końca nie wiedzieli, czego się mogą spodziewać. Tym różniliśmy się od konkurencji.

- Czy to prawda, że pracownicy podpisywali klauzule o poufności, a potem ich przestrzegali? - Kazar przerzucił stronę w notesie. - Dotarłem do kilku, żaden nie puścił pary.

- Miło wiedzieć.

- To świadczy o tym, że albo byli bardzo zadowoleni, albo się boją.

- Nie mają się czego bać, nikogo nie zastraszalem. To element zabawy. Mogli mówić, jeśli by chcieli. Nie wytoczyłbym im procesu, a już na pewno nie posunąłbym się do żadnych gróźb fizycznych. Nie jestem gangsterem.

Kazar zamknął notes i spojrzał mi przeciągle w oczy.

- Ciekawe, naprawdę ciekawe... W takim razie, dlaczego wam nie wyszło?

- Było za drogo.

- No tak, forsa. Tylko ona się liczy.

- Nie tylko. Dokładnie szacowaliśmy koszty, ale mieliśmy też duże tarcia wewnętrzne w firmie i walkę o koncepcje. To normalne na tym etapie. Ostatecznie okazało się, że lepiej robić coś, na co jest po prostu większy popyt i co jest prostsze w realizacji.

- Z Wallym było odwrotnie...

- Wally to szansa jedyna w swoim rodzaju. Grzech jej nie wykorzystać. Coś takiego nie trafia się dwa razy w życiu.

Kazar poprawił się w fotelu.

- Naprawdę nie wiesz, dlaczego tak cię wypytuję, Ben? Nie domyślasz się, czego szukam?

Kolejne drugie dno?

- Nie wiem - przyznałem.

Długo zwlekał z zadaniem kolejnego pytania. Przesunął dłonią po włosach, powiódł spojrzeniem po butelkach przy barze i w końcu zapytał:

- Słyszałeś kiedyś o rodzinie Gambino?

Oglądam telewizję, do licha. Na kanałach informacyjnych rzadko ostatnio o nich mówiono, chyba że w pasmach sądowych. Za to w kablówkach i programach w stylu *Prawdziwa zbrodnia* Gambino występowali częściej niż przecinek. Pewnie nie zawsze zasłużenie.

Przypomniałem sobie *Ojca chrzestnego*, którego Puzo napisał ponoć z myślą o tej właśnie rodzinie, zainspirowany losami jednego z bossów. Wypchane policzki Marlona Brando i koński łeb podrzucony producentowi telewizyjnemu to były dość zabawne gry z rzeczywistością. W prawdziwym świecie wszystko odbywało się znacznie bardziej brutalnie i bez takich finezyjnych wolt. Oczami wyobraźni ujrzałem bladą, błękitnąwą gębę o wydatnym nosie i obwisłych policzkach, a nad nią złowieszczą lufę pistoletu przystawioną do mojej głowy. Tak mogą skończyć się rozmowy z dziennikarzami o rodzinie Gambino.

Bang.

Cóż, prawda to nie film. Prawda jest czarna, pełna niepokoju, drażliwa. Co nie zmienia faktu, że w młodości uwielbiałem filmy o chłopcach z ferajny i zawsze chciałem być jednym z nich. W dziecięcych zabawach pistolety na kapiszony nie sprawiały bólu i zawsze się zmartwychwstawało.

- Gambino... - powtórzyłem.

Przed oczami stanął mi rząd postaci w dobrych garniturach z wysmarowanymi brylantyną czarnymi włosami i mocnymi

szczękami twardych nowojorczyków. Kazar pokiwał głową.

- Tak, Gambino.

Ich czasy jednak też już minęły. Dziś dzieciaki straszy się kolorowymi gangami i ćpunami. Mafia to przeżytek, zbyt ucywilizowany, by przerażać w świecie, gdzie byle gówniarz wyciąga giwerę i zabija dziesiątkę osób.

Czy Devon mógł z nimi współpracować? Czemu nie, jeśli przyszedł do niego i chcieli dać kasę. Devon robił interesy z różnymi draniami, jak jego ojciec. Tego się nauczył. W interesach nie ma sympatii i moralności, tak jak nie ma dozgonnych wrogów. Przeciwnik w każdej chwili może stać się współnikiem.

- Mafia? Zainwestowali w SkyCom, a ty chcesz to nagłośnić?

- Nie do końca, Ben, to nie takie proste. Wtedy Gambino nie inwestowali pieniędzy, tylko je pożyczali. Devon nie miał wystarczających środków na rozwój Wally'ego i dlatego się do nich zwrócił. Pewnie nie wiesz, ale SkyCom stał na granicy bankructwa, Devon był maksymalnie zadłużony, a banki powoli zaczynały upominać się o swoje. Nikt mu już nie chciał pożyczyć pieniędzy, bo nikt nie wiedział, że Wally odniesie taki sukces. Na Wall Street już odliczano dni i godziny do przejęcia firmy przez banki i rozprzedania jej konkurentom. Gdyby tak się stało, nigdy nie byłoby Wally'ego.

Może tak byłoby lepiej.

- A więc Devon pożyczył pieniądze od mafii?

- To była ostatnia deska ratunku, bo przecież do ojca nie mógł się zwrócić. To dopiero byłaby porażka. Tak więc pożyczył od chłopaków z Nowego Jorku. Na wysoki procent, tonący brzytwy się chwyta, szczególnie jeśli czuje, że ma jakąś szansę, że może odwrócić los, że ten zwrot czeka tuż za rogiem. Żeby oddać te pieniądze, Devon musiał iść na giełdę, i to jak najszybciej. To był zresztą jeden z warunków rodziny. Oni chcieli wyprać te pieniądze, przepuszczając je przez rynek kapitałowy, a w okresie tego szaleństwa technologicznego nie było to trudne. Żeby uzasadnić wpływ środków, Devon musiał za to robić kreatywną księgowość.

Koło się zamknęło.

Może tego szuka teraz SEC?

- Ale przecież Wally i Wallnet jednak powstały - przypomniałem. - Ich wartość jest o niebo wyższa niż kiedyś. Gambino pewnie bardzo by chcieli mieć w tym udział.

- Jasne. Tak czy inaczej to świetna historia na reportaż, szczególnie w połączeniu z twoją sprawą. Mam jeszcze tylko jedno pytanie.

- Jakże?

- Czy to prawda, że ukradliście Wally'ego jakiemuś Polakowi?

Rozdział 25

Nie, nie ukradłem Wally'ego Robertowi Kozińskiemu. Byliśmy przyjaciółmi, prawdziwymi.

Poznałem go w irlandzkiej knajpie w Warszawie. Dwóch nieznajomych, których łączy zamiłowanie do guinnessa i Jamesona, zawsze się ze sobą dogada. Był tajemniczy, małomówny i piekielnie inteligentny. Każde wypowiedziane przez niego zdanie wydawało się zawierać jakiś ukryty podtekst. Pierwszy raz spotkałem obcokrajowca, który potrafił mówić po angielsku w ten sposób. Mógłby uchodzić za rodowitego Angoła, gdyby nie ten cholerny wschodni akcent.

- Za granicą zwykle biorą mnie za Rosjanina - powiedział.

- To dlatego, że pijecie niemal tyle samo co Rosjanie.

Spojrzał na mnie zagubionym wzrokiem. Coś wyraźnie go gryzło, jednak opowiedział mi o tym dopiero w połowie drugiej butelki. Maślane oczy spoglądały na mnie z tęsknotą, bo i właśnie tęsknotę wyrażały.

- Kobieta. Wszystko przez kobiety - zaczął, a potem opowiedział mi o nieszczęśliwej miłości do dziewczyny, która doprowadziła go do zguby. - Na dodatek była przeklętą Czeszką. Wiesz, że Polaków strasznie śmieszy język czeski. W drugą stronę też to działa. Staramy się mówić całkiem poważnie, a wychodzi zabawnie.

- Zostawiła cię?

- Tylko na chwilę. Przynajmniej tak powiedziała. Dla niej to tylko chwila, dla mnie cały miesiąc cierpień.

- Więc nie ma co się martwić.

- Zawsze to lepszy powód do picia niż prawdziwe zmartwienia. Piękne poranki są najlepsze do umierania.

- Byle nie na trzeźwo.

- Lubię cię, jankesie.

Musiałem go prawie zanieść do domu. Na szczęście nie był za ciężki. Chudy, mały i brzydki. A przez to taki zabawny.

Mieszkał w wynajętej od jakiejś staruszki garsonierze na poddaszu starej kamienicy. Wniosłem go na górę i ułożyłem do snu. Mogłem z nim zrobić wszystko. Okraść albo zamordować. Zaufał facetowi, któremu przychodziły do głowy takie właśnie głupie myśli. Rozejrzałem się po mieszkaniu i właśnie wtedy zobaczyłem pierwszy prototyp Wally'ego, choć trudno było go tak nazwać. Był dziwnym urządzeniem zbudowanym na bazie starego peceta i telewizora. Wyglądał jak twór speców od efektów specjalnych w filmach typu *Powrót do przyszłości*. Obejrzałem go sobie, ale nie odważyłem się włączyć. Obok klawiatury komputera stało duże czarno-białe zdjęcie wyjątkowo brzydkiej dziewczyny. Miała pospolitą, wychudzoną twarz, duże czarne okulary i nieproporcjonalną budowę ciała. Uśmiechnąłem się na myśl, że do siebie pasują. Robert i ta kobieta wydawali się ulepieni z jednej gliny. Ale czy to ważne, jak się wygląda, jeśli tak bardzo się pokochali?

Tak właśnie sobie pomyślałem.

Odwiedziłem go następnego dnia, potem kolejnego, i tak zaczęliśmy się spotykać i przyjaźnić. Studiował informatykę i fizykę z indywidualnym tokiem nauczania. Ponieważ nie osiągał spodziewanych wyników, uczelnia chciała się go pozbyć. Oczekiwano, że będzie brał udział w pracach badawczych i międzyuczelnianych zawodach, a on wołał trzymać się w cieniu.

Przyjmował wszystko ze spokojem.

Był najspokojniejszym człowiekiem, jakiego znałem.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem jego obliczenia dotyczące sztucznej inteligencji, wiedziałem, że jest cholernym geniuszem. Kiedy pokazał mi system i włączył ów wspomniany przeze mnie prototyp komunikatora zbudowanego na bazie starego peceta 486 z podłączonym czarno-białym telewizorem zamiast monitora, byłem pod takim wrażeniem, że nie mogłem spać dwie noce.

Myślałem, jak to wykorzystać.

Czułem, że trafiłem na szansę, jedyną w swoim rodzaju. Palicho, że główny pomysł był kogoś innego. Ja wiedziałem, jak go wykorzystać i sam zacząłem się czuć jak geniusz. Nie

chciałem oszukać Kozińskiego, do diabła. Chciałem z niego zrobić milionera. Zresztą nie chodziło o pieniądze, tylko o sławę. Człowiek robi wszystko, żeby wybić się na szczyt i żeby o nim nie zapomniano.

Trzeciej nocy takiego intensywnego myślenia nie wytrzymałem i pobiegłem do Roberta.

- Musimy to zrobić! - stwierdziłem stanowczo.

- Co takiego?

- Znaleźć komercyjne zastosowanie dla twojego urządzenia. Sprzedać je komuś. To będzie wielki sukces.

- Dlaczego ktoś miałby je kupić? To tylko zabawka.

- Naprawdę nie rozumiesz, jaka to szansa?

Uśmiechnął się z tym swoim stoickim spokojem i odparł:

- Ja widzę w tym nie szansę, tylko zagrożenie.

Długo mi to tłumaczył, a ja udawałem, że nie rozumiem. Jak to? Pomysł wart miliony, a może nawet miliardy, ma się zmarnować, bo jego autor ma skrupuły, boi się społecznych skutków i odpowiedzialności, nie wierzy w moc kontroli? Nauka ma się cofnąć wstecz, bo tak sobie życzy jakiś Koziński? Einstein też powinien się cofnąć i nie myśleć?

Nie, nie rozumiałem go.

Postanowiłem w tajemnicy popracować nad jego obliczeniami i opracować koncepcję ich wykorzystania w przemyśle. Uznałem, że jeśli mi się uda, wrócę z gotowym planem do Roberta i namówię go do współpracy. Założymy spółkę, a ja zwrócę się o wsparcie do Intela albo innego technologicznego potentata. Zrobimy projekt, pozyskamy dalszych inwestorów, powołamy do życia firmę, która skomercjalizuje nasze pomysły. Wszystko w imię nauki. Wierzyłem w to. Nie chciałem nikogo okradać.

- Tak powstał pierwszy prototyp Wally'ego. Bardzo niedoskonały, daleki od finalnej wersji, znacznie różniący się od komunikatora stworzonego przez Roberta, bo miałem inne założenia. To ja go zrobiłem, nie Koziński.

Odniosłem wrażenie, że Kazar nie słucha mnie zbyt uważnie.

- I co na to ten Polak?

- Nie zdążyłem z nim porozmawiać.

- Dlaczego?

Miałem wrażenie, że dobrze zna odpowiedź. Na pewno ją znał, skoro w ogóle poruszył tę kwestię. W oczach Kazara zobaczyłem zapadniętą, bladą twarz Roberta Kozińskiego, polskiego geniusza, brzydkiego niemal tak, jak Woody Allen. Szare oczy bez wyrazu, cienkie, sprawiające wrażenie przetłuszczonych włosy, nieciekawym grymas ust zamiast uśmiechu, żółte zęby i rachityczna sylwetka. Ktoś taki nikogo nie wyzywał na pojedynki, nie prowokował pojedynków na wielkość kutasów i inne cechy męskiego ego, nie zaczepiał kibiców piłkarskich.

- Zginął w wypadku - odparłem cicho.

Rozdział 26

Kazar nagle się ożywił. Śmierć zawsze ożywia dziennikarzy.

- Jak to?

Przymknąłem oczy i znów zobaczyłem sceny z Warszawy. Z szalonego miasta paradoksów i wszechobecnych koszmarów przeszłości, z rosyjskim pałacem w centrum wybudowanym w imię przyjaźni pomiędzy bratnimi narodami, z tunelami i autostradami zalewanymi przez deszcz i podziemne wody, niemal całkowicie zniszczonego w czasie wojny i odbudowanego później kamień po kamieniu.

Z miejsca, gdzie na tej samej ulicy można było dostać łomot, zakochać się, upić i o wszystkim zapomnieć, zostać przebudzonym o poranku przez bezdomnego częstującego papierosami, który tłumaczył, że on nie pali, bo papierosy szkodzą na zdrowie, i nie je mięsa, bo większość tuczników faszerowana jest antybiotykami.

Z miasta, w którym spędziłem dwa fascynujące lata, chyba tylko po to, by na koniec poznać kogoś takiego jak Robert, gościa z mózgiem pracującym na zupełnie nieprawdopodobnych częstotliwościach.

W jednej sekundzie przebiegły mi przed oczami te długie zimowe miesiące, wiosenne zabawy podczas studenckich juwenaliów, lato na łodzi przemierzającej małe, urokliwe jeziora, masa wspaniałych, choć mocno zagubionych, wyniszczonych przez biedę ludzi, tłumaczących mi paradoksy komunizmu, którego cień był ciągle obecny w tym społeczeństwie.

A potem śmierć Roberta. Reportaż telewizyjny i krótka notka w gazecie.

Ja i dokumentacja prototypu Wally'ego w mojej teczce, długie oczekiwanie przed domem Kozińskiego, powrót na kwaterę i wreszcie informacja w telewizji. Zdolny student zasztyletowany w tramwaju przez dwóch chuliganów.

- Zwrócił uwagę w tramwaju pijanym kibicom. Sprzedali mu kosę. Tak to się u nich nazywa.

- Wypadek - powtórzył z namysłem Kazar. - A może celowo go zamordowano?

- Nie sędzę. Sprawa została wyjaśniona. Tych dwóch złapano. Całe zdarzenie nie wzbudziło kontrowersji.

- Czy Devon był tam z tobą?

Pozornie zwyczajne pytanie. A jednak niosło jakiś ładunek, którego się obawiałem.

- Do czego zmierzasz? - zapytałem.

- Wiem, że poznaliście się dużo wcześniej, niż przyszedłeś do SkyComu, Ben. Po prostu pytam, czy to nie było w Warszawie?

Miałbyś fajną wrzutkę do tekstu. Ja niczego nie sugeruję, ale pierwszy twórca algorytmów, na których działa Wally, zginął akurat wtedy, kiedy Devon Clark był w Warszawie. Zdziwiający zbieg okoliczności.

- Nie, Ian, nie było go tam. Devon nigdy nie poznał Kozińskiego. Nie wiąż tych spraw. Nie byliśmy wówczas przyjaciółmi, Devon nie miał nic wspólnego z Robertem. Nie znał go, nie widział planów. Nie miałby powodu, by go mordować, jeśli do tego zmierzasz.

- Ale ty byś miał powód?

Patrzył uważnie, szukając cienia fałszu na mojej twarzy, jednej źle zagranej nuty. Nie znalazł. Zastanawiałem się, czy to dlatego, że potrafię dobrze kłamać, czy po prostu mówiłem prawdę. Mówiłem, tak było - przekonywałem sam siebie. Czy aby na pewno? Co poczułem, gdy dowiedziałem się o śmierci Roberta? Czy zamiast się zmartwić, nie wyczułem szansy? Przecież powinienem z tym projektem iść do jego rodziny, z nimi to dogadać. A co zrobiłem? Wyjechałem do Stanów i odnalazłem Devona, syna bogatego przedsiębiorcy, który pragnął tylko jednego: przypodobać się ojcu, ale nie miał na to żadnego pomysłu.

A Devon zapalił się do pomysłu tak samo jak ja.

- Jak dużo Wally zawdzięcza projektom Kozińskiego? - zapytał Kazar.

- Wiesz, technologia to dziwna rzecz. Naukowcy na całym świecie ścigają się na patenty, tworząc wiele odmian w gruncie rzeczy tych samych wynalazków. Wiesz, że pierwszy komputer osobisty też wynalazł Polak? Ale nie potrafił z niego zrobić użytecznego narzędzia i wdrożyć go produkcyjnie, co zrobił IBM. Microsoft też się na kimś wzorował. Gdyby bracia Lumiere nie zrobili słynnego pokazu, być może wynalezienie kinematografu przypisano by jakiemuś Czechowi czy Polakowi. Mamy na to dość dużo przykładów. Wszystko jest płynne.

- Co wymyślił Koziński?

- Ile wiesz o sztucznej inteligencji, Ian?

- Że jest niedoskonała.

- Wally też jest niedoskonały.

- A jednak przekroczył barierę. Ma się wrażenie, że myśli. Nie wiem, do jakiego stopnia to właściwe określenie, ale awatar SkyComu uczy się i decyduje, nie powielając błędów.

- Można powiedzieć, że osławiona sztuczna inteligencja zaskakuje nawet swoich twórców - przyznałem.

- Czy to zasługa Kozińskiego?

- Poniekąd. Polski naukowiec wyprowadził ciąg równań, które sprawiały, że ośrodek decyzyjny zamiast podejmować te same kroki, wybierając ze zbioru danych i możliwości, analizował je wielostopniowo i w zasadzie nigdy nie powielał swoich zachowań, szczególnie jeśli rozwiązanie nie przynosiło skutku. Zupełnie jakby się uczył na błędach, dodatkowo dopisując kolejne algorytmy niczym ludzki mózg. Bo tak właśnie działa ludzki mózg. Na równaniu to wygląda dość skomplikowanie.

Wyprowadziłem mu równanie Kozińskiego, wiedząc, że i tak nie pojmie. Dziennikarze to humaniści, czyli głąby.

Kazar mocno zacisnął usta. Trawił moje słowa i wypisywane na serwetce równania, niespecjalnie chyba starając się je rozgryźć. I słusznie. Nie rozumiałbyś ich geniuszu, a jednocześnie prostoty. To jest właśnie genialne. Zbyt proste, by mogło działać. A mimo to działa.

- Jeśli to prawda, facet powinien dostać Nobla.

- Nie całkiem.

- Dlaczego?

- Żeby dostać Nobla, trzeba coś udowodnić, pokazać, że działa. Opracować, opisać, udokumentować. Przeprowadzić eksperyment i dowód. Przejść całą badawczą ścieżkę, a potem obronić patent. Dużo zachodu. Koziński tymczasem bawił się swoimi pomysłami i tak naprawdę wymyślił równanie, które niczego nie udowadnia i nie potwierdza. Jest kwintesencją chaosu. Ale jeśli włożymy je w procedury procesora, to nagle zaczyna to wszystko działać. Maszyna... myśli.

Zawahałem się i po sekundzie dopisałem na kartce dwa słowa: test Turinga.

- Co to takiego?

Rozdział 27

- Niezbyt doskonała metoda badania sztucznej inteligencji. Polega na tym, że maszyna ma przekonać człowieka, że nie jest maszyną. Jeśli w trakcie rozmowy człowiek nie jest w stanie zorientować się, że ma do czynienia z maszyną, maszyna zdaje test. Właśnie w taki sposób zetknąłem się z Wallym zrobionym przez Kozińskiego. Robert poprosił mnie, żebym był sędzią i rozpoznał, która z osób czyta kwestie wypowiadane przez maszynę. Wally wtedy nie mówił, tylko pisał.

- I co? Odgadłeś.

Uśmiechnąłem się. Przez chwilę z mojej pamięci wychylił się Koziński, spokojny, choć rozbawiony. Uśmiechał się drwiąco pod nosem, patrząc na moją minę, a tymczasem Wally bez trudu wyprowadzał mnie w pole, dobierając wszystkie kwestie tak, że mogłem tylko strzelać. Ani jednej fałszywej nuty. Był lepszy niż prawdziwi ludzie, bo ci dość często pod wpływem stresu zachowują się sztucznie. Potem dowiedziałem się, że to była ulubiona zabawa towarzyska na politechnice: przechytryć komunikator Kozińskiego, odgadnąć, kto nie jest człowiekiem.

- W praktyce wyglądało to tak, że za jakimś przepierzeniem albo zasłoną chowały się trzy osoby i rozmawiały ze mną. Jedna z nich miała obowiązek czytać kwestie pojawiające się na ekranie komunikatora. Potem mogłem sobie prześledzić całą dyskusję.

- Odgadłeś?

- Za pierwszym razem nie.

- A za drugim?

Nie, za drugim też nie. Wally czasem nie zdawał testu, bo sędziemu człowiekowi udawało się trafić. Z drugiej strony, nie można było zapisać człowiekowi zwycięstwa, bo nie potrafił w zasadzie udowodnić twierdzenia. Wally mówił jak

człowiek. Wydawał się człowiekiem. I trudno było udowodnić mu oszustwo. Nie było mowy o żadnym przypadkowym efekcie, pomyłce w interpretacji, przyjęciu, że coś ogólnikowego odpowiada naszym oczekiwaniom. Nie, Wally mówił jak człowiek.

- Wally był pierwszym i jak dotąd jedynym programem komputerowym, który przeszedł test Turinga. I nie można tu mówić o żadnym przypadku. On po prostu potrafił rozmawiać z drugim człowiekiem.

- Niesamowite. Więc to prawda, że Wally sam to robi?

- A co? Myślałeś, że w SkyComie siedzi milion programistów odpowiadających na twoje pytania, dyktujących Walh'emu, co ma mówić, wyręczających go w podejmowaniu decyzji? Jak to byłoby możliwe przy milionach zleceń? Zastanów się, Ian: mamy już setki milionów klientów, nie można byłoby ich obsłużyć bez automatyzacji, a jakakolwiek próba zautomatyzowania procedur bez użycia sztucznej inteligencji oznaczałaby całkowitą klęskę. Wally... on po prostu funkcjonuje i myśli. A wiesz, co jest najlepsze?

Wzruszył ramionami.

- To, że Wally na początku składa się z dwóch linijek kodu. Cały system Wallnetu opiera się na przetwarzaniu równoległym i powielaniu schematu. Każdy człowiek zaczyna przygodę z Wallym od dwóch linijek kodu, a potem Wally dopisuje kolejne komendy i funkcje na bazie poleceń od właściciela lub samemu prowokując zdarzenia. To wygląda jak u dziecka. Tak jak dziecko, rodząc się, zaczyna na podstawie doświadczenia i impulsów zewnętrznych tworzyć swoją osobowość, tak Wally tworzy kod własnych doświadczeń, możliwości oraz funkcji. To nie jest oszustwo, Ian, to naprawdę działa.

- Mimo to są podejrzenia. Ciągłe pojawiają się jakies wątpliwości. Wielu ludzi twierdzi, że coś takiego jest niemożliwe.

- Brednie. Wally jest naprawdę inteligentną bestią i nawet jeśli jeszcze nie jest sztuczną inteligencją, to bardzo niewiele mu brakuje. Sam nie wiem, co mógłby jeszcze zrobić, by

przekonać niedowiarków.

- Może się zbuntować.

- To właśnie jest najlepsze. Ten system nie ma jak się zbuntować. Nie jest w stanie identyfikować wrogów. To jego zaleta i zarazem jedyna wada.

- Dzięki Kozińskiemu?

Skinąłem głową.

- Powinien dostać Nobla - powtórzył Kazar.

Tak, powinien, ale nie dostał. Było minęło, teraz już nie cofniemy czasu.

- Gdyby tylko przeprowadził dowód - powtórzyłem swoją fałszywą śpiewkę. - Ale on wołał osaczyć na chwilę chaos, pozwolić mu się rozwinąć i zostawić w spokoju. Wiesz, co mi powiedział, kiedy o to pytałem?

- Słucham uważnie.

- Że to tak, jakby kogoś zniewolił. On powołał go do życia i nie chce zniewalać. Dzięki otwartemu równaniu Wally będzie się uczył, będzie sobie spokojnie żył i funkcjonował w zamkniętym elektronicznym pudełku.

- Mówiłeś, że widział zagrożenia. Jakie?

- Coś, co nam się wymyka spod kontroli, jest nieprzewidywalne, prawda? Nie chciał tego. Nie chciał nieprzewidywalnego. Nie chciał, by to równanie czy urządzenie zaczęło kontrolować człowieka.

- Ty jednak postanowiłeś sprawdzić taką możliwość?

- Tak. Postanowiłem.

Kazar wyjął swojego Wally'ego i uruchomił urządzenie jednym przeciągnięciem kciuka po ekranie.

<Cześć, Ian. O, widzę, że masz gościa. Cześć, Ben> - powiedział awatar Iana, wyglądający jak jego miniaturowa kopia. W przeciwieństwie do mnie, Ian wyposażył swojego awatara we wszystkie cechy fizyczne, więc oblicze i postać były zminimalizowaną wersją prawdziwego Iana.

Powinienem być zaskoczony, że mnie rozpoznał, bo mój awatar był przecież tylko szarym cieniem, ale jakoś nie byłem.

- Wrzuciłeś moje zdjęcia na konto w Wallnecie? - zapytałem.

- Skąd wiesz?

- Wally mnie rozpoznał. A mój awatar nie jest zindywidualizowany.

<Masz rację, Ben, wykorzystałem bazę Iana> - przyznał Wally.

- Podaj stan pamięci - polecił Ian.

<Czterysta dwadzieścia giga zajętego dysku, dwa terabajty pięćset siedemdziesiąt dziewięć mega wolne. Wykorzystanie przestrzeni w chmurze na poziomie 0,0001 procent. Łączne wykorzystanie przestrzeni przez Wallnet: niespełna dziesięć procent i spada. Wiesz, Ian, że SkyCom buduje nową farmę serwerów na potrzeby naszej wielkiej społeczności? Dbamy o twoje interesy. Za dolara i dwadzieścia centów możesz wykupić usługę segregacji wiadomości... >

- Nie jestem zainteresowany - przerwał mu Ian. - Uśpij się.

<Jak sobie życzysz, Ian.>

- Zostaw włączony terminal - polecił Kazar.

<Oczywiście.>

Wally o twarzy Iana przeszedł przez ekran i zniknął.

- Niesamowite. Jak na filmie SF.

- Rzeczywiście. Z tego, co słyszałem, Devon pracuje intensywnie nad procesorem holograficznym. Niedługo Wally będzie trójwymiarową projekcją. SkyCom kupuje na lewo i prawo małe firmy zajmujące się wirtualną rzeczywistością i gramami wideo.

- Nie chciał kupić Easylog?

- Nie. Proponował coś innego, ale to naprawdę nieistotne. Jeśli uda mu się za rok wdrożyć program Wallnet 2.0, to rzeczywiście może doprowadzić do małej rewolucji. Już teraz większość dzieciaków nie widzi świata poza Wallnetem. Siedzą ciągle w sieci, chłoną wiadomości segregowane przez Wally'ego, ubierają go, wprowadzają w coraz nowsze gry symulujące prawdziwe życie, wykupują korepetycje Wally'ego, książki polecane przez Wally'ego, oglądają filmy z jego biblioteki, obrazy, zdjęcia. Każda usługa za dolara i dwadzieścia centów.

Kazar uważnie studiował moją twarz.

- Nie bardzo ci się to podoba?
- Widzę pewne zagrożenia... Nie tak wyglądała pierwotna koncepcja Wally'ego.
- W jakim sensie?
- Nie tak masowo, nie tak płytko. Mieliśmy powoli wprowadzać usługi, testować je. Devon uznał, że to niepotrzebne, jeśli coś się nie sprawdza, po prostu to likwiduje. Nikt nie upomina się o dolara i dwadzieścia centów. Nie ma to jak testy na żywym organizmie. Pewnie słyszałeś o aferze z seksywally?
- Usługa dla dorosłych, ale wykupiona głównie przez dzieci.
- Devon starał się to ukryć, dopiero kiedy gazety nagłośniły sprawę, zarządził audyt i wycofał ofertę. Ale sieć jest wolna, ona wciąż funkcjonuje. Dzieciaki bawią się, kojarząc swoje awatary, które pieprzą się na ich oczach. Porno niemal w 3D.
- Jeśli to prawda z tymi hologramami...
- Na dodatek obawiam się, że dziś bez zgody Devona żadna gazeta nie napisałaby krytycznie o programach Wally'ego. Seksywally była ostatnią taką sprawą, a dziennik, który ją opisał, już nie istnieje.
- Tajemniczy inwestor kupił udziały w gazecie i uznał, że nie jest mu potrzebna.
- Pozostałe media powoli przenoszą się do Wallnetu, korzystają z narzędzi dostarczanych przez Devona i - pomijając nawet siłę budżetu reklamowego SkyComu - zwyczajnie nie chcą zadzierać z kimś, kto może ich wyciąć z programu rekomendacji i reklamy. Jeśli chcesz mieć sprzedaż, nie zadzieraj z Wallym. Takie reklamy pewnie się wkrótce pojawią. Wiesz, Kazar, tak się zastanawiam... Jeśli rzeczywiście chcesz dokopać Devonowi, to komu sprzedasz ten materiał? Wierzysz, że ktoś go kupi od ciebie? Że opublikuje go albo wyemituje?
- Jeśli materiał będzie dobrze udokumentowany, to tak. Nie martw się o to, Ben.
- Devon nie kupił sobie całej medialnej przestrzeni. Zawsze znajdzie się ktoś, kto stanie po stronie prawdy.
- Jak w *Gwiezdnym wojnach*. Problem w tym, czy ciemna

strona mocy nie będzie silniejsza.

Kazar zadumał się na chwilę, a ja powiedziałem:

- Koziński chyba przeczuwał, do czego to może prowadzić. Dlatego nie chciał pozwolić mi na pracę nad jego równaniami.

- Ale ty zlekceważyłeś jego wolę.

Nic nie odpowiedziałem.

Rozdział 28

Nie chciało mi się spać. Miałem nieźle w czubie, lecz ostatnio alkohol niemal w ogóle na mnie nie działał. Mogłem pić bez końca, zachowując jasny umysł. Dziwne.

Kazar odjechał taksówką. Patrzyłem długo na jej zanikające w dali czerwone światelka, rozważając, czy to dobrze, że go w to wplątałem. Wiedziałem, że mi pomoże, ale dręczyły mnie wyrzuty sumienia. A jeśli to będzie jego zawodowy koniec? Ben Stiller grzebie ostatnią szansę Iana Kazara na wielką karierę. Co powiesz na tekst pod takim tytułem, dziennikarzu?

Westchnąłem i powłóczęc nogami, ruszyłem przed siebie ulicą, nie zastanawiając się, dokąd zmierzam. Jeśli wierzyć powieściom, droga zawsze doprowadzi pijanego do domu. Tam dom twój, gdzie serce twoje - tak kiedyś mówił mi Koziński. Nagle zachciało mi się płakać. Sally. Gdzie jesteś? Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę?

Na skrzyżowaniu wielki czerwony neon zachęcał do skorzystania z usług kawiarenki internetowej. Wszedłem do środka, napotykając podejrzliwe spojrzenie Murzynki z krótkimi kręconymi włosami. Była bardzo ładna i zadziorna. Chyba jej się nie spodobałem. Nie wyglądałem jak wszyscy ci grubsi, spoceni onaniści pochowani w niewielkich boksach i szukający w necie przygód lub możliwości zakupu nielegalnych towarów, broni albo narkotyków. Za jej biurkiem stała wielka reklama Wally'ego:

Oddaj swój komputer i weź najnowszy model Wally' ego z trzydziestoprocentową zniżką. Komputery to przeszłość.

A jednak nie wyginęły. W kawiarence nie było żadnego stanowiska z Wallym. Same notebooki, przymocowane do biurek stalowymi linkami.

Wykupiłem godzinę i poprosiłem o kawę.

Murzynka wcisnęła przycisk na ekspresie i po chwili podała mi plastikowy kubek wypełniony wrzącą brązową lurą.

Następnie przestała mnie dostrzegać i wbiła wzrok w swojego Wally'ego, na którego ekraniku rozgrywała się jakaś nocna gra towarzyska. Z dużym czerwonym numerkiem w dłoni podążyłem do swojego stanowiska, starając się nie zwracać niczyjej uwagi.

Dziewiątka. Mój szczęśliwy numerek.

Wybudzony z uśpiania ekran pokazał 59:59 do końca wykupionego czasu. Wszedłem na Wallnet i po opędzeniu się od niezliczonych reklam wyszukałem podstrony grup społecznościowych poszukujących zaginionych. Linki do Sally wisiały wysoko, zawierały też dziesiątki odnośników, które powinienem uważnie przeczytać. Gdybym rzeczywiście jej szukał.

Powiększyłem zdjęcie na cały ekran i poczułem ucisk w gardle.

A jeśli ty rzeczywiście żyjesz?

Jeśli to nie jest oszustwo, kłamstwo i mistyfikacja?

Do diabła, gdybym nie wierzył, czy robiłbym to wszystko? Czy poświęciłbym dziesięć lat na poszukiwania?

Musiał minąć dobry kwadrans, zanim się w końcu otrząsnąłem. Moja spocona, blada twarz odbijała się w ciemniejszych partiach ekranu. Musiałem odpłynąć, odjechać na chwilę. Pospiesznie zamknąłem zdjęcie i zerknąłem na zegar odmierzający czas: 40:32.

Przez tych dziesięć lat dość często korzystałem z kawiarenek, ponieważ nie chciałem, żeby Devon, detektywi czy jakieś służby namierzili moją aktywność. Co prawda to żaden środek bezpieczeństwa, kamera umieszczona w suficie wszystkich nas rejestrowała, podobnie jak kamery uliczne, ale sam siebie przekonywałem, że zawsze jest jakaś szansa uniknięcia inwigilacji.

W sieci nigdy nie jesteś anonimowy. Pamiętaj o tym, Ben.

To była jedyna kwestia, w której byliśmy zgodni. Ja, Devon i Robert.

Wpisałem w wyszukiwarkę nazwisko Kozińskiego. Wskoczyło trochę linków, jednak nie znając polskiego, nie miałem co liczyć na znalezienie czegoś interesującego.

Tłumacz Google niezbyt dobrze sobie radził. Niechętnie wszedłem na zakładkę Wallnetu i podałem numer jednej z moich anonimowych kart płatniczych, płacąc dolara dwadzieścia centrów za asystę tłumacza. Wally bez trudu przetłumaczył polskie teksty. Był znacznie lepszy od wszystkich pozostałych dostępnych automatycznych tłumaczy razem wziętych.

Tylko dwa artykuły powstały w ciągu minionych dwunastu miesięcy. Wszystkie pozostałe dotyczyły okresu sprzed dziesięciu - piętnastu lat. Znałem je bardzo dobrze. Po śmierci Roberta wielokrotnie powtarzałem wyszukiwania, ale nigdy w asyście Wally'ego, i dlatego niewiele rozumiałem. Teraz klikałem po kolei linki i czytałem nagłówki artykułów.

Niektóre były płatne, więc je omijałem. W zasadzie nic nowego. Dziewięćdziesiąt pięć procent odnosiło się do tragicznej śmierci Kozińskiego, marszu protestacyjnego przeciw przemocy, procesu dwóch zabójców, ich skazania. W jednej z gazet pojawił się duży wywiad z zabójcą, który przeproszał wszystkich i wyrażał skruchę. Drugi nie chciał z nikim rozmawiać. Podobno na procesie także nie powiedział ani słowa.

Obaj dostali wyrok dwunastu lat więzienia. Wyszli po ośmiu.

Mordercy uzdolnionego studenta na wolności - głosił jeden z ostatnich linków. Krótka sucha notka, bez nazwisk, ani nawet inicjałów. A jednak wiedziałem, że to o nich mowa. Tak jak wiedziałem, co przeczytałem w ostatnim, najnowszym linku.

Była to strona jakiegoś pravicowego ugrupowania z listą nazwisk osób, które zginęły w tajemniczych okolicznościach. Przy niektórych nazwiskach były opisy podejrzanych okoliczności śmierci. Samobójstwa, zgony w szpitalach, wypadki. Portal w kilku językach podawał następującą informację:

Oto Lista Śmierci. Na tej stronie omawiamy szokująco liczne, udokumentowane przypadki niewytłumaczalnych zgonów osób publicznych, bojowników o wolność, zaskakujące samobójstwa, dziwne wypadki drogowe, choroby niespodziewanie dopadające osoby całkowicie zdrowe. Oto lista zbrodni

systemu. Nie zapomnimy. Będziemy walczyć o prawdę!

Jedyne chyba miejsce, gdzie obok prezydentów, generałów, polityków i policjantów można było znaleźć dane pospolitych szpiegów, zabójców, zbrodniarzy i gangsterów. Wszyscy w jednym dobrze wymieszanym i zmanipulowanym worku.

Dwa nazwiska, których szukałem, znajdowały się na samym dole. Przy obu zaledwie kilka zdań wyjaśnienia. Śmierć w wyniku przedawkowania narkotyków. W obu przypadkach identyczne okoliczności, podobna dawka narkotyku, nawet ten sam rodzaj. Jeśli tak było naprawdę, to zgony rzeczywiście wyglądały podejrzanie. Matt wyjaśnił mi jednak kiedyś, że większość tego typu stron w internecie to niewiele warte powielacze teorii spiskowych.

- Wpisują każdego trupa na listę rzekomych tajnych działań rządów. Wysyłają ostrzeżenia przed nowymi lekami, szczepionkami i produktami. Informują, że Chińczycy wkładają modemy szpiegowskie do każdego urządzenia elektronicznego...

- No wiesz, akurat jeśli o to chodzi...

- Tak, tak, czasem mają rację. Czasem teoria spiskowa się sprawdza.

Czasem.

Przy jednym z nazwisk znalazłem źródło artykułu z gazety. Nie mogłem go początkowo znaleźć w sieci, ale gazeta miała płatne archiwum. Wykupiłem dostęp i wyszukałem interesujący mnie tekst. Zwykła, niewielka notka o wszczęciu śledztwa w sprawie śmierci w wyniku przedawkowania narkotyków.

Śledztwo wszczęto po tym, jak sąsiedzi denata donieśli, że tuż przed zgonem w jego mieszkaniu przebywało dwóch mężczyzn o azjatyckich rysach twarzy. Policja podejrzewa, że ofiara miała kontakty z mafią i jej śmierć może być wynikiem porachunków gangsterskich. Ciekawostką jest fakt, że ofiara była wcześniej skazana za rozbój i zabójstwo młodego studenta.

To on. Ale artykuł i tak mi nic nie dał. Co najwyżej świadomość, że śmierć tego chłopaka mogła nie być przypadkowa.

Nie była. Dobrze wiedziałem, że nie była.

Zamknąłem okno z wynikami wyszukiwania i po chwili wahania wpisałem w wyszukiwarkę jedno słowo.

Gambino.

Wyskoczyło kilkadziesiąt tysięcy trafień dotyczących jednej z najszynniejszych rodzin mafijnych w historii, której początki sięgają lat trzydziestych dwudziestego wieku, kiedy to niezwykle inteligentny i bezwzględny włoski szewc postanowił wziąć sprawy w swoje ręce i zamordował terroryzującego całą dzielnicę imigrantów gangstera, po czym szybko zorganizował własne struktury, które pięć lat później zostały docenione przez inne rodziny tworzące trzon ówczesnej mafii. Po kolejnych dwudziestu latach to Gambino trzymali stery zorganizowanej przestępczości, hazardu, wymuszeń, prostytucji i handlu narkotykami na Wschodnim Wybrzeżu.

Okłamałem Kazara, że nic nie wiem o udziałach rodziny w SkyComie. Swego czasu było o tym dość głośno na korytarzach zarządu korporacji. Wówczas wszyscy udawali, że to nic takiego. Pożyczyć pieniądze od mafiosów? A co w tym złego? Czy bankierzy są lepsi? Tłumaczyliśmy sobie, że Gambino to nie zwyczajni, prymitywni mafiosi. Poza ściąganiem haraczów, hazardem, praniem pieniędzy, prostytucją i morderstwami zajmowali się też wieloma legalnymi biznesami. Tyle że lepiej było ich nie kantować.

Kliknąłem na link do nazwiska Steve Gambino i przeczytałem o młodym, prężnym biznesmenie, który chce się całkowicie odciąć od niesławnej historii rodziny.

„Podobno moim pradziadkiem był człowiek, który posłużył za wzór dla postaci Vita Corleone, ale minęło już przecież sto lat i trudno mi to wypominać - mówił. - Poza tym, umówmy się, czy Vito rzeczywiście był taki straszny? Czy nie budził sympatii?”

Zajmował się funduszami inwestycyjnymi. Miał jedną z najbardziej prężnych firm venture capital działającej na rynkach wschodzących i walutowych, w której kapitał lokowali wszyscy możni tego świata z Wall Street. GCN Investments - tak się nazywała jego firma. Śmiałyśmy się, że skrót pewnie można rozwinąć w następujący sposób: Gambino Cosa Nostra

Investments.

Steve Gambino nie wyglądał na gangstera. Ale to nie on pożyczył pieniądze Devonowi Clarkowi. Dostał zupełnie inne zadanie.

Zadrzałem na wspomnienie tej jowialnej, pozornie przyjacielskiej twarzy lekko otyłego młodzieńca, którego oczy potrafiły w sekundę zmienić się w szkliste, śmiertelnie ostre klejnoty. Zabójcze dla ofiar i wrogów.

Zamknąłem wyszukiwanie.

Zegar wskazywał 15:20 do końca wykupionego czasu.

Nie powinienem tego robić. Naprawdę nie powinienem.

Wpisałem w okienko kolejną frazę.

Frank Stiller.

Dobrze wiedziałem, co wyskoczy, przynajmniej w interesującym mnie zakresie. O człowieku, który zginął przeszło trzydzieści lat temu, nie mogło pojawić się wiele nowego. Kliknąłem na artykuł z lokalnej gazety sprzed lat. Frank Stiller, brygadzysta w fabryce produkującej części do hydrauliki samochodowej, zginął podczas pożaru, ratując dwie osoby. Był bohaterem. Poświęcił swoje życie dla ratowania innych. Uratowani byli pijani, Stiller trzeźwy.

Uratowani nigdy niczego nie osiągnęli. Pierwszy zginął dwa lata później w wypadku samochodowym. Drugi żyje do dziś, jest pensjonariuszem państwowego domu opieki dla osób uzależnionych. Wystąpił w reklamie telewizyjnej mającej przestrzegać przed skutkami picia alkoholu i zażywania narkotyków.

Byli nic niewartymi szumowinami, a życie oddał za nich ojciec rodziny i wspomniał człowiek, który nigdy nie pił, za to miał jedno marzenie. Opatentować jakiś wynalazek dotyczący motoryzacji. Był blisko, bardzo blisko, ale wołał uratować czyjeś nic niewarte życie.

Zostawiłeś mnie, tato. Po prostu mnie zostawiłeś.

Rozdział 29

Zwariował. Stiller zwariował - to Charlie powinien przekazać Steve'owi. O ile wcześniejsze rozgrywki z policją, Devonem czy nawet Helen Berg dałoby się jeszcze jakoś przełknąć i wytłumaczyć, o tyle nocna schadzka z Kazarem pogrążyła go z kretesem.

Szukasz guza?

Chcesz umrzeć, do diabła?

Tak bardzo ci się spieszy do grobu?

Wszystko dla Sally?

Naprawdę była taka ważna?

Tak, widziałem jej zdjęcia, wiem, jaka była piękna, sam bym się skusił, ale normalny facet zapomina i... idzie dalej. Znajduje sobie inną lalę, płodzi dzieci, buduje dom, zarabia pieniądze, tworzy, żyje. Nie można żyć przeszłością. Tym bardziej jeśli ma się obok w łóżku takie ciało, jak tej twojej nowej laski. Nie wystarcza ci, nie jest równie dobra jak Sally?

Co z tobą, chłopcze?

Dziennikarze to żaden wybór, nic dobrego. Nikt nie lubi dziennikarzy, nawet oni sami. Oszukują cię i wykorzystają, a na koniec i tak dostaniesz kulkę. Nie tędy droga.

Charlie przez cały dzień przeglądał materiały z raportu detektywistycznego na temat Stillera, który przesłał mu Steve, nie wyjaśniając, kiedy i w jakich okolicznościach go zamówił. Było tam wszystko. Od narodzin Bena aż do zniknięcia Sally i późniejszych zdarzeń. Ostatnia kartka była datowana prawie dwa lata temu. A więc wtedy powstał raport. Steve chciał mieć pewność co do Stillera? Czy chodziło o zaginięcie Sally? A może o to i o to? Dziwne, taki gość jak Steve zwykle zdawał się na swoich ludzi, a nie obcych, nawet najbardziej uznanych detektywów.

Chyba że miał ważne powody.

Stiller. Ben Stiller. Chłopak z przedmieść, któremu się udało.

Biedak, co złapał Pana Boga za nogi. Albo diabła - jak lubił zawsze dodawać Charlie. Błyskawiczna kariera w SkyComie i jej finał, który dowodził, że nie warto się spieszyć i iść na skróty. Wielka miłość do Sally i jej nieoczekiwany, szybki koniec w morskich odmętach. Przyjaźń tak szybko przecięta nieprzewidywanym wypadkiem. A może nie nieprzewidywanym? Może echa przeszłości były zbyt głośne?

Jednak nie skończył na dnie, nie został kloszardem, nie wykrwawił się do końca. Nowa firma, nowe życie. Dziesięć lat odbudowywania samego siebie. Dziewczyna równie piękna jak Sally. Wszystko na dobrej drodze... i nagle cofka z przeszłości. Wymiociny przeznaczenia.

Pojawia się Steve, a potem sama Sally.

Nic już nie ma znaczenia.

Liczy się tylko ona.

Charlie westchnął i skupił się na obserwacji Stillera, który właśnie wszedł do kawiarenki internetowej. Czego on tam szuka o tej godzinie? Usiadł przed komputerem i stukał w klawiaturę. Charlie nie mógł pójść za nim. I wcale tego nie żałował.

Naprzeciwno było jakieś dziwaczne, całonocne bistro obsługiwane przez wysokiego, przerażająco chudego Araba o długich ramionach, palcach pianisty i szerokim, przyjaznym uśmiechu. Wszedł do środka i przez chwilę zastanawiał się, co powinien zrobić.

Dwukrotnie wybierał numer do Steve'a, lecz anulował połączenie przed pierwszym sygnałem. Po co mam cię budzić w nocy, Steve, zadzwonię rano.

Arab prowadzący bistro podszedł do niego, uśmiechnął się i przedstawił, ale Charlie nie był w stanie zatrzymać imienia w pamięci. Poprosił o kawę z kardamonem. Dwaj Murzyni siedzący na drugim końcu długiego stołu barowego obrzucili go niechętnymi spojrzeniami. Z głośników umieszczonych w ścianach dochodziła smutna, melancholijna pieśń w rytmie Bliskiego Wschodu. Charlie rzucił okiem na ścianę za barem, na której wisiała masa zdjęć z różnych politycznych wydarzeń, medale i puchary, a także jakieś chusty i naszywki na mundury.

Wszystkie nawiązywały do walki Palestyny z Izraelem. Nie boi się tego trzymać tutaj i teraz, po tym, co wydarzyło się 11 września?

- Jestem bojownikiem - wyznał barman. Uśmiech cały czas gościł na jego ustach.

A ja zabójcą - miał ochotę odpowiedzieć Charlie, ale tylko pokiwał głową. Nie bałbym się wsiąść z tobą do samolotu, tyle mogę powiedzieć.

Stiller wciąż wpatrywał się usilnie w monitor. Szukał czegoś, czego zapewne nie powinien był szukać. Charlie nie mógł tego dłużej ukrywać. Ponownie wybrał numer do Steve'a i tym razem zaczął na połączenie.

- Cześć.

Steve odebrał już po pierwszym dzwonku. Nie był zaspany.

- Stiller chyba oszalał - szepnął Charlie.

- Dlaczego?

- Przed chwilą skończył spotkanie z Ianem Kazarem. Znasz go?

- To ten dziennikarz?

- Tak. Rozmawiali kilka godzin. Teraz siedzi w kawiarence internetowej i czegoś szuka.

- Rozumiem. Dobrze się spisałeś, Charlie. Jak zwykle.

- Mam z nim pogadać?

Chwila wahania, a potem zimny, wyrachowany głos Steve'a:

- Nie. Tak się przypadkowo składa, że właśnie jestem w L.A. Sam z nim porozmawiam.

Serce podskoczyło Charliemu do gardła i zaczęło dramatycznie bić na alarm. Nie przewidział tego, że Steve może go zwyczajnie sprawdzać. Nie wierzył w przypadki. Czyżby wszedł na jakąś równię pochyłą? Jak kiedyś Meyer, o którym teraz nie chciał myśleć, a którego wspomnienie tak bardzo go niepokoiło. Czyżby Steve chciał odesłać go na emeryturę? W tej branży jest tylko jeden dom spokojnej starości. Pod ziemią.

- Oczywiście.

- Nie martw się, Charlie. Doceniam, co zrobiłeś.

- Jasne. Jesteś pewien, że mnie nie potrzebujesz?

- Na razie nie. Dziś sam dam sobie radę. Mocniejsze

argumenty zachowajmy na później.

- No to się zmywam.

- Cześć, Charlie.

- Cześć, Steve.

Dopił kawę i wyszedł, potrącając niby przypadkiem jednego z Murzynów. Tamten nie odpowiedział na zaczepkę. Może to i dobrze. Wcale nie chciał się bić, po prostu nie umiał inaczej reagować na wyzwania, nawet te niewypowiedziane.

Idąc w kierunku oceanu, natrafił na przedziwną scenę. Niska, ale ładna dziewczyna z fryzurą z lat czterdziestych, w mini godnej prostytutki i futerku zarzuconym na odkryte plecy, próbowała podnieść śpiącego pod palmą gościa w białym garniturze. Charlie stanął i przez chwilę obserwował jej poczynania.

- Mogę pomóc? - zapytał.

Dziewczyna spojrzała na niego i roześmiała się nieprzyjemnie.

- Jeśli masz pieniądze - rzuciła.

A więc prostytutka, na którą zresztą wyglądała. To trochę dziwne, odbierać zdobycz jakiemuś pijanemu marynarzowi.

- Ile?

Podawała cenę, a on się zgodził. Szli niespiesznie w kierunku hotelu Charliego. Dziewczyna pytała, kim jest, skąd pochodzi, co robi w L.A., a on kłamał, niespecjalnie starając się zachować choćby pozory prawdopodobieństwa. Powiedział więc, że jest psychiatrą, który przyjechał na sympozjum freudowskie i że specjalizuje się w zaburzeniach osobowości, szczególnie tych najbardziej jaskrawych, kiedy dotknięci nimi chorzy potrafią na zawołanie przywdziewać maski.

- To choroba? Na pewno nie udają?

- Wystarczy zobaczyć jedną taką scenę, żeby wiedzieć, że to nie jest spektakl.

- Chętnie bym zobaczyła.

On z kolei zapytał, ilu miała dziś klientów, a ona skłamała, że będzie pierwszym.

- Jestem prawie dziewicą - powiedziała z zalotnym uśmiechem.

Pomyślał, że jest naprawdę ładna jak na prostytutkę. Dawno

nie był z równie piękną kobietą. Tylko strój ją szpecił. Może specjalnie się tak ubierała. Nie chciała być zbyt atrakcyjna, żeby się nie zapracować. Lub wyrównać szanse. Może o to chodziło? Jesteś przyjacielska i nie chcesz się wyróżniać? A może jesteś jak cholerny Ben Stiller i myślisz tylko o miłości?

Co wspólnego ma miłość z seksem?

Nic.

A może jednak?

- A ten tam?

Machnął ręką w kierunku marynarza w białym mundurze.

- Widziałeś przecież, jak skończył.

- Myślałem, że to twój brat - zażartował.

- Bo tak jest. - Podjęła grę. - To mój brat.

Recepcjonista w hotelu udął, że nie widzi dziewczyny. Regulamin zabraniał przyjmowania gości po północy. Charlie otworzył drzwi kartą i przepuścił dziewczynę przodem. Od razu skorzystała z łazienki. Włączył telewizor i przerzucił kilka nadających wciąż o tej porze kanałów. Dziewczyna spuściła wodę po sikaniu i myła się przez chwilę pod prysznicem. Wyszła i zapytała, czy on też chce się umyć.

Pokręcił głową.

- Myłem się przed wyjściem.

- Jak chcesz. - Usiadła obok niego, zaczęła pieszczoty od uda. - Na co masz ochotę? Chcesz czegoś specjalnego?

- Chcę porozmawiać.

Roześmiała się.

- To rzeczywiście niezwykle. Albo banalne. Na filmach zawsze tak to wygląda. Przychodzi zbłąkany klient i mówi do dziwki, że chce z nią tylko porozmawiać.

Pokiwał głową.

- Moja praca jest... trudna. Nie mam z kim rozmawiać.

- Mówiłeś, że jesteś psychiatrą.

- Pacjenci nie są dobrymi rozmówcami.

- Za to z ciebie dobry kłamca.

- Nie lepszy niż z ciebie.

- Nie masz przyjaciół?

- Jednego... może. Ale to jednocześnie szef, pracodawca.

- Tam gdzie są zależności służbowe, nie ma miłości i przyjaźni. Tak mówi mój wykładowca filozofii.

- Studiujesz filozofię?

- W innym życiu, w którym nie jestem dziwką.

- Gównu wie - szepnął.

- Też tak myślę.

Przytuliła się do niego i popchnęła na łóżko. Zaraz potem ponownie przyłgnęła do jego ciała.

- Teraz możemy porozmawiać.

- Teraz to już nawet nie wiem, czy chcę.

Godzinę później zasnęli i Charlie po raz pierwszy od bardzo dawna miał sny, których głównym bohaterem nie był strach. Nie przyznawał się do tego nikomu, ale tak właśnie śnił. Spadał z wieżowca, umierał na stole operacyjnym, kończył mu się tlen pod wodą, patrzył wprost w otwór lufy ogromnego rewolweru albo obrzyna. Tak kończył się każdy sen. Śmiercią i strachem. Budził się, drżąc, a kiedy zasypiał ponownie, sen również powracał, tak samo straszny, albo jeszcze bardziej.

Tym razem było to coś innego, nie pamiętał co, nie mógł tego przywołać z tej warstwy świadomości, ale był pewien, że nie było tam strachu i śmierci. Śnił jak zupełnie normalny, zwykły człowiek. Coś sprawiło, że demony zostawiły go w spokoju.

Na jedną noc. Nie miało sensu robić sobie złudzeń.

Rankiem pocałowała go i zaczęła pieścić, jednak po chwili zrezygnowała. Dobrze mu było tak, jak było. Nie chciał seksu.

- Na pewno nie chcesz?

- Możesz już iść - odparł krótko i chłodno.

Patrzył, jak się ubiera, a kiedy wyszła bez pożegnania, mocno zacisnął powieki.

Bez błędnie potrafił zrażać do siebie nawet przyjaźnie nastawionych ludzi, również tych, którzy dali mu coś od siebie, choć wcale nie musieli. Tak jak ta dziewczyna.

Próbując zagłuszyć te myśli, zaczął zastanawiać się nad czymś innym. Ciekawe, co stało się ze Stillerm i Steve'em? Jak zakończyła się ich konfrontacja?

- Mam nadzieję, że jeszcze żyjesz, panie komiku. Jeśli nie wyprowadzisz Steve'a z równowagi, masz szansę przeżyć.

Rozdział 30

Wylogowałem się i wyszedłem z lokalu z paskudnym smakiem lurowatej kawy w ustach. Świtało.

Skręciwszy w kolejną uliczkę, usłyszałem za sobą warkot silnika. Czarne bmw wysunęło się powoli zza rogu i zrównało się ze mną. Jechało tak przez kilka sekund, po czym przyspieszyło i zatrzymało się przy sklepie z alkoholem. Akurat wyszedł z niego gość z wielkimi wąsami i w czapce. Splunął pod nogi i wyzywająco patrząc na samochód, ruszył w swoją stronę. Drzwi z tyłu pojazdu otworzyły się. Nikt nie wysiadł. Czekali na mnie.

Szedłem dalej, czując, jak nieprzyjemne drżenie rozpełza się po całym moim ciele.

Nie boję się śmierci, powtarzałem w duchu. Naprawdę się nie boję.

W środku było ich trzech. Dwaj z przodu, jeden z tyłu. Ten z tyłu był w garniturze, poprawiał mankiety oraz kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli. Jego usta lśniły, policzki wydawały się piekielnie gładkie, a oczy nie miały żadnego wyrazu.

- Witaj, Ben. Masz mi coś do powiedzenia?

Wzruszyłem ramionami. Cóż mogłem mu powiedzieć?

- Obiecałeś mi coś. Obiecałeś, że nie będziesz żył przeszłością, tylko przyszłością.

- I dotrzymuję obietnicy.

- A to? - Pokazał mi Wally'ego ze zdjęciem Sally. - Co to ma znaczyć?

Nie mogłem mu nic powiedzieć, nie mogłem niczego zdradzić. Gdybym to zrobił, mogliby uznać, że rzeczywiście zwariowałem, i zakończyć grę. Z nieobliczalnymi wariatami nigdy nic nie wiadomo. Jesteś szaleńcem, Ben? Powiedz nam, jesteś?

- To taka gra - mruknąłem. - Taki żart.

Mężczyzna oblizał usta, które zdążyły już wyschnąć. Najpierw

dolną wargę, potem górną. Zalsniły ponownie i nadały jego twarzy karykaturalny wygląd. Przypominał klauna, ale takiego mało zabawnego.

- Sam go wymyśliłeś? Nie jest śmieszny.

- Mnie też nie śmieszy.

Mężczyzna odłożył Wally'ego, upewnił się, że dźwięk i wideo są wyłączone, po czym powolnym ruchem sięgnął pod marynarkę i wyciągnął średniej wielkości pistolet o brzydkim kształcie.

- To *giurza*, rosyjski pistolet, którego pocisk przebija niemal wszystkie kamizelki kuloodporne. Specjalny model, robiony na zamówienie. Na specjalną amunicję. Nie kupisz jej w naszych sklepach z bronią. Trzeba sprowadzać z Europy. No, chyba że masz układy u matriszek na Coney Island. Byłeś kiedyś w „Little Russia”?

Nic nie odpowiedziałem, tylko pokręciłem głową. Nie znałem żadnego Rosjanina, jeśli nie liczyć dwóch pijaków spotkanych w Warszawie, których nie zapamiętałem i którzy zapewne nie zapamiętali mnie.

Mężczyzna pozwolił mi przetrwać jego słowa, po czym wrócił do wątku o pistolecie.

- Należał do pewnego rosyjskiego mordercy, który co prawda specjalizował się w podawaniu swoim ofiarom trujących pierwiastków promieniotwórczych, ale strzelać też potrafił. Zaginął jakiś czas temu i nikt go nie szuka. Podobnie jak twojej Sally.

- Nigdy nie przestałem jej szukać - zaprzeczyłem.

- Wydaje ci się, że teraz ją znalazłeś?

Nie odpowiedziałem.

- Nie mogłeś jej znaleźć - wycedził mężczyzna, błyskawicznie przeładował broń i przystawił mi do głowy. - Gdybym nacisnął spust, od mojej strony byłyby tylko niewielka dziurka, ale druga połowa twojej głowy rozprysnęłaby się po całym samochodzie. Twój mózg obryzgałby nas wszystkich, Ben. Mój kurewsko drogi garnitur byłby do wyrzucenia. Myślisz, że ktoś by się tobą przejął, zainteresował?

- Nie wiem.

- Nikogo nie obchodzisz, Ben. Nie pogrywaj więc ze mną.

Skinąłem głową. Mężczyzna zabezpieczył pistolet i schował go do kabury.

- Nie był naładowany - powiedział. - Z pociskami jest za ciężki i robi odciski. A ja często odgrywam groźnego gościa. - Roześmiał się szczerze. - Wysiadaj. I pamiętaj, Ben. Nie pogrywaj ze mną. Zamiast uganiać się za duchami przeszłości, zrób po prostu to, co do ciebie należy.

Rozdział 31

Amanda nie dała mi pospać. Miałem kaca, więc opędziałem się od niej, jak mogłem. Chciałem spać i śnić sen, z którego mnie wyrwano. Wcale nie był koszmarny, mimo że pojawiły się w nim chyba wszystkie demony przeszłości. Nie, nie śniłem o Robercie, jego zabójcach, Kazarze, Devonie czy typach z bmw. Śniłem o kimś zupełnie innym.

- Wstawaj. Znaleźli ją - powiedziała w końcu.

- Kto? Kogo?

- Jak to kogo? Sally.

Nie musiała powtarzać. W drodze do Vegas ciągle bębniła palcami o kierownicę. Zawsze tak robiła, kiedy była zdenerwowana.

- Nie uzgadnialiśmy, że wrzucisz zdjęcia do Wallnetu - powiedziała w końcu.

- Moja wina - przyznałem.

- Dlaczego spotkałeś się z Clarkiem beze mnie, bez żadnych świadków? Prosiłam, żebyś tak nie postępował.

Ach, ten prawniczy umysł.

- Przysłał po mnie samochód. Co niby miałem zrobić?

- Łamiesz zasady, wszystkie ustalenia.

- Przepraszam.

- Przez ciebie wszystko może się rozpieprzyć. Wiesz, co zrobił Clark? Wynajął do poszukiwań Sally dwie agencje detektywistyczne. Podwojono też jego ochronę. Nie zdziwię się, jeśli wynajął jakiegoś kilera.

Przez sekundę miałem ochotę powiedzieć jej o wizycie trzech smutnych gości, przystawionym do mojej głowy pistolecie i rozmowie w samochodzie. Ciekawe, jak by zareagowała? Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Co cię tak bawi?

- Przepraszam. Przykro mi.

- Śmiejesz się. Nie jest ci przykro.

- Nieprawda. Po prostu o czymś pomyślałem.

- O czym?

Spojrzałem na nią i mruknąłem:

- Piękna jesteś, kiedy się złościysz.

Westchnęła.

- To głupota. Po prostu głupota, do diabła!

W drodze odebrała dwa telefony. Rozmawiała po hiszpańsku. Znała też niemiecki i włoski. Była prawdziwą poliglotką. Myślała szybciej niż komputer, a każde zdanie było konkretne i jednoznaczne. Jak brzytwa. Kobieta doskonała, niezwykła, piękna i mądra. Czemu więc wciąż myślałem o Sally?

- Kto dzwonił?

Nie odpowiedziała. Układała sobie coś w głowie. Minął dobry kwadrans, zanim się odezwała.

- Ustaliliśmy, że musimy wszystko przyspieszyć. Wysadzę cię przed apartamentowcem Sally, dalej będziesz musiał sobie radzić sam. Dasz radę?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem.

- Ludzie Clarka też mogą już tam być, naprawdę musimy się spieszyć. Będziesz miał tylko chwilę z Sally, nie rozklej się.

- Spróbuję.

- Ben.

- Tak?

- Kocham cię, pamiętaj o tym.

- Pamiętam. Ja też cię kocham.

Pocałowaliśmy się. Tam, na parkingu w Vegas był to jedyny błysk słońca w tym pochmurnym dniu. Potem wręczyła mi kartkę z adresem i kodem dostępu do windy.

- Idź już.

Długo gapiłem się na puste miejsce po jej samochodzie. Co mogła sobie pomyśleć? Byliśmy tak blisko, a ja znów wracałem do przeszłości. Miałem za chwilę stanąć naprzeciwko Sally i cofnąć się ponownie o te dziesięć lat, zacząć wszystko od nowa. To była niebezpieczna gra, bardzo niebezpieczna.

Oszklone drzwi otworzyły się przede mną. W recepcji siedział facet w mundurze firmy ochroniarskiej, z plakietką w klapie

marynarki i radiotelefonem przymocowanym do ramienia. Czapka z daszkiem zasłaniała oczy. Spojrzał na mnie bez zainteresowania, kiedy wystukiwałem kod i ruszyłem do wind. Gdybym nie znał kodu, pewnie by zareagował, zadzwonił do Sally i ją uprzedził. Może tak byłoby lepiej.

Winda była szybka. Pierwsze piętro, drugie, trzecie. Wysiadłem i skręciłem w lewo, numer trzysta sześćdziesiąt pięć, dwa zakręty. Zapukałem.

Potem zamknąłem oczy, wsłuchując się w szum klimatyzacji.

Kroki w pokoju wybiły rytm w tym szumie. Coś zgrzytnęło i po chwili stała przede mną. Piękna jak dawniej. Moja Sally. Patrzyliśmy sobie w oczy. Kochankowie przypadkowo rzucając na tę samą matę po latach. Uśmiechnęła się. Ja też się uśmiechnąłem. Ująłem jej dłoń i wtedy ona cofnęła się o krok.

- Wejdz.

Rozdział 32

Ciało nagle mi się rozchlapało w przestrzeni, straciło stałą konsystencję, mogłem się teraz przelać przez czyjeś dłonie, jeśli tylko zechciałyby mnie przytrzymać.

Sally, moja Sally.

Zamknęła drzwi i uciekła do pokoju. Wlokłem się za nią jak skazaniec.

Sally, moja Sally.

- Masz szklankę wody?

- Uspokój się.

Chwyliła mnie za ramiona, posadziła na fotelu i powtórzyła:

- Uspokój się. Oddychaj głęboko.

Siedziałem tam blady jak ściana, na granicy omdlenia. Moja Sally wyglądała tak, jak tego dnia, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Pamiętałem, jak zbierała rzeczy do plecaka, wkładała luźne sportowe spodnie, białą koszulkę. Poprawiła włosy, ale one niemal od razu zaprotestowały i ponownie wystrzeliły na wszystkie strony. Dziś takie fryzury są modne. To przez ciebie - powiedziała, uśmiechając się, a potem spięła je gumką. Postukała rytmicznie palcami po stole tuż obok paczki z papierosami. Obok nich stała butelka czerwonego wina. Wciąż czułem na sobie dotyk i zapach jej skóry. Uśmiechnęła się. Tak wspaniale się uśmiechnęła.

Potem zapięła pasek od zegarka i zawiesiła na szyi wisiorek z dziwnym talizmanem. Otrzymała go od babci, a ta dostała wisior od swojej babci. Za takie wisiorki kiedyś oskarżano o czary. Pomyślałem o swojej babci, którą przez tyle lat uznawano za lekko szurniętą, a dziś wydaje mi się, że była najnormalniejsza z całej rodziny.

Poganiała mnie. Chodź, musimy już iść. Zeszliśmy do samochodu. Pocałowała mnie tuż przed tym, jak zajęła miejsce za kierownicą.

Osiem godzin później zniknęła na zawsze, umarła,

zamordowano ją.

A teraz, po dziesięciu latach, stała przede mną, a ja miałem wrażenie, że te dziesięć lat to tylko jakiś zły sen. Nie było ich. Widzieliśmy się wczoraj, kochaliśmy się wczoraj, byłem w niej, a ona obejmowała mnie mocno ramionami i nogami. Zawsze tak się kochała, całą sobą. Zawsze wtulała się we mnie tuż przed końcem, dając znać, że to już, że nadchodzi i ona za chwilę oszaleje, więc lepiej, żebym się pospieszył, jeśli chcę jej towarzyszyć. Bo potem nie będzie już czasu na kupienie biletu do ekspresu spadającego w przepaść.

Bez względu na to, czy robiliśmy to szybko, czy wolno, zawsze kończyła tak samo, jak najbliżej mnie, jakby chciała połączyć się ze mną w jedno... i to się prawie udawało. To czyniło ją wyjątkową.

Podawała mi szklankę z wodą. Wypiłem łapczywie.

- Lepiej?

Skinąłem głową.

- Musimy iść - powiedziałem. - Devon już cię szuka, a może nawet już znalazł.

- Jak to? - zdziwiła się. Nie tak się umawialiśmy. Sally dawniej też nie lubiła niespodzianek. Działaj według planu, a nie spotka cię nic niemiłego. Wszystkie nieprzewidziane rzeczy rodzą zagrożenie.

- Wrzuciłem twoje zdjęcie do sieci - wyznałem.

- Co takiego? - Kiedy robiła się zła, jej oczy nagle się trochę zapadały, a na policzkach tworzyły się śmieszne dołeczki. Pamiętałem je jak dziś. Sally-dziesięć-lat-później nie miała dołeczków, ale i tak widziałem, że jest wściekła. - Jak mogłeś?

- Przepraszam, musiałem wreszcie coś zrobić. Musiałem zmienić plan.

- Niech to szlag!

Nie była już miła. Widziałem, że jest zła, bardzo zła.

- Zbierajmy się, ludzie Devona mogą być blisko.

Wstałem. Podeszła, spojrziała mi prosto w oczy i walnęła otwartą dłońią w twarz. Mocno, z całej siły. Miało być lżej - chciałem zaoponować, ale milczałem. Skóra mnie zapiekła, a potem ból rozszedł się na całą twarz. Mocne uderzenie.

Wczoraj oberwałem od Devona, dziś od Sally.

Otworzyła szafę i szybko wpakowała kilka rzeczy do niewielkiego plecaka. Miała lekkie białe spodnie, przez które widać było majtki, i to mnie mocno rozpraszało. Zdjęła bluzkę i stała przez chwilę w samym staniku, zastanawiając się, co włożyć. Wybrała jasnozieloną koszulę z kieszeniami na piersi. Zapięła dwa środkowe guziki, zawiązała poły. Wyglądała jak Faye Dunaway z włosami Kim Basinger.

- Chodźmy!

Zbiegliśmy na dół, minęliśmy wejście do recepcji i ruszyliśmy do tylnego wyjścia.

- Tędy! - zawołała.

Idąc za nią, zacząłem dostrzegać różnice. Miała trochę szersze biodra, zupełnie inaczej biegła, krokiem bardziej wydłużonym, jakby nieco ospałym. Dziesięć lat mogło robić różnicę, ale czy Devon dałby się zwieść, gdyby ją teraz zobaczył? Dziesięć lat temu mógł się dobrze przyjrzeć, jak biegła po pokładzie „Marii”. Devon nazwał tak jacht na cześć Marii, która odeszła od niego zaraz po tym, jak zniknęła Sally. Ciekawe, czy zmienił nazwę jachtu?

- Szybciej !

Przebiegliśmy przez zaniedbane podwórko. Sally musiała wcześniej wypróbować tę drogę, bo nie wahała się ani chwili. Traktowała to poważnie. Niech będzie, pomyślałem. W sumie dobrze, że wszystko robi jak najbardziej poważnie. Za to jej płacą.

Otworzyła bramkę i przepuściła mnie przed sobą.

- W prawo, potem w lewo - poinstruowała. - Samochód czeka na rogu. Stara honda. Kluczyki pod tylnym zderzakiem. Ty prowadzisz.

Honda stała tam, gdzie powinna, kluczyki były na miejscu. Wsiadłem pierwszy i na chwilę straciłem ją z oczu. Pomyślałem, że teraz ucieknie, znów ją stracę, znów stracę szansę wyjaśnienia sprawy. Drzwi otworzyły się i usiadła obok.

- Ruszaj !

Wyciągnęła z plecaka notes i odnalazła adres, pod którym czekał na nas bezpieczny lokal. Zerknąłem na nią ukradkiem,

coraz szybciej dochodząc do przekonania, że jednak dość mocno różni się od Sally. Teraz, w dziennym świetle, z bliska, nie było wątpliwości.

To nie była Sally.

- Uważaj, jak jedziesz!

Ogromny ciągnik siodłowy jadący z naprzeciwka dał mi drogowymi po oczach. Śpisz, człowieku? Tak pewnie pomyślał kierowca. Nie, nie śpię. Śniłem na jawie, ale już się przebudziłem.

Dwadzieścia minut później parkowałem przy St Cloud. Sally kazała mi dwa razy skręcić i miałem wrażenie, że wszyscy ci milionerzy z luksusowych posiadłości przy bulwarze Sunset patrzą na mnie jak na złodzieja. Gdzie się pchasz tą starą hondą.

- To tu.

Wynajęła całkiem fajny dom na wzgórzu.

- Basen jest nieczynny. Nie zapłaciłam za czyszczenie. Wjechałem na podjazd i rozejrzałem się. Niewielki piętrowy dom z dwoma tarasami, w tym jednym na dachu. Płytki basen od zachodniej strony, rzeczywiście dość zapuszczony, co było widać nawet stąd. Posesję otaczał dawno niestrzyżony żywopłot urozmaicony karłowatymi drzewkami.

Sally dobrze wybrała miejsce. Bez względu na to, ile kosztowało, było idealne. Z górnego tarasu roztaczał się zapewne widok na całą okolicę, a na dole byliśmy całkowicie odseparowani od sąsiadów.

- Idę wziąć prysznic.

Usiadłem w salonie i włączyłem telewizor. Wszystkie kanały informowały o kolejnym huraganie zbliżającym się do Florydy. Jakby się umówili. W serwisie sportowym głównym wydarzeniem była kolejna walka Floyda Mayweathera z Saulem Alvarezem. Na giełdzie znów spadki. Pomoc rządu dla banków nie wystarczyła nawet na premie dla zarządów. Bankierzy za dobrze zarabiali. Okupacja Wall Street przez oburzoną młodzież zakończyła się przemówieniem Romana Stalina, który twierdził, że jest nieślubnym synem byłego dyktatora Sowietów.

Włączyłem Wally'ego i sprawdziłem mejle. Ani w wiadomościach wideo, ani w tradycyjnej skrzynce tekstowej nie znalazłem niczego ważnego. Wyłączyłem urządzenie i dla bezpieczeństwa wyjąłem z niego baterię. SkyCom zapewniał, że doniesienia brytyjskich brukowców, jakoby Wally umożliwiał CIA podsłuchiwanie rozmów potencjalnych terrorystów, były wyssane z palca. Co mieli mówić? Przyznać się do tajnego protokołu, który dawał nie tylko takie możliwości, jak podsłuchy?

Ale bez zasilania Wally do niczego się nie przydawał.

Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Sally wyszła spod prysznicza zawinięta w ręcznik. Drugim wycierała włosy, które przestały przypominać burzę z piorunami. Ładnie wyglądała w swojej naturalnej fryzurze. Widać uważała, że to upodabnianie jej na siłę do Sally sprzed dziesięciu lat nie miało sensu.

- Jak masz naprawdę na imię? - zapytałem.

Rozdział 33

Spojrziała zaskoczona. Umawialiśmy się, że nie będziemy prowadzić takich rozmów. Amanda bardzo prosiła nas o przestrzeganie wszystkich zasad bezpieczeństwa. Sally tego mogła nie rozumieć. Nie wiedziała do końca, w czym bierze udział.

Ale ja powinienem wiedzieć.

- Przepraszam - mruknąłem i położyłem się na łóżku.

- Nie szkodzi. - Ubrała się, usiadła obok. Przejrzała gazetę, spojrzała na mnie, potem na telewizor. - Oglądasz?

- Nie.

- Mogę?

Nie czekając na odpowiedź, wzięła pilota i przez chwilę przełączała kanały. Nie znalazła niczego ciekawego.

- Cholerna telewizja. Pierdoleni złodzieje.

- Za dużo przeklinasz.

- Sally nie przeklinała?

Nie, Sally nie przeklinała. W ogóle inaczej się zachowywała. To była inna klasa. Nie wiem, skąd ciebie wystrasnęli, ale do pięt jej nie dorastasz. Tak pomyślałem i zaraz skarciłem się w duchu. Prawdziwa Sally nie znosiła pogardy i wywyższania się. Dziewczyna miała prawo być roztrzęsiona i zła. Przecież zmieniłem plan w ostatniej chwili, złamałem wszystkie ustalenia i zasady. Przyjechałem do niej za wcześnie i zapewne naraziłem ją na niebezpieczeństwo. Nawet jeśli o tym nie wiedziała, to miała prawo być rozdrażniona.

Co za debile najpierw wbijają jej do głowy cały scenariusz, zastrzegając w kontrakcie, że nawet drobne pomyłki z jej strony mogą skutkować zmniejszeniem wynagrodzenia, a potem bez uprzedzenia przewracają wszystko do góry nogami? Poza tym, miała być jeszcze romantyczna kolacja, jakiś spacer, sesja zdjęciowa nad morzem, a tu z tego wszystkiego nici. Już choćby z tego powodu zasłużyłem na ten policzek, a może nawet na

kopa w jaja.

Tak, nie powinienem niczego zmieniać. Z ludźmi pokroju Devona nie było żartów.

Z rodziną Gambino tym bardziej.

- Dlaczego to robisz? - zapytała spokojniej. - Dlaczego po prostu nie zajmiesz się swoim życiem?

Dobre pytanie. Szczególnie po dziesięciu latach. Ale o tym akurat ona nie wiedziała.

- Chcę dowiedzieć się, co się stało - odparłem. - Chcę odnaleźć...

- Z tego, co mi mówiono, wynika, że ona nie żyje. Nie ma szans na odnalezienie...

- ...prawdę. Tylko o to mi chodzi. Chcę poznać prawdę.

- Ryzykowna gra.

To prawda. Gra była ryzykowna. Przymknąłem oczy i ułożyłem sobie w myślach to wszystko. Jak dotąd realizacja planu przebiegała nadzwyczaj dobrze. Pomysł z pojawieniem się Sally wypalił i nawet Devon się wystraszył, poczuł się osaczony i zaatakowany, ale nie do końca wiedział, jak zareagować, gdyż nie było to jawne wypowiedzenie wojny. Owszem, uderzył we mnie i nie wierzył w ani jedno moje słowo, ale cały czas nie wiedział, o co chodzi. Nie wiedział, czy to ja, czy ktoś inny. Kto za tym stoi. Mógł tylko czekać. Pojawienie się Kazara też mi pomogło.

A Sally?

Sally była kluczem. Nie mogliśmy znaleźć lepszego klucza otwierającego szkatułkę z prawdą. Pytanie tylko, kto tak naprawdę chciał ją poznać.

Leżeliśmy w milczeniu, a ja układałem sobie to wszystko w głowie. Ponownie przeżywałem ten dzień sprzed dziesięciu lat, gdy Sally wsiadła do samochodu, a ja po kryjomu pojechałem za nią aż do motelu, który musiała znać całkiem dobrze. Nie szukała drogi, szła na pewniaka. Widać było, że jest tam nie pierwszy raz. Zniknęła w jednym z niewielkich bungalówów, a ja zaparkowałem przecnicę dalej i czekałem. Czekałem na Devona. Dobrze wiedziałem, że to on tam przyjedzie. Kiedy pojawił się jeden z jego samochodów, o mało nie wybiegłem,

żeby rzucić się na drania. A jednak nie zrobiłem tego. Patrzyłem. Tylko na to było mnie stać. A potem... Potem zdarzyło się to, co się zdarzyło.

- Mam na imię Sally.

Głos dziewczyny wyrwał mnie z zamyślenia.

- Słucham?

- Sally - powtórzyła. - Pytałeś, jak naprawdę mam na imię, więc odpowiadam. Naprawdę tak mam na imię. Zabawne, prawda?

- Tak... Zabawne.

- Szukaliście dziewczyny podobnej do niej i znaleźliście, na dodatek o tym samym imieniu. Sprawdziłam się?

- Tak - przyznałem. Niewiele brakowało, a sam dałbym się oszukać.

Amanda pojawiła się wieczorem. Pocałowała mnie w policzek, objęła i uściskała.

Podawała rękę Sally.

- Cześć. Wszystko w porządku?

- Tak. Choć trochę się wystraszyłam tym nagłym przyspieszeniem.

- Jeszcze tylko jedno przedstawienie i możesz się zmyć.

- Już zaczynało mi się podobać. U mnie, w Pensylwanii, nie ma takich... - rozejrzała się po domu - ...warunków. Fajnie wam się tu pracuje.

- Fajnie.

- To kiedy kończymy?

- Jutro.

- Jutro - powtórzyła i spojrzała na nas znacząco, jakby chciała dać nam do zrozumienia, że możemy robić sobie, co chcemy, a ona nie będzie przeszkadzać. - W takim razie idę się przespać. Dobranoc.

- Dobranoc - powiedziała Amanda.

Podeszła do barku, naląła sobie drinka i położyła się obok mnie.

- Zadowolony?

- Chyba tak.

- Devon dał się nabrać - oznajmiła. - Poruszył niebo i ziemię.

- Dzwonił do Gambina?

- Tego nie wiem. Ale Sally szuka już kilkunastu detektywów i pewnie jakiś morderca. Niestety, nie nad wszystkim mamy kontrolę.

- Dlatego trzeba szybko zamknąć ten etap.

- Zgadzam się.

Przymknąłem oczy i opowiedziałem jej o mojej babce ze strony matki, która przez dwadzieścia lat nie wierzyła w śmierć dziadka. Upierała się przy swoim, choć wszyscy twierdzili, że nie ma najmniejszych szans, by żył. Nigdy go nie poznałem. Z opowieści wynikało, że był niespokojnym duchem i pewnie po nim mam zamiłowanie do wody, dziwnych sportów i mało bezpiecznych hobby. Był grotolazem, ratownikiem górskim i nurkiem. Zginął podczas próby pobicia rekordu głębinowego u wybrzeży Egiptu. Ciało nigdy nie odnaleziono i dlatego babka upierała się przy swoim. Dopóki nie ma ciała, nie ma śmierci. Twierdziła ponadto, że ma przeczucie. Czuje, że dziadek żyje. Dwadzieścia lat później otrzymaliśmy informację, że został odnaleziony w klinice psychiatrycznej w środkowej Europie. Zmarł, zanim zdążyliśmy załatwić jego przewiezienie do Ameryki. Tak czy inaczej, babka miała rację. Nie wiadomo, co się stało dwadzieścia lat wcześniej, ale jej mąż przeżył próbę bicia rekordu i żył nie tylko w jej wyobraźni.

- Historia nie zawsze się powtarza - zakończyłem. - Wierzyłem, że Sally żyje, ale to niemożliwe.

Amanda długo zastanawiała się nad moimi słowami.

- Gdzie twój Wally? - zapytała w końcu.

- Wyjąłem baterię. A twój?

- Zostawiłam w samochodzie. Na wszelki wypadek.

- Wyłączony?

- Tak.

Dotknąłem jej policzka opuszkami palców, a potem zjechałem niżej, na szyję, odpiąłem pierwszy guzik, potem drugi. Przez jej ciało przebiegł dreszcz, ale nie odsunęła się.

- Co robisz?

Nie odpowiedziałem. Obracałem już w palcach jej prawy sutek, wyjąłem pierś z koszuli i całowałem długo, drażniąc

językiem. Tak jak lubiła. Tak, by pozwoliła mi robić to dalej, a także inne rzeczy, które też lubiła. Nie myślałem o Sally. To znaczy, bardzo się starałem o niej nie myśleć.

Rozdział 34

Niemożliwe. To się nie może dziać naprawdę.

Devon Clark wlepił wzrok w ekran Wally'ego, na którym widniało stare, dawno zeskanowane zdjęcie trzech osób. Dziwne, że łatwiej było mu rozpoznać Bena i Sally niż siebie. Tak bardzo się zestarzałem i zmieniłem? A może wtedy, mimo tego, co się stało, byłem innym człowiekiem? A może tak dobrze wówczas wyglądałem, bo zdjęcie robiła Maria. Bo była przy mnie kobieta, którą kochałem albo choć udawałem, że kocham.

Dlaczego, Ben? Dlaczego to się tak potoczyło?

Nie był szczęśliwy. Od lat oszukiwał się, że jest inaczej, ale tak naprawdę nie odczuwał żadnej radości z osiągniętych sukcesów. Był skażony. Napędzał się, nakręcał, żył w ciągłym biegu, nie pozwalał sobie na chwilę samotności, myśli, zwątpienia. Dążył do kolejnych wyzwań i osiągnięć, byle tylko nie wracać do wspomnień z Polski, a potem do tej nocy, kiedy zginęła Sally. Tak bardzo chciał o nich zapomnieć...

I prawie się udało.

Był na szczycie. Na absolutnym topie.

Zbudował korporację, która zawładnęła światem, pęczniała jak drożdże pod wpływem cukru i ciepła, zaczęła żyć własnym życiem i rozrastała się niczym organizm naznaczony boską iskrą. Z małej garażowej firmy stała się najpierw ogromnym miastem pełnym biurowców, fabryk, a potem zatrudniającym setki tysięcy ludzi państwem, funkcjonującym lepiej niż jakikolwiek narodowy twór. Z własnym rządem, piekielnie skutecznym systemem, z dążącą do ciągłej doskonałości ponadnarodową, światową organizacją. Dzisiaj była silniejsza niż większość państw, bogatsza, sprawniejsza, sięgała mackami do najbardziej odległych zakamarków globu.

Wally i coca-cola. To były obecnie najczęściej wymieniane słowa na świecie. Bardziej znane niż papież czy nazwiska

najlepszych aktorów.

Był twórcą tego mechanizmu, prawie Bogiem. To on dał mu życie. Przyjmowano go na salonach jak króla, miał własną armię i policję, szpiegów i polityków, finansował kampanie wyborcze, fundował stypendia, sponsorował sportowców, opiniował ustawy, tworzył prawo i dbał o jego przestrzeganie. Był potęgą, z którą nikt nie mógł się mierzyć, której nikt nie mógł pokonać ani obalić. Pewien człowiek powiedział mu kiedyś: świat musi przygotować się do nowego rodzaju porządku, w którym rządzić będą korporacje. I to one będą prowadzić wojny i wywoływać rewolucje. Ten człowiek już nie żył, ale miał rację.

- Uważaj, bo tam ścierają się armie i globalne potęgi, klęskę może spowodować jeden człowiek - przestrzegał go ojciec.

Stary, zawistny głupiec. Drań, wykańczający konkurencję, przyjaciół i rodzinę, podporządkowujący wszystko własnym interesom. Twardy, bezwzględny, cyniczny. Pełen jadu i złośliwości, surowy, nieokazujący uczuć, niepotrafiący zdobyć się na pochwałę, za to z chęcią rozdający nagany i kary. Kat, nie ojciec. Jak robot albo kosmiczny twór jakiejś nieznannej technologii. Wirus i schorowany gen człowieczeństwa. Mniej uczuciowy niż Wally.

Nigdy by nie przypuszczał, że Devon osiągnie taki sukces, że może to się stać, że małe technologiczna firma połknie nie tylko stary biznes, ale i cały świat. Przeskoczy jego marzenia i wyobrażenia innych. Zrobi rewolucję.

Jakże Devon go nienawidził. Jakże pragnął zdominować. Jak bardzo chciał go zmienić... i pokochać. Wyzwolić miłość, której potrzebował. Ale stary dureń nie był zdolny do miłości. Nie był w stanie ani jej odczuwać, ani dawać. Devon zaś za jedną, drobną pochwałę gotów byłby przyznać się do wszystkiego, co zrobił. Jednak wówczas stary drań by się ostatecznie od niego odwrócił. Nie znosił porażek, tak samo jak nie cierpiał sukcesów innych. Nigdy by mu nie wybaczył. Devon mógł przeklinać ojca, lecz ten w niektórych kwestiach bez wątpienia miał rację. Żadna korporacja, armia, rząd nie mogła pokonać idei, ale mógł ją zburzyć jeden człowiek.

Ben Stiller.

Pieprzony Żyd Ben Stiller.

Stał się jego współnikiem, a potem zdradził. Odszedł. Zniknął. Teraz powrócił z całą armią demonów przeszłości, a przede wszystkim z Sally. Po co? By odebrać mu wszystko, co zdobył przez te lata. By przypomnieć o historii i przeznaczeniu, by żądać sprawiedliwości?

Nieszczęsny głupiec. Dobrze znam te demony, Ben - myślał Devon. Żyją we mnie, odzywają się, nie pozwalają spać. Bądź pewien, że istnieją i dają się porządnie we znaki. Ale radzę sobie z nimi, nie pozwalam im wygrać, wypłynąć. Nie okazuję słabości. Miałem najlepszego nauczyciela. Jestem typem zwycięzcy, zdobywcy, konkwistadora. To ja zwyciężę.

Ostatnie zdarzenia, a zwłaszcza rzekome pojawienie się Sally wstrząsnęły nim do głębi. Musiał przyznać, że Stiller zdobył punkt. Nie spodziewał się ataku z jego strony po tylu latach. Nawet przestał śledzić Bena, nie monitorował już działań policji, nie wynajmował detektywów, którzy mieli go chronić przed ewentualną zemstą czy nieprzemyślanymi działaniami dawnego przyjaciela. A nie powinien.

Zlekceważył zagrożenie i teraz nie wiedział, jaka jest jego prawdziwa przyczyna. Znał jego genezę, potrafił je zdefiniować, ocenić, pewnie również zniszczyć, ale zaniechanie doprowadziło do tego, że mógł popełnić błąd, zadziałać pochopnie, zbyt ostro albo za łagodnie. Pozorna wygrana mogła przez to zmienić się w porażkę.

Jeden człowiek...

Był pewien, że Stiller to wszystko w jakiś sposób ukartował. Nawet jeśli znalazł prawdziwą Sally, w co nie wierzył, on nie może dać się wciągnąć w ich grę. Nie tędy droga. To nie jest moja bajka. Nigdy nie daj się wciągnąć przeciwnikowi w pułapkę. Nie reaguj impulsywnie, emocjonalnie. Przemyśl decyzję, a dopiero potem rozważnie zaatakuj. Najpierw przeprowadź zwiad, potem wyślij najmniej ważną formację, by wybać przeciwnika, poznać jego mocne strony i dopiero na koniec uderz pełną siłą. W najslabszy punkt. I nigdy nie ciesz się ze zwycięstwa, dopóki nie będziesz pewien, że trup wroga

spłonął doszczętnie.

Kilka razy myślał, co powinien zrobić, na którym jest etapie. Czy to już czas, by rozpocząć główną ofensywę? Czy może powinien jeszcze poczekać? W podjęciu tej decyzji nie mogła mu pomóc korporacja, armia prawników, ani nawet sprzedajnych polityków, zaprzyjaźnionych glin czy wojskowych i szpiegów, których zatrudniał i opłacał. Do walki ze Stillerm potrzebował kogoś innego. Partnera - a więc kogoś, kto, jak mu się zdawało, już nigdy nie będzie mu przydatny. Z kim dawno temu się sprzymierzył, a potem pożegnał, bo uznał, że tak będzie bezpieczniej. Są partnerzy potrzebni tylko przez chwilę, których szybko należy odstawić na bocznicę. Nie obrażając, ale jednocześnie nie okazując słabości.

Tak postąpił z nimi, przynajmniej starał się tak postąpić. Wiedział, że mają o to do niego żal i dlatego nie chciał dzwonić. Sądził jednak, że czas zaleczył rany. W końcu to tylko biznes. Tylko pieniądze.

Teraz dobrze zapłaci za pomoc. Znacznie więcej niż poprzednio.

Tak, to tylko biznes, a w biznesie nie ma sentymentów, nie ma wiecznych zawiści i wrogów. Są tylko pieniądze.

Sięgnął po telefon i wybrał numer, który tyle razy próbował zapamiętać, a jednak do dziś pamiętał. Mimo późnej pory, rozmówca odebrał już po pierwszym sygnale.

- Wiedziałem, że zadzwonisz. Zawsze dzwonicie, kiedy potrzebujecie pomocy, a potem zapominacie, udajecie, że nic się nie zdarzyło. Czy tak nie jest, Devon?

Devon Clark głośno przełknął ślinę. Chyba jednak błędnie ocenił tego... partnera.

- Wielki Devon Clark, najbogatszy i najpotężniejszy człowiek świata, dzwoni do mnie. Cóż za zaszczyt.

Devon już żałował, że zadzwonił, ale nie przerwał połączenia. Było za późno na odwrót.

- No cóż, Devon - kontynuował rozmówca. - Czego sobie życzysz?

- Mam kłopoty, Steve - szepnął Clark.

- Wiem. Lubię cię, przyjacielu, dlatego cię obserwuję. Wiem

o wszystkim od dawna. Ja nigdy nie zapominam o przyjaciółach.

Znów uszczypliwość - pomyślał Clark.

- Pomożesz mi?

- Rodzina i przyjaciele są od tego, by pomagać. Oni nigdy nie zapominają, Devon. Można się wyrzec rodziny, można zdradzić przyjaciół, można się wypiąć na całe życie, ale zawsze kiedyś przychodzi chwila, gdy zrozumiemy swój błąd. Życie już takie jest, nie zostawia niespłaconych rachunków w całkowitym zapomnieniu. Zawsze wracają, Devon. One zawsze wracają.

- Posłuchaj Steve, ja...

- Nie musisz się tłumaczyć. Na filmach, które tak lubię, zawsze się wzruszam w takich momentach. No wiesz: kiedy syn marnotrawny wraca na łono rodziny albo przyjaciel-zdrajca uświadamia sobie błąd, albo gdy zdrajcę dopadają wyrzuty sumienia. Płacę, i już. Wyobrażasz to sobie?

Clark poczuł suchość w gardle. Nie mógł przełknąć śliny.

- Nie.

- A to są autentyczne łzy, Devon. Bardzo słone i wstydlive.

Clark milczał.

- Czego zatem ode mnie oczekujesz?

- Przykro mi, że się poróżniliśmy, Steve. Przepraszam.

- Właśnie się wzruszyłem.

- Pomożesz mi?

Zapadła cisza.

- Co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu? - wycedził w końcu Steve.

Rozdział 35

Rano Amanda pozwoliła nam zjeść śniadanie i zrobiła kawę, po czym zawiesiła na stojaku płachtę papieru i narysowała markerem mapkę sytuacyjną.

- Ćwiczyliśmy to tyle razy - zaprotestowałem.

Sally tylko wzruszyła ramionami.

- Od tego zależy wasze życie.

- Nic się nie stanie. Devon nie zdecyduje się nas zaatakować.

- Tego nie wiemy.

Sally tylko żuła gumę i obserwowała nas ze znużeniem. Po zmyciu makijażu już ani trochę nie przypominała mojej Sally. Była inną osobą.

- Będziesz musiała się ucharakteryzować - szepnąłem. - Przed wyjściem.

Wzruszyła ramionami.

- Pewnie - mruknęła.

Amanda westchnęła.

- Wróćmy do planu. To ważne, żebyście wiedzieli, co macie robić.

Omówiła wszystko od początku do końca, jak to robiliśmy wielokrotnie wcześniej, wskazując na mapie sytuacyjnej wszystkie punkty i prosząc nas o powtórzenie ról i dyspozycji. Była niezwykle dobrym organizatorem, pomyślałem. Naprawdę wszystko brzmiało wyjątkowo jasno.

Sally poszła do łazienki się przebrać i zrobić makijaż.

- Da sobie radę? - zapytała mnie Amanda.

- Przecież to nic nadzwyczajnego.

- No tak. Nic łatwiejszego, niż dać się zabić.

- Szczególnie jeśli zabójca jest tak przystojny.

Wyciągnąłem rękę po broń i zważyłem ją w dłoni. Była niewielka, damska. Wyjąłem magazynek i sprawdziłem pociski. Wszystko było jak trzeba.

- Ostrożnie. Pamiętaj, żeby nigdy nie celować do człowieka.
- Przecież wyjąłem magazynek.
- Mimo wszystko. Takie są zasady. Nie celujesz do człowieka i nie trzymasz palca na spuście. Po prostu musisz tego przestrzegać.

- Dobrze.

- Wszystko pamiętasz?

- Pewnie.

- W takim razie, zaczynajmy.

Sally akurat wyszła z łazienki. Znów była niemal doskonałym wcieleniem mojej Sally. Miała talent do charakteryzacji.

- Nie patrz tak - powiedziała.

Próbowałem wziąć ją za rękę, ale nie chciała.

- Zaczynajmy. Im szybciej to się skończy, tym lepiej.

Ruszyliśmy do hondy, ja usiadłem za kierownicą, ona obok. Jechaliśmy pół godziny w kierunku oceanu i dopiero wtedy zjechałem do zatoczki parkingowej i włączyłem Wally'ego. Tak jak ustaliliśmy z Amandą. Kazar nie odbierał telefonu i zastanawiałem się, co będzie, jeśli nie oddzwoni. Może coś mu się stało albo nagle stracił zainteresowanie tematem. Na szczęście po chwili Wally oznajmił, że oddzwania.

- Witaj, Ben. Przepraszam, miałem inne połączenie na linii.

- Chcesz poznać całą historię?

- Jaką historię?

- Moją, Devona i Sally?

Być może mój głos brzmiał zbyt wyzywająco, bo nie odpowiedział od razu. Dziennikarze boją się zbyt natrętnych informatorów, nawet jeśli przynoszą im w zębach temat na miarę Watergate. Dziś dużo łatwiej zarobić kasę, pisząc o cygarach i Monice Lewinsky.

- Pewnie - odparł po chwili. - Opowiesz mi o niej? Opowiesz, co się wydarzyło?

- Ona sama ci opowie.

- Sama?

- Tak, odnalazłem ją. - Głos mi się załamał i wcale nie było to udawane. - Jest ze mną i chce ci wszystko opowiedzieć. Czy to nie wspaniała historia? Zaginiona przed dekadą kobieta

opowiada dziennikarzowi najbardziej niezwykłą z niezwykłych opowieści o twórcy firmy, która spłodziła Wally'ego. Czy to nie wspaniałe?

- Wspaniałe - przyznał. - Kiedy możemy się spotkać?

Spojrzałem w notes, żeby nie pomylić adresu. Przeczytałem go z kartki.

- Bądź tam za dwie godziny.

- Nie zdążę.

- Lepiej się pospiesz. I zabierz ze sobą dobrą baterię do kamery, żeby nie wyłączyła się w połowie historii.

- Bez obaw.

Kluczyłem trochę po Westwood, ale nie zauważyłem, żeby ktoś nas śledził. Żadne czarne bmw nie krążyło za nami jak sęp. Przechodnie, turyści, gówniarze z campusu - nikt nie wyglądał szczególnie podejrzanie. Sally żuła gumę i oglądała sobie widoczki za oknem.

- Pierwszy raz jestem w Kalifornii - powiedziała.

- I jak?

Wzruszyła ramionami.

- Myślałam, że będzie fajniej.

- Nie zwiedzałaś za dużo.

- Ogólnie jest okay, ale w telewizji lepiej to wygląda.

Milczeliśmy przez chwilę.

- Naprawdę tak ją kochałeś? - zapytała.

- Naprawdę.

- I dla niej robisz to wszystko?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Ja myślę, że jednak dla siebie. - Wychyliła się przez okno, żeby lepiej obejrzeć sobie jakąś willę. - Dlaczego... Skoro tak bardzo ją przypominam, nie próbowałeś... No wiesz?

- Nie jesteś Sally.

- Jestem.

- Nie jesteś moją Sally.

- No tak, ale niczego mi nie brakuje, co nie?

Nie odpowiedziałem. Pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Cholera, to wszystko jest popieprzone, wiesz. Ty kochasz widmo, ja je przypominam, ale nie mogę go zastąpić. Ona

musiała być bardzo szczęśliwa, że ma kogoś takiego. Powinna to docenić.

- Powinna.

- Mnie nikt tak nie kochał, jak ty ją.

- Na pewno jeszcze pokocha - skłamałem. Byłem pewien, że nikt już nie pokocha tej dziewczyny.

- Nie. Przyciągam tylko toksycznych facetów. Nawet ty, gdybyś chciał mnie mieć, to byłbyś toksyczny, ale przecież nie chciałeś. Ale jakbyś chciał...

- Jestem toksyczny.

- No właśnie.

Rozdział 36

Musiałem zahamować gwałtownie, bo przy uniwersytecie przez drogę przebiegła grupka młodzieży. Sześciu facetów w za dużych spodniach i trzy kobiety. Wyzywające, skąpo ubrane, kręcące tyłkami. Blondyn idący na końcu grupy podszedł i zapytał, czy mam drobne. Nie otworzyłem szyby, więc pokazał mi środkowy palec i odbiegł szybko.

Odprowadziła go wzrokiem i uśmiechnęła się pod nosem.

- Wszystko przez bliźniaków.

- Słucham?

- Nie zauważyłeś? Ten blondyn miał brata bliźniaka. Szedł na początku grupy.

- Aha.

- Też miałam przygody z blondynami. Nic specjalnego, ale mogę ci opowiedzieć.

Czemu nie włączysz Wally'ego i nie posłuchasz muzyki? - pomyślałam. - Albo nie

obejrzyj filmu? Możesz włączyć jakąś prostą grę, co tylko chcesz. Po co rozmawiać z takim starym, zapatrzonym w przeszłość durniem jak ja?

- Mieszkali w domu obok. Ojciec był gliną, ale wcale nie byli do niego podobni, więc może nie był ich prawdziwym ojcem. Bez znaczenia. Jakiś łobuz rozwalił mu łeb kijem baseballowym. Nie byłam na pogrzebie. Pół roku później ona zaczęła sobie sprowadzać różnych takich, a chłopaki ich podglądały. Pewnie dlatego wiedzieli dokładnie, co robić, kiedy pojechaliśmy w trójkę nad rzekę. Nie byłam już dziewczicą. Pierwszy raz zrobiłam to na obozie, na wakacjach, rok wcześniej, ale nic nie pamiętałam. Zabawne, że nie wiedziałam, z którym zrobiłam to najpierw. Drugi był lepszy. Potem zrobiliśmy to w trójkę, a oni wszystko opowiedzieli w szkole, co ustawiło mnie na całe życie. Zostałam dyżurną kurwą, z którą można robić to w kilku naraz. Żaden porządny

chłopak nie chciał mieć z taką do czynienia.

- Dlatego wyjechałaś do Pensylwanii?

- Tak. Ale to nic nie pomogło. I tak nie trafiłam na żadnego porządnego faceta. Moje życie to kupa łajna. - Spojrzała na mnie znacząco, jakby chciała powiedzieć: „Tak jak twoje”.

- Ale i tak ci współczuję. Wolę już mój los niż to, co spotkało ciebie i twoją Sally.

- Nic o nas nie wiesz - mruknąłem, czując, że drzę.

- Czytałam wszystko, co mi daliście. Poza tym...

- Amanda ci opowiedziała - domyśliłem się.

- Tak - przyznała.

Chyba dobrze, że to zrobiła. Gdyby nie to, byłoby nieuczciwie. Ale w głębi duszy wiedziałem, że tak naprawdę Sally nic nie wiedziała. Amanda by tego nie zaryzykowała. Wszystko musiało wyglądać naturalnie. A dla niej? Pewnie i tak nie miało to znaczenia. Liczyła się tylko forsa. Duża forsa.

Zadziwiająco, jak bardzo się różniły. Mimo wielu podobieństw fizycznych, miały zupełnie inne charaktery. Dzięki Bogu. To ułatwiało sprawę.

Dojechaliśmy na miejsce. Otworzyłem pilotem bramę i wjechałem na podjazd. Nigdy nie byłem w tym domu, ale znałem rozkład pokoi. Obejrzałem wszystkie, żeby nie było niespodzianek. Białe ściany, czarne kanapy i tanie meble. Gdzieś sztuczne kwiaty. Zapach świeżości i środków czyszczących. Typowa willa do wynajęcia dla konsultantów z firm IT albo do kręcenia pornosów. Obok wiele było takich posiadłości.

Spojrzałem na Sally, zastanawiając się, czy kiedykolwiek grała w pornosach.

Usiadła na kanapie w salonie. Kiedy postawiłem przed nią kawę, złapała mnie za rękę i zmusiła, bym spojrzał jej w oczy.

- Nie zrobicie mi krzywdy, prawda?

- Nie - skłamałem.

Wyszedłem na taras i rozejrzałem się. Nie zobaczyłem niczego podejrzanego. Kazar powinien przyjechać dopiero za czterdzieści minut, kiedy będzie już po wszystkim. Będziesz miał supertemat, Ian. I będziesz pierwszy.

Wróciłem do domu, włączyłem Wally'ego. Sally wstała, podeszła do mnie, znów się cofnęła, odsunęła krzesło od stołu i usiadła dwa metry dalej. Oblizła usta.

- Co to?

Tym razem zaskoczyła mnie.

- Nie wiesz?

- Nie. Nie lubię komputerów.

- To Wally. Nie komputer.

- Aaaa, Wally, no tak. Widziałam dużo reklam Wally'ego. Dla mnie to jak komputer.

Jakim cudem się uchowała?

- Mogę popatrzeć?

Wzruszyłem ramionami, na co przesunęła krzesło i usiadła tuż za mną. Poczulem zapach silnych perfum. Mimo że tego nie lubiłem, akurat ta woń nie była rażąca, nie za bardzo słodka. Sally pachniała nawet przyjemnie.

- Wytłumaczysz mi, jak to działa?

Wally akurat stanął w rogu ekranu i ze splecionymi ramionami oparł się o krawędź.

<Cześć, Ben. Miło cię widzieć.>

Miałem wyłączone zaawansowane funkcje rozpoznawania, więc nie zapytał o Sally ani nie próbował jej rozpoznać.

- To jest Wally.

Pokazałem jej ekran. Naprawdę trudno było uwierzyć, że go nie zna. Wally wyłaził niemal z każdego billboardu i każdego bloku reklamowego. Jak można było nie wiedzieć, czym jest? A może się ze mnie nabijała?

- To urządzenie czy postać?

Urządzenie czy postać? Uśmiechnąłem się pod nosem, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że pytanie wcale nie jest głupie. Kim tak naprawdę był Wally?

- Początkowo tak nazwaliśmy urządzenie, a jednocześnie awatara, czyli postać, którą widzisz. Prawie wszyscy wiedzą to, o czym mówię, i uznaliby moje tłumaczenia za niezłą zgrywę. Nie nabijasz się ze mnie?

- Nie. - Jeśli kłamała, to przekonująco. - Mówiłam ci, że nie lubię komputerów.

Zawahałem się, a potem wylogowałem z konta i wszedłem na główną stronę Wallnetu.

Nie wyglądała zbyt zachęcająco. Żadnych fajerwerków, grafik, krzyczących reklam. Kilka okienek tekstowych, powitanie na górze i slogany: „Stwórz własnego awatara. Wkrocz w XXI wiek. Podbij wirtualną rzeczywistość. Jeśli nie ma cię na Wallnecie, w ogóle cię nie ma”.

Sally uśmiechnęła się i uszczypnęła w ramię.

- Jednak jestem.

- Tak, jesteś. - Kliknąłem w okienko poniżej, uruchamiając film instruktażowy. Serwer zapytał o wiek i preferencje. - Wolisz kobiety czy mężczyzn? Kto ma cię wprowadzić w dwudziesty pierwszy wiek?

Uśmiechnęła się zalotnie. W sumie jednak dość mocno przypominała Sally. Zaprawiony mógłbym się pomylić. Amanda naprawdę miała oko.

- Niech będzie facet.

Kliknąłem odpowiednią ikonkę i na ekranie pojawił się Michael Grant, nowa gwiazda wytwórni braci Warnerów. Według „The Wall Street Journal” Clark od kilku miesięcy negocjował przejęcie tego medialnego koncernu, może dlatego zdecydował się na Granta, który wydawał się nieco zbyt staroświecki i ułożony, żeby prezentować Wally’ego. Z drugiej strony, dla kogo była przeznaczona ta prezentacja? Przecież nie dla dzieciaków, które nie potrzebowały żadnych instrukcji czy filmików. Dzieciaki w mig intuicyjnie łapały wszystko i po godzinie znały Wallnet lepiej niż jego projektanci. Tak, Michael mówił nie do młodzieży, tylko do starych opornych przyków, takich jak ja czy właśnie Sally.

„Witaj w Wallnecie, nowatorskim systemie wirtualnej rzeczywistości. Systemie przyszłości, bez którego już wkrótce nie będziesz się mógł obejść. Przekonaj się, jakie to proste. Zaraz poprowadzę cię za rękę przez cały proces instalacji. A potem... Potem Wallnet będzie należał tylko do CIEBIE”.

Michael wymierzył w nas wskazujący palec i zawisł na stop-klatce, a serwer zapytał, czy akceptuję warunki licencyjne. Kliknąłem TAK, komentując:

- Nikt tego oczywiście nie czyta. A warto by było, bo na końcu bierzemy całe ryzyko na siebie i zgadzamy się na obracanie przez Wallnet wszystkimi danymi osobistymi. Teoretycznie, jeśli SkyCom by chciał, mógłby wykorzystywać nasz wizerunek we wszystkich kampaniach, w reklamach, a nawet filmach porno.

<Masz już konto na Wallnecie, Ben> - zaprotestował serwer.

Kliknąłem IGNORUJ i Michael ruszył ze stop-klatki. Przez kolejne dwie minuty tłumaczył, czym jest Wallnet i do czego może się przydać. Sally wzruszyła ramionami.

- Miałam kiedyś konta na Facebooku i Twitterze. To nic nowego.

- Wallnet to rzeczywiście sieć społecznościowa, ale jednak znacząco się różni od swoich poprzedników.

Kliknąłem dalej, gdy Michael ponownie zapytał, czy na pewno kontynuować, i wpisałem dane „starej” Sally w wymagane okienka, w wielu z nich wstukując liczby i słowa na rybkę. System nie na wszystko mi pozwolił, żądając podania prawdziwych informacji. W końcu ekran powitalny płynnie zmienił się w witrynę profilową. Twarz Michaela zminimalizowała się do paska narzędzi na dole monitora, z boku wychyliła się szara postać Walh’ego.

<Cześć, Sally, jestem Wally. Teraz możesz spersonalizować swój profil. Możesz uruchomić obsługę głosem, kupić profil publiczny lub wizerunek znanej postaci albo zastosować własne zdjęcia i dostosować poziom animacji oraz interakcji z otoczeniem...>

„W razie czego zawsze możesz poprosić o moją pomoc” - dodał Michael, wychylając się zza paska narzędzi. - „Nie krępuj się, po to tu jestem”.

- Denerwuje mnie to - powiedziała Sally. - Są strasznie nachalni.

- Dzieciakom się podoba. Potem mogą się na nich wyżywać. Michael jest ich ulubieńcem. Można sobie zainstalować program, dzięki któremu Wally po personalizacji zamorduje Michaela. Najbardziej spektakularne zabójstwa są potem prezentowane w serwisie specjalnym.

- Niezła zabawa.

- Przede wszystkim temu ma służyć Wally. Kiedyś zakładaliśmy, że będzie głównie narzędziem biznesowym, komunikatorem i organizatorem, ale okazało się, że znacznie lepiej sprzedaje się jako zwykła komercyjna zabawka.

- Która uczy zabijania?

- I wielu innych złych rzeczy - przyznałem.

- Ty to zaprojektowałeś?

- Wymyśliłem, ale nie dałoby się tego zrobić bez wzoru pewnego Polaka.

- Co się z nim stało?

Zawahałem się. Co ją obchodził Robert? Nie znała go. Niewielu zdołało go poznać.

- Dostał Nobla - mruknąłem.

- Aha, nie wiedziałam.

- Mało kto o tym wie. Dziś każdy może dostać Nobla.

- Pewnie tak. Myślisz, że nie zasłużył?

- Zasłużył. Z pewnością zasłużył.

Wgrałem w profil Sally jedną z przykładowych postaci i odblokowałem wszystkie funkcje na planszy wyglądającej jak tablica do gier rpg. Devon korzystał z wielu doświadczeń deweloperów gier wideo, od dłuższego czasu skupując firmy produkujące gry akcji, strategie i role-playing, a także tworzące zaawansowane animacje i efekty specjalne, wykorzystując ich oprogramowanie do wzbogacenia awatara lub oferty własnych gier na Wallnecie. Za moich czasów tego wszystkiego nie było. Wally był dużo prostszym urządzeniem.

Sally straciła już zainteresowanie moim pokazem.

- Tak więc funkcje telefonu, komunikatora i społecznościowe zeszły na drugi plan - zakończyłem. - Istotniejszą częścią tego projektu stał się awatar.

- Co robi ten awatar?

Też dobre pytanie.

- Uczy się.

- Uczy?

- Tak. Uczy się twoich zachowań, przyzwyczajień, zainteresowań, sympatii, a z drugiej strony stara się

rozpoznać, co wzbudza twoją niechęć, odrazę, co cię odrzuca, dołuje i czego nie chcesz oglądać.

- Eeee... A po co?

- Żeby pomóc ci się odnaleźć w świecie informacji, a w razie potrzeby zastąpić cię albo asystować przy podejmowaniu decyzji. Może być twoim przyjacielem, pożądanym wrogiem, partnerem w grze lub przeciwnikiem, może cię chronić lub prowokować i szkolić. W zależności od preferencji i ustawień. Jeśli chcesz, może w sieci prowadzić własne życie. Taka elektroniczna maskotka. Twoje wirtualne alter ego. Zabawka, którą kontrolujesz w stu procentach albo tylko w jakimś stopniu. Albo której w ogóle nie kontrolujesz.

- Wciąż nie rozumiem, po co mi to?

- Zobacz. - Wszedłem do panelu ustawień i pokazałem jej ciągnące się na dziesiątkach stron tabele z czerwonymi i zielonymi znacznikami - Tu masz listę rzeczy, które Wally blokuje lub nie. Sam uczy się tego i zaznacza, ale jeśli chcesz, możesz to ręcznie zmienić. Większość użytkowników ufa jednak sztucznej inteligencji Wally'ego. Jeśli na przykład lubisz tylko kino europejskie, on wyrzuca wszystkie informacje dotyczące Hollywood i naszych produkcji.

- Ja lubię filmy amerykańskie.

- Więc takie by ci proponował.

- Rozumiem. I co dalej?

- Głosowałaś na demokratów?

- Nie interesuję się polityką.

- Wally wyrzuciłby więc z twojego profilu wszystkie informacje polityczne. Cały ten szajs poszedłby na śmietnik.

- To mi się podoba, ale wciąż nie bardzo rozumiem, dlaczego to takie dobre. Nie chcę czegoś czytać, to nie czytam. Nie potrzebuję nikogo, kto by za mnie decydował.

- Czasem możesz chcieć siebie lub kogoś chronić przed jakimiś informacjami, z którymi nawet pobieżny kontakt jest niewskazany. Dajmy na to, jeśli razi cię brutalność w filmach, mógłby je cenzurować. Nie chcesz erotyki? Proszę bardzo. Rażą cię wulgaryzmy? Nie ma ich. Segreguje spam i oferty reklamowe, wyświetlając tylko te, które rzeczywiście mogą cię

zainteresować.

- Wciąż nie wiem, po co mi to wszystko. Wolę sama zdecydować.

No właśnie, trafiła w sedno.

- Ja też.

- To po co tego używasz?

- Tylko z jednego powodu. - Wybrałem z poziomu kontaktów stworzony kilka lat temu profil, którego do dziś nie byłem w stanie usunąć. Profil nazywał się „Petra”, choć mocno ryzykowałem, tak go nazywając. Petra wyglądała identycznie jak Sally. Sprzed dziesięciu lat.

- Jest do mnie podobna. Ale to nie jest ten profil, który wcześniej utworzyłeś?

- Nie. Już go usunąłem.

Sally patrzyła na Petrę i uśmiechała się do niej.

- Naprawdę podobna.

- Dlatego cię wynajęliśmy.

- Po co ci ona?

Zamiast odpowiedzi odblokowałem sterowanie głosem i powiedziałem:

<Cześć, Petra.>

<Cześć, Ben. Miło cię widzieć. Dawno nie zagłędałeś.>

Przeszła przez biały ekran i usiadła na niewidzialnej pufie. Miała na sobie czerwoną suknię ze zdjęcia, które wgrałem jej do pamięci.

<Kim j est twój a przyj aciółka?>

<Nie poznajesz?>

Wzruszyła ramionami.

<A powinnam?>

<To ty, Sally.>

<Mam na imię Petra.>

<Nie, naprawdę masz na imię Sally.>

Chwila wahania. Może nieco za długa jak na najnowszy procesor.

<Jak sobie życzysz, Ben. Mam zmienić ustawienia?>

<Zrób jak chcesz.>

Znów pauza.

<Wolę Petra.>

<Mnie też się podoba. Muszę lecieć.>

Tak, już niedługo nie będę cię potrzebować. W zasadzie to nigdy nie pozwoliłem się oszukać. Pod tym względem Wally zwyczajnie się nie sprawdził. Jakkolwiek przyjemnie się z nim rozmawiało, nigdy nie dałem się oszukać. Zawsze jego imitacja Sally, czy jak ją nazwałem w profilu - Petry, była niedoskonała, daleka od rzeczywistości. Test Turinga obłany w całości.

Zdemaskowałem cię, Wally.

Rozpoznałem, że jesteś tylko maszyną.

Bo nie próbowałaś dać mi szansy - mógłby nie bez racji odpowiedzieć. Nie można oszukać człowieka, jeśli ten nie daje szansy maszynie.

Sally chrząknęła, pewnie widząc, że trochę odleciałem.

- I po to ci ten szajs? Żeby pogadać z byłą dziewczyną?

Widziałem po jej twarzy, że jest zażenowana i zniesmaczona. To nie było prawdziwe życie, bez względu na nasze wszystkie wysiłki.

- Nie, rzadko to robię. A niedługo skasuję profil.

- Więc?

- Jest jeszcze jeden powód - wyznałem i kliknąłem w ikonkę kontaktów, a następnie w niewielką podobiznę Devona. Petra-Sally zniknęła. Mój szary Wally oderwał się od ściany, z zaciekawieniem czekając na pojawienie się większej podobizny Devona. Następnie szary awatar zniknął, a na ekranie odtworzyła się piętnastosekundowa reklama Devona i SkyCom.

Jesteś na oficjalnym profilu Devona Clarka, twórcy korporacji SkyCom i największej światowej społeczności Wallnet. Dziś przyjaźni się ze mną już dwieście pięćdziesiąt milionów osób na wszystkich kontynentach.

Awatar Devona rozparł się na całym ekranie i powiedział:

<Cześć, Ben. Zaprzyjaźnijmy się .>

Pojawiła się ikonka przyjaźni oraz informacja, że za kliknięcie mogę uzyskać sto punktów Wallnetu, które będę mógł wymienić na płatne usługi. Sto punktów jak sto dolarów. Specjalnie dla

mnie.

- Niezłe - mruknęła Sally.

- To Devon. Kiedyś się przyjaźniliśmy.

Nie skomentowała tego. Chyba była trochę rozkojarzona. Do tej pory знаła Devona jako naszego wroga, nawet jeśli tylko udawanego. Teraz miał być znów przyjacielem.

Awatar Devona stał, udając, że przysłuchuje się naszej rozmowie.

- Słyszysz nas?

- Nie. Wyłączyłem znów dźwięk i opcje interakcji.

- Aha. Powiedziałaś, że to przez niego... - przypomniała mi.

- Tak, przez niego.

Otworzyłem okno wiadomości tekstowych i napisałem na profilu Devona dwa krótkie zdania specjalnie dla niego, niemal pewien, że podobnych otrzymuje setki tysięcy dziennie. *Haters gona hate*.

„Fuck you, Devon. Pierdol się, pieprzony frajerze”.

Zaraz potem rozpętało się piekło.

Rozdział 37

Kiedy Steve zadzwonił i podał mu adres, okazało się oczywiście, że Charlie jedzie w przeciwnym kierunku.

- Pospiesz się, coś się szykuje.

Charlie nie pytał, w jaki sposób Steve znalazł Stillera. Wiedział, że Steve ma dość układow w policji i mediach, żeby być naprawdę dobrze poinformowanym. Teraz, kiedy wszyscy wszystkich podsłuchują i namierzają, nie jest to trudne. Kiedyś Charlie zastanawiał się, ile czasu zajęłoby szefowi znalezienie go, gdyby uciekł i próbował się ukryć. Nawet jeśli użyłby fałszywego dowodu, zrezygnował z kart kredytowych, internetu, to i tak by go znaleźli. Systemy monitoringu, kamery rozpoznające twarze na lotniskach i dworcach, policyjne aplikacje do wychwytywania fałszywych dokumentów były już tak sprawne, że nie mogło być mowy o ukryciu się na stałe. Chyba że w górach Afganistanu, pod warunkiem, że by tam w ogóle dotarł, jakimś cudem precyzyjniejszy się przez gęste sito podwójnych agentów. A nawet jeśli zdołałby się ukryć, resztę życia przeżyłby w nieustającym strachu, bo oni nigdy nie zapominali. Aż w końcu ktoś by zdradził, ktoś popełniłby błąd.

Tak, z pewnością by go znaleźli i nadali Steve'owi. A szef wysłałby do niego nowego dyżurnego zabójcę. Charlie nie łudził się, że dałby sobie z nim radę. Nawet jeśli pokonałby jednego czy dwóch, przyszliby następni. Ofiara zawsze jest w gorszej pozycji, choćby więcej umiała od napastnika. Polujący ma przewagę nad zwierzyną i jeśli tylko postępuje zgodnie z zasadami sztuki, to on będzie górą.

Oczami wyobraźni zobaczył pochylającą się nad nim ogorzałą, porysowaną głębokimi bruzdami twarz mężczyzny, który wprowadził go w świat brutalnych mafijnych rozgrywek, nauczył walczyć i myśleć. Nazywał się Meyer. Był tak samo brudny i zły, również nie mógł liczyć na karierę w strukturach

syndykatu i podobnie jak Charlie nie chował za to do nikogo urazy. Szanował reguły i dlatego i ojciec Steve'a, i potem sam Steve, też go szanowali. Charlie kochał swojego mentora niemal jak ojca, więc kiedy Meyer zginął, poprzysiągł zemstę zabójcy i jego mocodawcom. Szukał ich wytrwale, zabijając po drodze kilka przypadkowych osób, ale nigdy nie znalazł.

To oni znaleźli jego.

Pewnego dnia wrócił do domu i zastał w nim młodego Steve'a oraz kilku osiłków. Czekali na niego, spięci, przygotowani do konfrontacji, z palcami mocno zaciśniętymi na rękojeściach maczet, pistoletów i karabinów. To nie była towarzyska wizyta. Steve poprosił Charliego, by ten usiadł, a następnie zapytał, czy jest głupcem, który wierzy tylko własnemu rozumowi, czy też jest gotów spojrzeć na sprawy obiektywnie.

- A więc to wy? - wyrwało mu się.

Dostał z tyłu pałką. Padł na kolana, a potem, pchnięty kolanem, rozciągnął się jak długi na ziemi. Kopali go, aż w końcu Steve kazał im przestać, delikatnie uniósł jego zakrwawioną brodę i powiedział:

- Więc jednak jesteś głupcem. Naprawdę nie chcesz dostać szansy?

Charlie nie odpowiedział. Jednak Steve nie kazał go dłużej bić. Usiadł na ziemi i opowiedział mu całą prawdę o Meyerze, który nie mógł najwyraźniej wytrzymać sam ze sobą, bo w końcu palnął sobie w łeb.

- Nie chcieliśmy, żeby mówiono o nim jak o słabeuszu, samobójcy. Dlatego upozorowaliśmy napad. Możesz nam uwierzyć i przeżyć, albo możesz nie wierzyć i umrzeć. Co wybierasz?

Później Charlie długo się zastanawiał, dlaczego w końcu uwierzył Steve'owi. I czy na pewno mu uwierzył. Jakkolwiek było, uznał prawdę Steve'a, przyjął ją i zaakceptował.

Zwolennicy spiskowych teorii zawsze powtarzają, że jeśli nie ma na coś dowodu, to najpewniej to się wydarzyło. Charlie starał się od tego dnia postępować inaczej. Nie miał dowodów, że Steve kłamał. I nie szukał ich. A mimo to często był coraz

bliższy pójścia w ślady Meyera. Ratowała go wyłącznie wiara.

Wiara, która nie pozwalała samemu ze sobą skończyć.

Decyzja o życiu i śmierci należy do Boga.

Otrząsnął się ze Wspomnień i zapytał Steve'a, co ma robić, jak już dotrze na miejsce, lecz szef długo się wahał. Dopiero potem wydał parę poleceń.

- Jesteś pewien? - zdziwił się Charlie.

- Tak. Clark dzwonił do mnie w nocy.

- Czego chciał?

- Poprosił o przysługę.

Charlie nie skomentował tej informacji i nie pytał dalej. Te sprawy działały się na całkiem innym szczeblu, nie powinny go interesować. Nie bądź zbyt wścibski, im mniej wiesz... I tak dalej.

- Zgadnij, co mu odpowiedziałem?

Charlie wzruszył ramionami, jakby siedzieli twarzą w twarz.

- Nie chcesz wiedzieć? - Steve prawidłowo zinterpretował milczenie. - Dobry, stary Charlie. Zawsze taki sam.

Rzeczywiście: małomówny, cichy, grzeczny, posłuszny. Zawsze wykonujący twoje polecenia, Steve, jeśli tylko nie są sprzeczne z moimi zasadami wiary. Taki już jestem.

Steve pożegnał się i rozłączył.

Charlie przyspieszył, kierując się wskazaniem GPS. Mimo że kilkakrotnie uważnie przejrzał mapę LA, wciąż miał problemy ze zorientowaniem się w terenie.

Kiedy dojeżdżał na miejsce, rozległy się pierwsze strzały. Pociski przelatowały ze świstem, wybijały szyby, rykoszetowała, wzbijały fontanny betonowego i ceglanego pyłu.

Do diabła, Clark musiał się naprawdę wkurzyć.

Rozdział 38

Amanda powtarzała, że w naszych czasach tylko spektakularne wydarzenia przyciągają uwagę mediów. Już nawet morderstwa w Beverly Hills nie są interesujące, jeśli nie niosą ze sobą czegoś więcej. Sekta, rytuał, terroryści, seks z nieletnimi, najlepiej wszystko naraz. Musi być spektakularnie, dużo akcji, dużo huku. Musi się dziać.

Seria z pistoletu maszynowego najpierw rozbiła duże okno tarasowe, a potem wbiła się nierównym szlaczkiem wyrw w ścianę salonu. Gips i tynk wylatywały ze ścian w pylistych gejzerach i huczących rozbłyskach. Sally upadła na ziemię, a ja na nią; przydusiłem ją do podłogi, starałem się osłonić własnym ciałem. Poczulem w ustach i nosie drażniącą woń spalenizny i siarki. Jeszcze nie nadszedł czas na śmierć. Musi być spektakularnie.

Druga seria zabrzęczała mi w uszach zaraz potem i porozbijiała naczynia na komodzie i szybę w obrazie. Dźwięczała mi jeszcze długo w uszach nierównym terkotem. Ścisnąłem Sally za ramię i rzuciłem:

- Za mną. Szybko.

Przebiegliśmy przez salon do kuchni w samą porę, by zobaczyć przez okno gościa z krótkim pistoletem maszynowym, który właśnie przykładał do ramienia. Stał przy murku, obok drzewa Jozuego. Mężczyzna o twarzy twardziela, z pooranym bruzdami kamiennym obliczem. Twarz prawdziwego zabójcy. Nie wyrażała żadnych emocji.

- Kurwa.

Padliśmy na czworaka i w tej samej sekundzie pociski poszatkowały całą kuchnię.

- Do diabła, nie na to się umawialiśmy! - wykrztusiła Sally.

Miała rację. Nie miało być żadnych strzelanin.

- Chcesz złożyć reklamację, wolna droga. Ja spierdalam.

- Poczekaj.

Pobiegła za mną do garażu, z którego ruszyłem na podjazd i wpełzłem jakimś cudem do samochodu. Sally przebiegła po drugiej stronie i zajęła miejsce pasażera. Zanim uruchomiłem silnik, rozejrzałem się i zobaczyłem obu strzelających. Drugi musiał podbiec do tego, którego widziałem wcześniej. Byli podobni do siebie. Obaj chudzi, niezbyt duzi, z włosami postawionymi na żel. W garniturach i cienkich czarnych krawatach. Oczy ukryte za przeciwsłonecznymi okularami, kwadratowe szczęki i duże nosy.

Broń plująca żywym ogniem.

Ruszyłem z piskiem opon, w ostatniej chwili unikając głównej fali nadlatujących pocisków. Ale kilka z nich i tak pokieroszowało karoserię. Plask, plask, plask. Kule odbijały się od niej jak wielki grad. Auto wybiło się do góry i opadło na ulicę, zakołysało się gwałtownie. Pisnęły opony, spod podwozia trysnęły snopy iskier.

Kręciłem kierownicą, tak jak potrafiłem. Wyprowadziłem samochód z poślizgu i wcisnąłem gaz do dechy. Sekunda, dwie, trzy, byłem już przy skręcie, kiedy w lusterku zobaczyłem tego gościa. Stał w rozkroku, przeładował, wycelował lufę w naszym kierunku.

Traaaaach.

Pistolet maszynowy plunął serią w tej samej chwili, w której zniknęliśmy za rogiem.

Jechałem najszybciej, jak mogłem, ledwo mieszcząc się w wąskich uliczkach. Przy UCLA odbiłem się od zaparkowanych samochodów, wywołując głośne krzyki protestu szczeniaków siedzących na schodach przed budynkiem szkolnym.

W oddali słyhać już było głos policyjnych syren. Miałem wrażenie, że są coraz bliżej i nas osaczają. Szukałem napastników w lusterku, ale ich nie widziałem. Nawet jeśli nas ścigali, to musieli być daleko.

Zwolniłem, żeby nie ściągać na nas uwagi. Sally milczała. Była w szoku. Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu ktoś do niej naprawdę strzelał, i to od razu z broni automatycznej.

Hej, dziewczyno, nic ci się nie stało. To najważniejsze. Już po wszystkim. Możesz odetchnąć.

Minąłem cmentarz, kierując się w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca. Jechałem zgodnie z przepisami, starając się uspokoić oddech. Bałem się trochę, że pokiereszowany wóz zwróci uwagę jakiegoś patrolu policji, ale na szczęście udało się tego uniknąć.

Trzymaj się bocznych dróg, Ben - radziła Amanda. Łatwo powiedzieć. W takim miejscu wszystkie drogi wydają się boczne, a i tak są oblegane. Także przez gliny.

Akurat kiedy pomyślałem, że to już koniec, z Cashmere z piskiem opon wystrzelił z impetem szary chevrolet. Chyba chciał w nas trafić, ale kierowca źle obliczył prędkość. Samochód przejechał w poprzek ulicę i z hukiem wbił się w zakrzewioną bramę kortów tenisowych.

Wdepnąłem w pedał gazu, ale silnik tylko się zakrztusił.

Spokojnie, nie tak nerwowo.

Sally krzyknęła, zaraz potem zaczęła pojękiwać i szlochać pod nosem. Podkułiła nogi, wciskała pięści w policzki.

- Spokojnie. Wyjdziemy z tego.

Nie spojrzała na mnie. Wbijała wzrok w szybę i pewnie się modliła.

Boże, dlaczego zawsze ja muszę mieć pecha? Dlaczego to przytrafia się właśnie mnie? Pewnie tak sobie powtarzała pod nosem.

W lusterku zobaczyłem, że chevrolet wycofał się już z rozbitej bramy i ruszył za nami. Koła zabuksowały, z opon poszedł dym. Z rozbitej bramy wyskoczył jakiś mężczyzna w szortach, ale znieruchomiał jak posąg, bo z okna w dachu chevroleta wychylił się mężczyzna z pistoletem maszynowym.

Pedał gazu w moim samochodzie był dociśnięty do podłogi. Nie mogłem jechać szybciej.

We wstecznym lusterku widziałem, jak mężczyzna wychylony z chevroleta repetuje broń i celuje w naszą stronę. Zobaczyłem błysk. Jeden, drugi.

Huk wydawał się stłumiony. Nie było świstu kul. Żadna nie trafiła w samochód.

Odruchowo skręciłem kierownicą, starając się utrudnić mu celowanie.

Ponowny błysk i huk dokładnie w chwili, kiedy skręcałem w Sunset. Pewnie najrozsądniej było skręcić zaraz w kierunku Bel-Air i spróbować się zaszyć w którejs z uliczek, ale uznałem, że jeszcze trochę poigram z losem.

Pieprzone dwadzieścia parę mil jednej z najbardziej znanych ulic L.A. Cholerny Bulwar Zachodzącego Słońca. Miejsce, gdzie pierwszy raz uświadomiłem sobie, że naprawdę kocham Sally, że to nie jest żadna miłość na niby, krótki związek dla seksu czy przygoda jakich wiele. Że to coś ponadczasowego, zdolnego... Tak, zdolnego nawet przekroczyć barierę śmierci.

Staliśmy ładnych parę kilometrów stąd, w centrum, pomiędzy wysokimi, chudymi tyczkami palm przy rogu Courtney Avenue, głaskałem ją po policzku i patrzyłem w oczy, nie rozumiejąc, dlaczego są takie smutne i melancholijne. Powinniśmy się cieszyć, radośnie krzyżeć, że właśnie odnaleźliśmy to COŚ, czego nie da się podrobić.

- Wiesz, że niedaleko stąd policja przyłapała Hugh Granta z prostytutką? - zaśmiała się, unikając tego oczywistego przesłania miłości w moich oczach.

Co mnie obchodził Hugh Grant? Co mnie obchodziła cała ta dzielnica czerwonych latarni?

- Nie chcesz chyba, żeby nas oskarżono o to samo?

Czyż to nie byłoby zabawne: sobowtór Bena Stillera z piękną blond prostytutką?

Traaaach.

Kolejny huk wystrzałów i seria błysków wyrwały mnie ze wspomnień.

Chevrolet zbliżył się na tyle, że bez trudu rozpoznałem faceta sprzed domu. Czy to powinno mnie pocieszyć?

Gwałtownie skręciłem w Loring Avenue, siejąc panikę wśród przechodniów oglądających rozłożone na wzniesieniu wille ze wspaniałymi, starannie przystrzyżonymi trawnikami. Nie zgubiłem chevroleta, ale kiedy skręcałem w Charing Cross Road, z Woodruff wyjechała ciężka półciągarówka, o mało nas nie taranując. Usłyszałem pisk opon, a potem zgrzyt zderzających się pojazdów.

Chevrolet wypadł z gry.

Mimo to nie zwalniałem, skręciłem w kolejną ulicę w lewo, potem w prawo i znów w lewo, wreszcie dotarłem z powrotem na Bulwar Zachodzącego Słońca. Skręciłem w lewo przy budynku straży pożarnej i wróciłem do Bel-Air. Wjechaliśmy w uliczkę ocienioną przez rosnące w równiutkim szeregu, wysokie drzewa, i zaparkowałem pod niezbyt rzucającym się w oczy domem. Jego niewątpliwą zaletą było to, że znajdował się na końcu alejki i sąsiedował z dużym hangarem, od dawna opuszczonym, ponieważ właściciel w najmniej właściwym momencie zainwestował na rynku walutowym w japońskiego jena.

Sally sprawiała wrażenie pogodzonej z całym tym szaleństwem. Posłusznie poszła za mną i dopiero kiedy zamknąłem drzwi, wykrzyknęła:

- O co tu chodzi? Co się dzieje?

Położyłem dłonie na jej ramionach, posadziłem ją na kanapie i powiedziałem powoli:

- Dziesięć lat temu zniknęła moja dziewczyna.

Patrzyła na mnie jak na idiotę. Dziesięć lat temu. Co to, kurwa, ma wspólnego z dniem dzisiejszym? Zniknęła? I ja mam się tym przejmować, kiedy jacyś faceci z Matriksa grzeją do mnie z kałachów, a potem uczestniczę w jakimś szalonym pościgu jak w GTA? To nie były kałasznikowy, Sally - mógłbym jej odpowiedzieć. To były M16. Właśnie tak. To były M16. Strzelają znacznie celniej, lecz są droższe i w produkcji, i w utrzymaniu.

- Nie mówię o scenariuszu, który omawialiśmy z Amandą, i jej opowieściach. To wszystko jest naprawdę. To nie jest film ani gra.

- Jak to?

- Sally... Moja Sally została zamordowana. Zamordował ją Devon Clark, twórca korporacji SkyCom.

Zatkało ją.

- Co ja mam z tym wspólnego? - wykrztusiła w końcu, odzyskawszy głos.

Przecież dobrze wiedziała. Ale może musiała to przetrwać.

- Jesteś do niej podobna.

Tylko tyle. Tylko to było mi potrzebne.

- I dlatego mnie wynajęliście? Żebym zagrała trupa? Amanda mówiła, że mam odegrać zaginioną dziewczynę. Nie trupa. I nie mówiła, że to będzie się dziać naprawdę. Nie mówiła, że ktoś będzie do mnie strzelał, że będziemy się ścigać. Zapłaciliście mi za coś zupełnie innego. Właściwie to nawet jeszcze nie zapłaciliście, bo przecież ta zaliczka to... to było nic.

- Nie wiedziała o tym - skłamałem. Gdybyśmy ci powiedzieli, nigdy byś się nie zgodziła, prawda?

- Ale...

- Już po wszystkim.

W uspokajającym geście uniosłem ręce i zrobiłem krok w jej kierunku.

- Nie zbliżaj się!

- To już koniec. Nic ci nie grozi.

- Nie podchodź! - powtórzyła.

Cofnąłem się.

- Okay, już dobrze.

- Nie dobrze. Nie mieliście prawa mnie w coś takiego wplątywać. Nikt nie ma prawa do mnie strzelać! - Rozpląkała się. - Nie zasłużyłam na to, żeby ktoś do mnie strzelał!

- Wiem, przepraszam...

Chciałem ją przytulić, ale odskoczyła jak oparzona.

- Zrobię ci coś do picia.

Poszedłem do kuchni i przygotowywałem lemoniadę. Nie spieszyłem się. Wypiła łączywie pół szklanki. Była już trochę spokojniejsza.

- Uff - odetchnęła, a potem zacisnęła zęby i powiedziała cicho tonem świadczącym o tym, że jest na granicy wytrzymałości: - No dobrze. Zapłać mi, to sobie pójdę.

- Nie możesz.

- Gówno wiesz. Mogę robić, co chcę.

- Jeśli wyjdiesz, narazisz się na niebezpieczeństwo. Ci ludzie mogą na ciebie czekać. Albo inni. Dla nich jesteś prawdziwą Sally. Jesteś zagrożeniem.

- Mam to gdzieś, słyszysz? Sama o siebie potrafię zadbać.

Dawaj forszę!

- Amanda zaraz po ciebie przyjedzie - skłamałem. -
Poczekaj po prostu.

- Nie zamierzam czekać.

Nagle chyba zrobiło jej się niedobrze. Natychmiast się zorientowała, że to nie jest normalna reakcja organizmu na stres czy te wszystkie gwałtownie wydarzenia. Jej organizm nigdy tak nie reagował. Może dlatego, że do tej pory nigdy nie był pod wpływem flunitrazepamu i ketaminy.

Spojrzała na szklankę, doznając olśnienia. Ileż to razy mama powtarzała jej, żeby nie ufać obcym. Wstała i rzuciła się do drzwi. Nie mogłem jej na to pozwolić. Byłem szybszy, a ona była już mocno otumaniona.

Chciała krzyknąć, ale nie miała siły. Nie miała nawet siły, by płakać. Mogłem teraz zrobić z nią, co tylko chciałem.

Wyciągnąłem broń otrzymaną od Amandy, sprawdziłem, czy jest naładowana, po czym przystawiłem do głowy dziewczyny i pociągnąłem za spust.

Rozdział 39

Huk wciąż dźwięczał mi w głowie. Szedłem najszybciej, jak umiałem do parkingu, na którym czekał samochód. Był to pięcioletni ford kombi, wypożyczony z firmy Travel Terra na numer karty założonej przez Easylog kilka miesięcy wcześniej. Policja nie powinna go znaleźć zbyt szybko, choć pewnie w końcu się połapia.

Wszystko zależy od tego, co zrobi Kazar. Ale cokolwiek zrobi, nie zdążą mnie złapać. Zresztą... był dziennikarzem. Tylko to będzie go obchodzić. Tylko jego materiał.

Nic już nie miało znaczenia, wszystko zmierzało do finału. Nie chciałem zacierać śladów. Wcześniej czy później dojdzie do ostatecznej konfrontacji i w mojej sytuacji powinno to nastąpić już niedługo. Wtedy kwestia samochodu, tego domu, a nawet odnalezienia fałszywej Sally nie będą już miały najmniejszego znaczenia.

Będziemy się liczyć tylko ja i Devon.

Unikając głównych ulic, ruszyłem w kierunku Venice, a potem Del Rey, zostawiając za sobą dzielnice willowe i parki pełne jałowców, eukaliptusów, paproci, kaktusów, wierzb i wszelkich karłowatych formacji drzew. Miła dla oka zieleń żywopłotów i zadbane budynki o nowoczesnej architekturze ustępowały powoli byle jakim bungalowom, gliniankom, kwadratowym tanim biurkom i apartamentowcom.

Po drodze kilkakrotnie minąłem kolumny policyjnych samochodów zmierzających na sygnale w przeciwnym kierunku. Nie było żadnych blokad. W radiu podano informację o strzelaninie w Westwood, prawdopodobnie mającej związek z wojną gangów. Policja już wyjaśnia sprawę. Nie było doniesień o zabójstwie kobiety kilka przecznic dalej, w północnej Wilshire.

Zaparkowałem naprzeciwko hotelu Marriott, pozdrowiłem naganiacza przy biurze Hertz'a i przeszedłem do pomostów

portu przez plażę i uliczkę przedzieloną pasmem drzew koralowych. Mimo silnie wiejącego wiatru, przy boiskach do siatkówki siedziało sporo młodzieży. Palili papierosy i pili alkohol z butelek ukrytych w papierowych torbach. Za długo na nich patrzyłem, bo nagle zaczęli do mnie machać. Hej, stary, albo chodź tu do nas, albo się odpierdol. A może to my powinniśmy pójść po ciebie? Chciałbyś zobaczyć, do czego jest zdolna współczesna młodzież? Chcesz wiedzieć, czy dajemy sobie w żyłę i jak się pieprzymy? A może porozmawiamy o zabijaniu?

Przyspieszyłem kroku.

Trzy palmy wyrastające z piasku dzielnie radziły sobie ze słabnącym już szczęśliwie wiatrem. Jakaś zabłąkana matka z wózkiem patrzyła na niebo z wysoko uniesioną głową.

Motorówka czekała na mnie w stałym, wykupionym przed rokiem miejscu. Rzadko tam bywałem. Tylko po to, żeby nauczyć się podstaw nawigacji i sterowania łodzią. Wystarczyły trzy lekcje w klubie motorowym i już byłem kapitanem, choć stary szyper wykładowca stanowczo odradzał mi wypływanie podczas gorszej pogody.

Nie masz do tego talentu, przyjacielu - stwierdził.

Mówił prawdę i dobrze mi radził. Nie miałem talentu.

Sally nie lubiła otwartej wody. Bała się jej. Było to o tyle dziwne, że przecież świetnie pływała, ale tylko na basenie. Mimo lęku dobrze się trzymała na łodzi, gdy pływaliśmy razem. Ja, Devon, ona i Maria. Nie raz i nie dwa. Kiedy jednak proponowałem jej kąpiel na plaży, odmawiała. Nie bardzo rozumiałem, lecz nie naciskałem. Każdy ma prawo zwalczać po swojemu własne demony albo ukrywać je w środku, usypiać pozorną obojętnością.

Przypomniałem sobie, jak na molo w Santa Monica zadrżała przed archiwalnym zdjęciem zamordowanego rekina. Może to ich się bała. Potem pociągnęła mnie do diabelskiego koła w wesołym miasteczku i trzymała mocno za rękę, z zamkniętymi oczami, poddając się wirowaniu karuzeli.

Żołądek podjeżdżał mi do gardła, ale wytrzymałem to. Dla niej. Byłem zdolny do wszystkiego.

Dla niej.

Trzeci dok, w środkowej części mariny. Niepozorny biały jacht z pokładem do nurkowania, jeden z tańszych tutaj. Obok parkowała nowa łódź jakiegoś rosyjskiego miliardera, do której w żaden sposób nie mogła się równać moja „Larisa”. Zazwyczaj pusta, bo miliarder pojawiał się tylko latem, w sierpniu albo na początku września. Przyjeżdżał trzema limuzynami, zawsze w towarzystwie wesołych, rozochoconych młodzieńców i półnagich dziewczyn o zamglonych oczach.

„Larisa”. Nawet nie chciało mi się zmienić nazwy, po tym jak kupiłem motorówkę dzięki kontraktowi na obsługę zjazdu światowych liderów Oracle. Została „Larisa”. Kim była Larisa? - zapytała kiedyś Amanda. Nikim. Nie znałem żadnej Larisy.

Drzałem, zrzucając cumy i starając się wyprowadzić łódź z doku. To nie było łatwe, mimo że ćwiczyłem tyle razy. Całe szczęście obijaki na bokach łodzi nie pozwoliły mi na zrobienie większych szkód. Gdy już uda ci się wyprowadzić łódź, zdejmij obijaki, przypomniałem sobie słowa starego szypra. To straszna wiocha pływać z nimi na burtach. Zdjąłem je, po czym wróciłem do kokpitu i zwiększyłem prędkość.

Godzinę później widziałem już przed sobą tylko ocean i dalekie światła Cataliny, jedynej zamieszkaney wyspy w pobliżu. Z tyłu rozpościerał się rozłożysty szal zabudowań Miasta Aniołów, wiecznego miasta zachodu, niezwyklej, wielokulturowej mekki nowego świata, najwspanialszego miejsca na ziemi.

L.A. i Nowy Jork to nie Ameryka. Należą do całego świata. Miasta z duszą. Takie właśnie były. Wspaniałe, moje miasto nocą. Moje i Devona. Mimo że jego ojciec zawsze spoglądał na Wschód, gdzie rodziła się i rosła w siłę jego przemysłowa korporacja. Młody Clark rozwijał biznes w San Jose i dziś bardziej wspierał San Francisco, ale to L.A. było miastem, które obaj kochali najbardziej.

Ustawiłem kurs na Clark Island, zastanawiając się, jak mnie przyjmie. Zapewne go nie będzie, ale jak tylko się dowie, że przypląnąłem, wsiądzie w jeden ze swoich śmigłowców i po godzinie spojrzy mi w oczy. Ramon, zarządca tego całego

burdelu, będzie w kropce. Z jednej strony nie wolno mu przyjmować obcych, z drugiej, ja przecież nie jestem obcy. Przyjaciół pana Devona, sam pan Stiller! - wykrzyknie, jeśli mnie pozna. A jeśli nie? W końcu minęło już dziesięć lat. Sam byłem ciekaw, jak zareaguje.

A może Ramon już nie pracuje dla Clarków?

Telefon satelitarny zadzwonił dwukrotnie. Amanda.

- Gdzie jesteś, do diabła?

- Nieważne.

- Poszukuje cię cała policja L.A. Wszystkie kanały relacjonują strzelaninę w Westwood.

Miało być spektakularnie i jest.

- W radiu mówili, że to gangi.

- Wkrótce to się zmieni. Kazar kręci materiał dla telewizji.

Wydzwania do mnie wściekły Mike.

- Też chce usłyszeć relację z pierwszej ręki?

- Nie żartuj, miałeś na nas zaczekać. Dlaczego uciekłeś?

- Uznałem, że mój plan jest lepszy.

- Jaki plan?

- Wybacz, ale ci nie powiem.

- Do diabła, Stiller, gdzie jest Sally? Zawahałem się.

- Znajdziecie ją.

- Jak to, znajdziemy?

- Zobaczysz. Muszę kończyć.

- Ben, do licha...

- Wybacz.

Rozdział 40

Wyrzuciłem telefon do oceanu. Nie był mi już potrzebny. Dwie godziny później zobaczyłem światła przystani Clark Island. Ocean był niespokojny, popłynąłem więc trochę dalej na zachód i dopiero potem skręciłem na północ. Dobrze znałem przystań na wyspie Devona i wiedziałem, jak sobie poradzić.

Wyspa sprawiała wrażenie opuszczonej, wymarłej. Nigdy zresztą specjalnie nie tętniła życiem. W zasadzie nie była nawet wyspą, tylko wystającą z oceanu skałą na mieliźnie pomiędzy pasem większego archipelagu parku narodowego Channel a wyspą Santa Barbara. Zaledwie dwa kilometry kwadratowe skał, które stary Clark kupił dzięki znajomości w admiralicji. Dostarczał jej działa instalowane potem na krążownikach i pancernikach, więc łatwo mógł zrobić taki interes - jak to mówił z pogardą Devon.

Przekonał jakiegoś dupka ze zbyt wypchanymi pagonami, że na skale w pobliżu L.A. warto założyć tajną bazę wojskową z urządzeniami pomiarowymi. Wojsko przystało na propozycję i uruchomiło niezbędne procedury, a kiedy ktoś w końcu popukał się w głowę, Clark przekupił kolejnych ważniaków i uzyskał zgodę na prywatną inwestycję.

Ekolodzy protestowali, że budowa może zakłócić funkcjonowanie pobliskiego archipelagu, ale Clark miał to w dupie, tak jak i wszystkie te gadaniny o nieingerowaniu w życie lwów morskich, ginących alg, bielików czy innych rzadkich mieszkańców tego ekosystemu. Chciał tu zbudować małą wyspę i dopiął swego.

Nie wiem do końca, co na wyspie było dziełem przyrody, a co rezultatem działań Clarków, ale efekt końcowy prezentował się całkiem nieźle. Wielka skała z kilkoma płaszczyznami, które wykorzystano do budowy pięknego pałacu, domku dla służby, stróżówki, latarni i lądowiska.

Żadnej plaży, tylko ostre zejście do oceanu, od zachodniej strony przystań, która mogła pomieścić co najwyżej trzy duże jednostki. Lądowisko za to większe, przystosowane do przyjęcia kilku śmigłowców. Na najwyższym szczycie umieszczono instalację radarową i anteny satelitarne, które zbierały dane dla wojska. Dzięki temu Clark Island stała się przykrytym chmurami obszarem na wszystkich dostępnych publicznie zdjęciach.

Teren wojskowy. Fotografowanie surowo wzbronione. Tak było w czasach zimnej wojny.

A teraz? Coś pomiędzy prostytutką a miłością. Teren prywatnie-wojsko wy, choć w programach wyborczych nowych gubernatorów przebąkiwano o konieczności przejęcia wyspy przez administrację i przywrócenia jej przyrodzie. Dziwnym trafem zaraz po wyborach plany te zniknęły bez śladu.

Rosły tu nieliczne, karłowate rośliny, trochę chaparral, jakiś przypadkowo zasiany karłowaty dąb przy ganku, trawy wokół zatoczki przy przystani. Poza tym tylko afanitowe struktury szarego i czarnego bazaltu, nieliczne łachy piasku i nasypy z kamieni naniesionych przez fale. Przy domu skarpa z płaszczami ziemi zwiezionej przez Clarka, na której miał powstać pewnie jakiś ogród, ale ktoś poszedł po rozum do głowy i nie zrealizował tych zamierzeń. Ta zimna, piekielnie surowa wyspa była piękna właśnie taka, bez palm, oliwek czy starannie przystrzyżonych trawników i żywopłotów. Taka najbardziej podobała się Sally i ujmowała ją swoją surowością i nietuzinkowym urokiem.

Zacisnąłem mocno powieki i otworzyłem je, marząc, że ją tam zobaczę. Na szczycie skały, wpatrzoną w wulkaniczne pasmo wysp Anacapa. Drżącą w moich objęciach i szepczącą do ucha słowa, których nigdy nie chciałem usłyszeć.

Wzdrygnąłem się.

Przy pomoście cumowała jedynie niewielka dżonka i skuter wodny. Gdzie podziałeś swoje jachty, Devon? Czyżbyś już nie pływał? Masz dość po tym, co się wydarzyło?

Przysiadłem na chwilę na pomoście i znów zobaczyłem tu Sally, moją małą Sally, machającą bosymi stopami i ze

śmiechem zasłaniającą twarz przed rozpryskami fal. Bojąca się wody Sally udawała, że to nic takiego. Jeśli ma się w życiu cel, można wiele znieść, prawda? Można nawet udawać, że kocha się lwa ludojada albo pływać z rekinami. Można, mimo strachu przed wodą, codziennie trenować pływanie, a gdy nadejdzie pora, wskoczyć do oceanu. Można.

Cały kompleks mieszkalny tonął w ciemnościach. Tylko na najwyższym wzgórzu, w domku Ramona sąsiadującym ze stacją radarową, paliło się światło. Zastanawiałem się, czy wciąż jest to Ramon, czy jakiś inny Meksykanin lub Kubańczyk. Skromny, usłużny, całkowicie oddany swojemu panu, Devonowi Wielkiemu Clarkowi i jego rodowej spuściźnie. Niedbający o zdrowie i powikłania wynikające z ekspozycji na silne promieniowanie radiowe.

Wyszedł na moje powitanie z latarnią i strzelbą opartą na ramieniu. Wyglądał jak postać z książki. Ramon. To był on. Małeńki punkt światła w kosmosie pełnym mroków. Ten sam stary, dobry Ramon. Uśmiechnął się na mój widok.

- To naprawdę pan? Pan Ben? Ben... Stilson?

- Stiller.

- A tak, Stiller, jak ten komik.

- Jak ten komik.

- Pan Devon nie uprzedzał...

- Wiem, to nagły przypadek. Devon zaraz przyleci.

- Ach tak... - Nie wiedział, co ma zrobić, ale nagle wpadł na pomysł: - Mam go powiadomić, że już pan przypłynął?

- Poproszę. Powiedz, że nie mogę się doczekać, by go uściskać.

- Oczywiście.

Przez kilka minut wspinaliśmy się do stojącej na wzniesieniu willi. Ramon zapalił światło i zawahał się.

- Mam pana oprowadzić? Zrobić kawę?

- Nie trzeba, poradzę sobie.

- Proszę na razie nie korzystać z pomieszczeń w drugiej części domu - powiedział ostrożnie, starając się dać mi do zrozumienia, jak bardzo niezręcznie się czuje. - Pan Clark...

Nie dokończył. Wiedziałem, co ma na myśli. Pan Clark nie

lubił, gdy obcy kręcili się po domu. Szczególnie pod jego nieobecność. Kiedy jeszcze bywała tu Maria, często miała gości. Ale Marii już nie było. Po trwającym rok procesie oddał jej jedną dziesiątą majątku i szybko zapomniał. Dziś pewnie nawet by jej nie poznał na ulicy. Został sam ze swoimi demonami. Tak jak na to zasłużył.

- Oczywiście, Ramon. Zostanę w salonie.
- To ja... uciekam. Do zobaczenia.
- Do widzenia, Ramon.

Rozdział 41

Z perspektywy Charliego cała ta awantura, której był niedawno świadkiem, wyglądała przerażająco amatorsko. Zamiast po cichu i precyzyjnie, Devon Clark zadziałał z impetem i fajerwerkami, ale kompletnie nieskutecznie.

Zabójca nie rozumiał, dlaczego szef SkyComu nie wysłał fachowca, tylko jakichś partaczy, bo ludzie ścigający Stillera nie wyglądali na zawodowców. Gdyby nimi byli, nie spudłowaliby tyle razy i nie daliby wystrychnąć się na dudka. Zawodowcy prawdopodobnie w ogóle nie doprowadziliby do stawiającej całe L.A. na nogi strzelaniny i pościgu. Czy oni słyszeli o czymś takim jak tłumiki? Pistolety maszynowe na zwykłego technologa? Chyba że Charlie o czymś nie wiedział, a Ben zaraz okaże się pieprzonym Rambo. Komandosem załatwiającym dziesiątki przeciwników gołymi rękami i pułapkami rodem z opowieści o serialowych herosach.

Tak czy inaczej, Stiller uciekł. Także Charliemu, który stanął w sznurze aut przyblokowanych po kraksie na Charing Cross Road.

Nie był zły. Uśmiechał się pod nosem, pełen podziwu dla Bena. Jak na amatora całkiem nieźle sobie poradził. Całkiem nieźle.

Ponieważ Steve zakazał Charliemu się wtrącać i polecił nie robić niczego bez rozkazu, nie przejmował się tym. Wcześniej czy później go odnajdzie, jeśli zajdzie konieczność. Miał jednak nadzieję, że Steve nie zmieni zdania i nie każe go zabić. Czuł do tego chłopaka coraz więcej sympatii. Już nie tylko przez Wally'ego.

Może i jesteś mordercą, Stiller, ale lubię cię. Nie chcę cię zabijać. Chcę zobaczyć, co kombinujesz.

Syreny policyjne wyły coraz głośniejsze. Ich dźwięk zdawał się dochodzić zewsząd. Otaczał Charliego. Nie lubił tego dźwięku.

Wysiadł z samochodu i ruszył za jednym z uciekających

bandytów, któremu udało się zwiąć z miejsca wypadku przed policją. Farciarz, bo gliny pojawiły się wyjątkowo szybko. Nie większy niż Ben, ale jednak.

Chłopak nie wyróżniał się niczym szczególnym poza garniturem, który kompletnie do niego nie pasował, zwłaszcza w połączeniu z dużą torbą sportową, gdzie pewnie schował broń. Może dlatego zaraz po opuszczeniu zniszczonego chevroleta zdjął marynarkę i wyrzucił ją do pobliskiego kosza, jednocześnie wypuszczając koszulę ze spodni. Kilku gapiów w pośpiechu zeszło mu z drogi. Nikt nie chciał kłopotów.

Chłopak potargał sobie włosy i założył na nie czarną przepaskę. No, teraz znów wyglądasz jak trzeba, synu - pomyślał Charlie. Ten dzieciak był za młody na zabójcę, za młody na śmierć.

Masz szczęście.

Charlie trzymał się na tyle daleko, by śledzony nie zauważył go, ale śledząc go, i tak narażał się na dekonspirację. Dlatego zdecydowanie przyspieszył, jak tylko tamten skręcił w jedną z poprzecznych uliczek. Wystartował jak z procy, szybkim sprintem, wypadł zza rogu w pełnym pędzie, tak że chłopak zdążył tylko odruchowo zasłonić się rękami przed atakiem. Ale Charlie nie zamierzał się z nim bić.

Wpadł na chłopaka z impetem, uderzył kolanem w jego pierś. Obaj padli na ziemię: Charlie na górze, dzieciak pod spodem. Torba upadła obok nich, ukryta w niej broń zgrzytnęła na kamieniach. Charlie przycisnął chłopaka kolanem do ziemi i zasyczał:

- A teraz powiesz mi, dla kogo pracujesz!

- Gówno ci powiem! - stęknął dzieciak.

Charlie uniósł pięść, ale nie uderzył. Znów zrobiło mu się szkoda chłopaka. Są inne metody. Wystarczy trochę cierpliwości i odrobina wcale nie tak bardzo inwazyjnych tortur. Trochę pocierpisz i powiesz. Bo po co masz cierpieć bardziej. Każdy twardziel przecież tak zaczyna rozmowę, hardo i odważnie, by już po kilku minutach zmienić zdanie. Wszystko mi powiesz, nawet nie wiesz jak szybko - pomyślał Charlie.

Ale najpierw przyciągnął torbę do siebie i wyciągnął z niej

śmierdzące olejami i spalenizną M16. Broń zupełnie nie pasowała do takiego dzieciaka. Charlie nagle zauważył coś, co go zastanowiło.

Przeładował karabin, potem wyjął magazynek, obejrzał uważnie każdy element, jakby upewniał się, że nie będzie stanowić dla niego zagrożenia, a następnie odłożył broń na bok. Wciąż trzymając dzieciaka za koszulę, sięgnął drugą ręką po komórkę i zadzwonił do Steve'a.

Ale tym razem Steve nie odebrał.

Rozdział 42

Wyjąłem Wally'ego z torby, włączyłem tryb cichy bez opcji powiadamiania, po czym wybrałem numer Matta. Choć na wyspie znajdował się nadajnik, połączenie wideo nie było najlepsze.

- Do diabła, szefie, ale narozrabiałeś - zawołał, jak tylko mnie usłyszał. Jego twarz wypełniała cały ekran, przebiegały przez nią drobne zakłócenia, jak podczas burzy. Może to przez pogodę, a może Devon miał tu jakieś dziwne prądy zakłócające. Kiedy zamiast Matta pojawił się Louis, także musiał podzielić się swoimi wrażeniami: - Trąbią o tobie we wszystkich telewizjach. Nieźle, naprawdę nieźle.

- Pamiętacie wszystkie polecenia? - upewniłem się.

- Tak, tak - odpowiedzieli jeden przez drugiego.

- Nie spieprzmy tego.

- Spokojnie, szefie. Nie spieprzimy.

Rozejrzałem się i stwierdziłem, że górna półka na ubrania będzie najlepsza. Spojrzałem jeszcze raz na baterię Wally'ego. Czujnik wskazywał dziesięć godzin do rozładowania. Naprawdę porządna bateria. Ostrożnie odłożyłem komunikator na półkę, sprawdziłem, czy obiektyw jest dobrze ustawiony, i zastawiłem urządzenie pudełkami.

Odszedłem w głąb salonu i upewniłem się, że niczego nie widać. Devon nie mógł go zobaczyć. Muszę nagrać, jak cię zabijam, draniu. To będzie mój dowód dla sądu. Dla największej z możliwych ławy przysięgłych. Upewniłem się jeszcze, czy konsola alarmowa jest tam, gdzie ostatnio ją widziałem. Następnie usiadłem na kanapie i czekałem z przymkniętymi oczami.

Musiałem się uspokoić, nie mogłem pozwolić, żeby wspomnienia całkowicie mnie zdołowały. Znow wróciły wydarzenia sprzed lat. Sally była tu przy mnie, opierała głowę o moje ramię, śmiała się tak czysto i wesoło. Devon przełączał płyty, a Maria siedziała skromnie w kącie i patrzyła na nas z

wyrazem twarzy, którego wówczas nie rozumiałem. Dopiero dużo później, już po śmierci Sally, zrozumiałem to spojrzenie. To był smutny wzrok kobiety pragnącej miłości, której nie zaznała od Devona. Jej mąż był wampirem, technokratą gardzącym miłością. Wysysał z innych energię, pasożytując i nie dając w zamian niczego poza cierpieniem i bólem. Liczyły się tylko liczby, postęp i... ojciec. To była jedyna miłość, którą ścigał przez całe życie i do której nigdy nie chciał się przyznać.

Błędnie sądził, że to nienawiść. A był to specyficzny rodzaj miłości. Chciał pokazać ojcu, że on też potrafi być równie wielkim, cynicznym draniem.

Poczułem zimny powiew wiatru. Wstałem i wyjrzałem przez okno.

Ramon włączył już światła na lądowisku dla śmigłowców i to one rzuciły poświatę na skaliste brzegi. Na Wallnecie - zapewne w celu zatuszowania roli armii w całym przedsięwzięciu - rozpowszechniano plotkę, że wyspa jest dziełem jakiegoś szejka. Wedle tych doniesień zbudował wyspę, a potem dał ją w prezencie ojcu Devona w zamian za kontrakt na nowe haubice, którymi chciał wygonić plemiona koczowników z pól naftowych. Była też cała masa innych teorii spiskowych, ale jakoś żadna nie dotyczyła korupcyjnych układów na szczytach władzy i admiralicji.

Noc była jasna, księżyc rozświetlał niebo błękitną poświatą, teraz przybladła od światła lamp lądowiska. Widok z domu na wzgórzu był wspaniały. Ile milionów ludzi dałoby się zabić za taki dom! A Devon prawie go już nie używał...

Śmigłowiec nie nadlatywał. Może jednak się pomyliłem. Może Devon nie jest głupi i ukryje się za murem prawników, wyda mnie policji i sądom. To było najlepsze wyjście. Zbiegły morderca, dawny przyjaciel, schronił się w domu na wyspie. Wystarczy po niego polecieć i pojmać go albo zastrzelić. Właśnie tak. To byłoby nawet lepsze. Śmierć za śmierć, oko za oko, stare dobre prawo natury. Żaden sąd nie jest potrzebny. Wystarczyło zasugerować coś snajperowi, żeby pozbyć się tego kłopotu raz na zawsze. Nie będzie procesu. Nie będzie kłopotów.

Koniec.

Ale to nie w jego stylu.

Wróciłem na kanapę i włączyłem telewizor. Wszystkie stacje nadawały sprzed domu w Westwood, informując o dziesięcominutowej kanonadzie z broni maszynowej. Pokazywano zniszczone budynki, powybijane szyby i poharatane pociskami samochody. Wyglądało to jak reportaż z prawdziwej strefy wojny. Wyłączyłem dźwięk, nie byłem ciekaw, jakie kłamstwa podają. Dopiero kiedy na ekranie pojawiło się moje zdjęcie, ponownie włączyłem fonię.

...biznesmen podejrzewany o zamordowanie niezidentyfikowanej kobiety. Mężczyzna jest uzbrojony i niebezpieczny. Wszystkie osoby mogące...

Znowu wyłączyłem dźwięk.

Devon, wystarczy, żebyś zadzwonił i to skończył.

Ciekawe, czy Ramon też włączył telewizję. Jeśli tak, może właśnie biegnie tu ze strzelbą. Przeszedłem do okna od zachodu. W oknach domku Ramona nie paliło się światło. Po prostu poszedł spać. Zawsze wychodził z założenia, że lepiej nie widzieć, co się dzieje w nocy. Jak wtedy, w tę noc, gdy zniknęła Sally. Wtedy też nic nie widziałeś, Ramon. Nie słyszałeś, jak kłóciliśmy się z Devonem, gdy przybiliśmy do brzegu bez Sally. Dwaj mężczyźni, zziębnięci i przerażeni, wykrzykujący przekleństwa, szarpiący się i płaczący na przemian.

- Nie możesz mi tego zrobić! - ryczał Devon. - Nie możesz iść na policję!

- Ty mnie powstrzymasz? Co zrobisz, Devon, zabijesz mnie?

Ale potem, dużo później, obiecałem mu to. Obiecałem bezpieczeństwo i choć Bóg mi świadkiem, że kłamałem, to ostatecznie wszystko poszło po jego myśli. Nikt go nie oskarżył. Nikt nie rzucił na niego cienia podejrzania. Uzyskał bezpieczeństwo na dziesięć lat.

Dzięki mnie. Okazałem się tylko słabym, przerażonym, niesłownym ciamajdą. Zawiodłem cię, Sally.

Chwilę później usłyszałem nadlatujący śmigłowiec. Dobrze znałem ten dźwięk. Znacząco różnił się od warkotu tanich, dużych, policyjnych maszyn.

Rozdział 43

Luksusowy eurocopter okrążył wyspę i pewnie wylądował na oświetlonym placu. Devon wysiadł jak zwykle pierwszy, mimo że ochrona zawsze protestowała. Poprawił marynarkę na ramionach i odbiegł od huczących, wciąż mocno rozpędzonych wirników.

Dopiero po chwili z helikoptera wysypały się jeszcze cztery postacie. Wszyscy mieli na sobie garnitury. Dwóch ścisnęło w dłoniach pistolety maszynowe. Nie byli podobni do napastników strzelających wcześniej do mnie i udawanej Sally.

Devon przebiegł jeszcze parę metrów. Najwyraźniej nakazał ochronie zostać przy maszynie, bo w dalszą drogę ruszył sam. Wysoka, szczupła i wysportowana sylwetka zgrabnymi skokami pokonywała kamienne schody. Wcale się nie zestarzał. Wciąż był w dobrej formie. Po trzech minutach ponownie staliśmy naprzeciwko siebie. Tym razem nie uderzył mnie.

- Co ty wyprawiasz, u licha? Wszystkie stacje telewizyjne nadają tylko o młodym biznesmenie, który zabił swoją dziewczynę i podpadł jakiejś mafii. Ty, Ben, i strzelanina? O co chodzi? Dlaczego nie poprosiłeś mnie o pomoc? Wiesz przecież, że bym ci pomógł.

Zaraz cię poproszę.

- To twoje zbiry strzelały do nas - warknąłem.

Autentycznie się zdziwił.

- O czym ty mówisz, do diabła?

- Nasłałeś ich. Ostrzelali dom.

- Nikogo nie nasyłałem. - Skrzywił się. - Posłuchaj, Ben...

- To już bez znaczenia, czy zrobiłeś to ty, czy Gambino.

Przez jego twarz przesunęła się smuga cienia. Chyba' wypadłem wiarygodnie. Chyba się udało. Devon nie przeczuwał podstępu. Nie rozumiał, o co mi chodzi. Przez jakiś czas taksował mnie uważnym spojrzeniem, po czym powiedział spokojnie:

- To już przeszłość, Ben. Spłaciłem ich i nie mamy ze sobą nic wspólnego. SkyCom stała się czystą firmą, ani mafia, ani CIA nie kręci się koło nas. Wszystkie insynuacje, które usłyszałeś od Kazara, są nic niewarte.

- Stała się... - powtórzyłem.

Kiedy się poznaliśmy, to nie była uczciwa firma. Nawet jeśli Devon wszystko wyprostował, czy miał prawo oczekiwać odpuśczenia win? A czy te wszystkie dzieciaki zafascynowane Walym powinny się czuć bezpiecznie, gdy firma Clarka przechowuje ich najbardziej intymne dane, śledzi i manipuluje nimi? Czy to fair?

- Gram uczciwie - ciągnął Devon. - Na tyle, na ile pozwala mi prawo. Zbudowałem potęgę, Ben. Spłaciłem wszystkie długi, teraz buduję przyszłość. Prowadzę najczystsza korporację w L.A., a pewnie i na całym świecie. Dbam o jakość, przestrzegam prawa, nie pozwalam zatrudniać dzieci i wpuszczam do swoich fabryk działaczy Zielonych. Jakikolwiek zarzut o korupcję lub łamanie praw człowieka czy pracowniczych skutkuje w moich firmach natychmiastowym śledztwem, a w wypadku potwierdzenia zerwaniem umów. Jestem bardziej święty od papieża, Ben.

- Nieźle zarabiasz na tej świętości.

- Wydaję więcej na działalność charytatywną niż rząd, czego jeszcze byś chciał?

- Prawdy, Devon.

- Prawda nie zawsze jest jedna.

- Sally była jedna.

- Właśnie. - Uśmiechnął się sztucznie. - Kim była ta dziewczyna? Telewizja nie kłamie, naprawdę ją zamordowałeś? Odbiło ci?

- To była Sally, Devon - odparłem ze smutkiem. - Zrobiłem to dla ciebie, zabiłem ją dla ciebie. Odnalazła się i pragnęła zemsty. Chciała cię dorwać, dokończyć to, co zaczęła przed dziesięciu laty...

- Nie pieprz, Ben. Powiedz, o co chodzi?

Wtedy wyciągnąłem broń, z której zastrzeliłem udawaną Sally. Choć wyraźnie śmierdziała prochem, wyglądała jak

zabawka. Ale nie była nią. Była prawdziwa, śmiertelnie prawdziwa.

Devon nie wyglądał na wystraszonego. Roześmiał się, szczerze ubawiony.

- Zastrzelisz mnie, Ben? Nie żartuj? Ty i broń?

- Zmieniłem się.

- Ty? Ty miałbyś się zmienić? Nawet nie potrafiłeś załatwić sprawy z tym Polakiem.

- To prawda. Taki byłem. Ale miałem ciebie. Przyjaciela od taniej whisky. Bogatego lekkoducha na równi pochyłej, który nagle wyczuł swoją szansę. Szansę na sukces, odkupienie win i przypodobanie się tatusiowi. Pokazałeś mu, że też jesteś niezłym nikczemnikiem, co, Devon? Więc to jednak ty zleciłeś to zabójstwo?

Devon spowaźniał. Spojrzał na zegarek.

- Co zamierzasz?

- Powiedzieć wszystko. Oddać siebie i ciebie w ręce policji. Zaraz powinni tu być. Wiedzą, że popłynąłem do ciebie.

Nie kłamałem. Zadbalem o to, żeby się dowiedzieli.

- Po co było tu przyjeżdżać? Mogłeś zgłosić się po prostu na policję.

- Wtedy byś się wymigał. Sztab adwokatów załatwiłby ci przesłuchanie w pięciogwiazdkowym hotelu.

- Myślisz, że coś zmienisz tym, że zjawileś się tu z bronią? Myślisz, że dzięki temu mnie aresztują? Śmieszny jesteś, Ben.

Miał rację. Teoretycznie miał rację. Nie przewidział tylko jednego. Nie przewidział, że tym razem to ja planuję, a on dostosowuje się do tego planu. Zamieniliśmy się rolami. Dziś ja byłem strategiem, a on pionkiem.

- Będą musieli cię zatrzymać i przesłuchać.

- Bo ty każesz im to zrobić? Jak zamierzasz to osiągnąć, Ben? - Roześmiał się ponownie i stanął w rozkroku, udając, że celuje we mnie z pistoletu. - Aresztujcie Devona Clarka, bo inaczej was powystrzelam! Musicie go koniecznie przesłuchać, bo dziesięć lat temu zaginęła moja dziewczyna, a on jest temu winny. Naprawdę nie widzisz w tym nic zabawnego? Uśmiechnij się chociaż. Skoro już oszalałeś, to

niech przynajmniej będzie śmiesznie.

- Zabiłeś ich, Devon.

- Niby kogo?

- Roberta i Sally. Zamordowałeś ich, a potem kazałeś zabić tych dwóch kiboli.

- Zapłaciłem im.

- A potem ich zabiłeś. Nie trzymali gęby na kłódkę? O to chodziło? Chwalili się, że wielki Devon Clark płaci im za milczenie?

Devon podszedł do okna i spojrział na lądowisko. Ja też je widziałem. Ochroniarze wciąż stali przy śmigłowcu, ale w chwili, kiedy zjawi się policja, z pewnością poproszą o dalsze instrukcje. Co robi Devon? Każe im szturmować i mnie zastrzelić?

- Jeśli myślisz, że będę odpowiadał na twoje idiotyczne insynuacje, to się mylisz - wycedził. - Jeśli wymyśliłeś sobie, że nagrasz, jak się do czegoś przyznaję, to po prostu totalnie odpiąłeś. Ben, naprawdę jesteś aż tak głupi?

- Nie mam podsłuchu - skłamałem i uniosłem koszulę, żeby zobaczyć, że nie mam pod nią niczego. - Możesz sprawdzić.

- A nawet gdybym ci teraz opowiedział, jak wynająłem tych chłopaków w Warszawie, żeby pozbyli się kretyna, który zabronił nam wykorzystania jego wynalazku, a potem wyrzuciłem za burtę tę sukę Sally, którą z głupoty tu sprowadziłeś, to wyobrażasz sobie, że ktoś by wziął to pod uwagę? Zeznania złożone pod przymusem? Nawet najgłupszy adwokat z urzędu obaliłby taki dowód, przysięgli nie tylko nie mogliby go wziąć pod uwagę, ale nawet by nie wysłuchali tej taśmy. Zostałaby zniszczona i pozostałby po niej jedynie ślad w postaci urojeń jakiegoś szurniętego czubka, któremu coś tam się wydawało, ale który niczego nie mógł udowodnić. Czubka, który w swoim przenikliwym szaleństwie uznał, że przechytrył Devona Clarka. Czubka, który nawet nazwisko ma śmieszne. Ben Stiller, jak ten komik.

Dlatego wymyśliłem coś innego, Clark. Dobrze wiem, że takie nagrania, o jakich myślisz, byłyby bezwartościowe. Mam zupełnie inny plan, draniu.

- Trzymam cię na muszce, Devon, i to nie jest śmieszne.

- Zbyt dobrze cię znam, nie naciśniesz spustu. - Odwrócił się i podszedł do barku. - Poczekajmy zatem na gliny i powspominajmy. Co pijesz, Ben? Burbon czy szkocką? Niestety nie mam polskiej wódki. Zabrakło.

Przez chwilę miałem ochotę zakończyć to wszystko i go zaskoczyć. Ciekawe, co by się stało, gdyby usłyszał huk wystrzału. Strzelał do rzutek, więc nie powinien zbyt się wystraszyć. Raczej byłby zwyczajnie zaskoczony. Tym, że strzeliłem i że nie trafiłem. Tym, że nadal stoi i nic go nie boli. Potem usłyszałby drugi strzał i trzeci. Dopiero wtedy spojrzalby ze zdziwieniem na swoją pierś i rosnącą plamę krwi na koszuli. Widziałem kiedyś postrzelonego człowieka przy barze Tanga. Właśnie tak to wyglądało. Trzymał się za brzuch, a koszula błyskawicznie nasiąkała krwią. Twarz bladła, jakby właśnie ta krew z niej odpływała. I oczy, wystraszone i jakieś takie wizjonerskie, jakby widziały już nadchodzącą kostuchę. A jednocześnie potwornie zaskoczone, zdziwione. Wołały: to przecież niemożliwe, to nie tak miało się skończyć!

Czy oczy Devona byłyby podobne?

Z oddali dobiegł szybko zbliżający się warkot. Nadlatywały policyjne śmigłowce. Wszystko szło zgodnie z planem. Moim planem.

- Szkocką, Devon. Chętnie napiję się z tobą szkockiej.

Rozdział 44

Dwie maszyny wylądowały obok śmigłowca Devona, trzecia krążyła nad domem. Na lądowisku zaroilo się od postaci w czarnych panterkach i kominiarkach. Krótkie karabinki, którymi zaszachowali ochronę Clarka, wyglądały trochę jak zabawki. Ochroniarzy zakuto w kajdanki i posadzono na trawie przy tarasie widokowym. Do pilnowania został tylko jeden antyterrorysta. Pozostali w dwóch grupach potruczali w naszym kierunku, okrążając dom i czając się przy drzwiach. Dopiero wtedy zobaczyłem Amandę i dwóch ludzi w garniturach. Osłaniając ją przed wirnikami, przebiegli w kierunku domu.

Amanda wyglądała trochę niezgrabnie, kiedy biegła. Miała za szerokie biodra i niezręczne ruchy. Gdy się zatrzymała i poprawiła włosy, jej twarz w nocnej poświacie była jednak wręcz niebywale piękna.

Powinieneś zostawić przeszłość w spokoju i zająć się tą kobietą, Ben - powiedziało moje sumienie. - To ona jest twoim przeznaczeniem, nie Sally.

Za późno.

Już odchodziłem od okna, kiedy ze śmigłowca wybiegła jeszcze jedna postać i dołączyła do tej trójki. Był to mężczyzna w luźnej koszuli i czapce baseballowej, trochę podobny do Stevena Spielberga, Ian Kazar. A więc udało mu się przekonać Ami i policjantów, żeby go zabrali. Bardzo dobrze.

- Zaraz tu będą, Devon. Masz ostatnią szansę, żeby powiedzieć mi bez świadków, dlaczego ją zabiłeś. Dlaczego to zrobiłeś, draniu!?

Oczy Devona na chwilę zabłyszczały jak u nocnego drapieżnika, a potem przybrały zwykłą, matową barwę. Kąciki ust podjechały w górę w drwiącym grymasie.

- Ech, Ben... To ty będziesz się smażył w piekle...

Chciał jeszcze coś dodać, lecz właśnie wtedy drzwi otworzyły

się gwałtownie i usłyszałem głos detektywa Sanyo:

- Wchodzimy, Stiller. Nie strzelaj.

Stałem przy ścianie, żeby mieć na oku zarówno Devona, jak i przybyszy.

- Spokojnie, jest tu z nami Amanda. Nie strzelaj, Ben! Sanyo wszedł z podniesionymi rękami.

- Ben, wiem, że nie chcesz nikomu zrobić krzywdy. Skierowałem broń w jego stronę.

- Jestem nieuzbrojony, nie zagrażam ci. - Obrócił się dokoła, żebym zobaczył na własne oczy, że nie ma broni. - Jest tu ktoś, kto chce z tobą porozmawiać.

Do pokoju powoli weszła Amanda i stanęła nieco z boku. Miała spuchniętą, zapłakaną twarz. Pierwszy raz widziałem ją w takim stanie. Do diabła, jesteś dobrą prawniczką, naprawdę twardą babą, negocjatorką, którą ciężko złamać, nie maż się! To miałem ochotę jej powiedzieć.

- Mój Boże, Ben... Coś ty zrobił? - załkała.

Świetnie. Naprawdę świetnie jej to wyszło.

Kazar wszedł zaraz za nią i szybko zamknął drzwi przed samym nosem antyterrorystów.

- Spokojnie, poradzimy sobie! - zawołał Sanyo do swoich ludzi. - Prawda, Ben, że nie chcesz nikomu zrobić krzywdy?

Nie wiem, czy tak dobrze ich szkolą, czy po prostu Sanyo miał dar przekonywania, ale nagle zapragnąłem opuścić broń i się poddać. Głupota. Po tym wszystkim, co zrobiłem, co przeżyłem, nie mogłem przecież tego zrobić. Nie mogłem przekreślić wszystkiego i ponownie dać ciała, jak dziesięć lat temu.

- On zabił Sally! Moją Sally! - zaszlochałem nieco nazbyt teatralnie.

Devon nie zorientował się i westchnął głośno, jakby na drodze stanął mu mesjasz opowiadający o przylocie kosmitów.

- ...a wy go nie zamkniecie, bo nie znajdziecie dowodów - dokończyłem.

- Prowadzimy śledztwo, Ben - powiedział Sanyo uspokajającym tonem. - Badamy wszystko od początku i możesz być pewny, że poznamy prawdę.

Pokręciłem głową.

- Nie, nie da się tego zrobić.

- Na razie to ty jesteś mordercą - warknął Devon. - Dlaczego zabiłeś tę dziewczynę?

- Też miała na imię Sally - odparłem, uśmiechając się pod nosem. - Była twoim szpiegiem, Devon. Nie chciała mi się przyznać, ale ja to wiem. Wiem, że to ty ją nasłałeś.

- Co to za cholerne...

- Chciałeś mnie wykończyć i dlatego ją znalazłeś, i przysłałeś do mnie. To twoja robota, ja to wiem.

- Oszalałeś! - parsknął. - Ten debil kompletnie odpiął!

Jak grać wariata, to na całego. Amanda jednak zauważyła, że za bardzo szarżuję, i postanowiła interweniować.

- Spokojnie, Ben. Porozmawiajmy spokojnie.

Zrobiła o jeden krok za dużo. Skierowałem broń w jej kierunku.

- Zostań tam, gdzie stoisz, kochanie.

- Co ty robisz, Ben... - szepnęła.

Sanyo chyba się przestraszył, że całą tę psychodramę rozkołyszą emocje, nad którymi nie zapanuje.

- Odłóż broń, Stiller, zanim komuś stanie się krzywda.

Nie zamierzałem go posłuchać. Lufa pistoletu znalazła się na wysokości jego oczu.

- Nie podchodź. Dobrze, że się zjawiliście, ale nie podchodź. Devon ma wam coś do opowiedzenia.

- Bzdura! - warknął Clark. - Niczego nie zamierzam mówić.

- Ależ powiesz - odparłem, podchodząc do konsoli sterowania światłami. - Jeśli tego nie zrobisz, to ja im wszystko opowiem, a twoje zwłoki tego posłuchają.

Za późno się zorientował, co zamierzam, i nie zdążył zareagować.

Znalazłszy się obok konsoli, kolbą pistoletu rozbiłem szybkę alarmu antywłamaniowego i wcisnąłem duży, czerwony przycisk. Dom Devona miał specyficzny system ochrony, który nie wył ostrzegawczo i nie migotał lampkami, tylko wysyłał sygnał alarmowy do stróżówki i systemu agencji ochrony. Jediną widoczną oznaką jego uruchomienia było zablokowanie

wszystkich drzwi i opuszczenie rolet anrywłamaniowych w oknach.

W ciągu sekundy znaleźliśmy się w zamkniętej klatce, do której nikt nie mógł się dostać przez najbliższą godzinę. Żeby wyłączyć alarm, trzeba było wstukać kod dezaktywujący - ale klawiatura znajdowała się wewnątrz budynku - albo otworzyć drzwi specjalnym kluczem.

- Teraz mamy sporo czasu na wyjaśnienia.

Rozdział 45

Steve w końcu nacisnął zielony guzik.

- Dzwoniłem wcześniej - powiedział Charlie.

- Wiem, przepraszam. Negocjowałem z Brazylijczykami umowę na finansowanie osiedli dla przesiedleńców z faweli.

Na myśl o koszmarnej biedzie panującej w rzekomo jednym z najbogatszych państw świata, Charlie aż się wzdrygnął. Dzieciaki spółkujące byle gdzie za pieniądze, strzelające do siebie dla zabawy, dokonujące najrozmaitszych, niepojętych dla normalnego człowieka okrucieństw i równocześnie padające ich ofiarą.

Był w Rio dwukrotnie i dokładnie obejrzał miasto, w którym luksus sąsiadował ze skrajną nędzą.

Pierwszy raz pojechał w interesach; to było zlecenie na handlarzu prochami, który uważał, że długi nie są najważniejszą rzeczą na świecie. Drugi raz wybrał się dwa lata temu na samotne wakacje. Dziwnie się czuł wśród grupki turystów i par obściskujących się w pełnym słońcu. Szukał samotni i własnych ścieżek. Podczas przechadzki po Copacabanie podeszło do niego trzech półnagich szczeniaków z faweli i zażądało portfela, grożąc nożem i nieodbezpieczonym pistoletem.

Charlie mógł ich bez trudu zabić, a jednak wolał rozstać się z portfelem, w którym było ledwie kilkadziesiąt dolarów. Ktoś, kto widział, co się dzieje w dzielnicach biedy, nie zabije dzieciaka za taką sumę. Dla Charliego to był dobry uczynek. Odkupienie części win. Lekarstwo na własną głupotę.

Nawet zawodowemu zabójcy ciężko było pojąć rozmiar rozpacz i kontrastów w tym cudownym miejscu. Szczególnie zabójcy tak religijnemu jak Charlie, choć jednocześnie niezdolnemu do odczuwania i wzruszeń.

- To dobry uczynek, Steve.

Szef roześmiał się. Nie chodziło mu o dobre uczynki, tylko o

pieniądze.

- Wyślę ci darmowe wejściówki na finały mistrzostw świata. Mam trochę. Kibicujesz, Charlie?

- Tylko jeśli Włosi przejdą przez eliminacje – zażartował. Steve nie wyczuł sarkazmu.

- Zawsze przechodzą. Z czym dzwonisz?

Charlie powiedział mu o rozmowie z młodym gangsterem i o tym, co z niego wyciągnął, a także o znalezionej broni.

- Miałeś się przecież nie wtrącać - powiedział spokojnie Steve, jednak jego głos zdradzał, że nie jest zachwycony postawą zabójcy.

Przez ciało Charliego przebiegł dreszcz.

- Tylko go przepytalem.

- W porządku. Poczekaj chwilę. - Steve zawiesił połączenie. Wrócił po paru sekundach. - Zguba się znalazła. W telewizji podają informację, że Stiller włamał się do posiadłości Devona na Clark Island i wziął zakładników. Włącz CNN, szybko.

Charlie zrobił to... i oniemiał.

Ben Stiller rzeczywiście postradał zmysły. Tylko szalenie gra w taką grę w błysku fleszy i w obecności kamer.

Rozdział 46

Polecilem im, żeby usiedli przy ścianie i przykuli się kajdankami Sanya do ciężkiej metalowej ramy służącej nie wiadomo do czego. Sanyo uspokajał pozostałych. Przekonywał, że nie jestem groźny i wcześniej czy później sam się poddam.

- Nie będzie przemocy. Nikogo nie zabijesz, prawda, Ben?

Najwięcej oporów miała chyba Amanda. Ciągłe przestępowała z nogi na nogę i widziałem, że ma ochotę podejść do mnie, po prostu wyjąć mi broń z ręki i powiedzieć: dobra, koniec przedstawienia, Ben musi iść już spać. W końcu i ona dała się jednak zakuć w kajdanki. Cała trójka siedziała tam i patrzyła na mnie z mieszaniną przerażenia i ciekawości.

- Nie przypuszczałem, Ben, że dasz mi taki temat na reportaż - powiedział Kazar.

- Jeśli cię zastrzelę, reportażu nie będzie.

- Mylisz się. Zostanę jeszcze większym bohaterem. Nie boję się śmierci, Ben. Widziałem ją w tylu zakątkach świata, że przestałem się bać. Śmierć jest fascynująca.

- Chory człowiek. - Amanda odsunęła się parę centymetrów dalej od Kazara. Wyobraziłem sobie ich razem. Kazar na Amandzie. Nagie, latynoskie ciało o szerokich biodrach i oliwkowej skórze oplatające zarośniętego, białego jak śnieg albo mąka Kazara. Jego pośladki między jej nogami. Jego usta całujące jej szyję. Jej gorący oddech i grymas rozkoszy na twarzy. Tak to wyglądało, gdy byli ze sobą? A może to tylko projekcja mojego umysłu? Wyobrażenie, którego nie powinienem do siebie dopuszczać?

Nie rozklejaj się, Ben, nie teraz.

Na szczęście między nimi był Sanyo, który wydawał się najspokojniejszy.

- A on? - zapytał.

Devon Clark usiadł po drugiej stronie salonu, tak jak mu kazałem, i sącył szkocką. Nie bardzo interesowały go osoby

przybyszy i cała nasza dyskusja. Zajmował się trzecią szklanką i był już całkiem nieźle zrobiony.

- Nie wiem, do czego zmierzasz, Ben, ale muszę przyznać, że dawno nie miałem takiego wieczoru. Korporacja i polityka odebrały mi takie szalone imprezy jak ta. Twoje zdrowie. Słowo daję, naprawdę jestem ci wdzięczny!

Pij, draniu, zobaczmy, co powiesz na koniec.

- Dobra, możemy zaczynać. - Podeszedłem do barku i też nałapałem sobie szkockiej. - Sanyo, chcesz szklaneczkę?

Pokręcił głową.

- A ty, Kazar?

- Czemu nie, piłem już w gorszych okolicznościach.

Podąłem mu drinka i usiadłem na kanapie, w miejscu, z którego widziałem ich wszystkich. Położyłem pistolet obok. Nabrałem głęboko powietrza i zacząłem opowiadać.

Rozpocząłem od początku, od Krakowa i mojego pierwszego spotkania z Devonem. Wesołym lekkoduchem poszukującym na ulicach jednego z najpiękniejszych miast Europy białych niedźwiedzi, reliktyw komunizmu i taniej miłości. Znalazł świat niezwykłych artystów, urokliwych knajpek i wielkiego studenckiego melanzu.

Bogaty, całkowicie zepsuty i całkowicie pozbawiony zainteresowań. Taki wtedy byłeś, Devon. Kompletny pustak i straszliwy pijak. Kiedy na siebie wpadliśmy, osaczył mnie i nie chciał wypuścić. Co za spotkanie, Amerykanin, tutaj? Co za cholerne spotkanie! - tak wykrzykiwał. Upiliśmy się i bawiliśmy do rana w towarzystwie kilku Polaków, Holendra i dwóch Francuzek. Naprawdę miły wieczór, którego nawet on nie mógł zepsuć. Rano dostaliśmy jeden pokój w akademiku i spaliśmy do rana. I wtedy mnie uwiódł. Obudził się, pobiegł po bułki i mleko do sklepu, zrobił śniadanie do łóżka i zrobił to zupełnie bezinteresownie.

- Okazało się, że nie byłem taki zły, co? - Devon uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową.

Nie, nie był taki zły. Wtedy, w Krakowie, usiadł przy moim łóżku i powiedział:

- Dupek ze mnie.

Kiedy zacząłem zaprzeczać, opowiedział mi o swoim ojcu, rodzinie i o wszystkich oczekiwaniach, których nie jest w stanie spełnić. Pokazał ludzką twarz.

- Już dawno powinienem strzelić sobie w łeb, ale wątpię, żeby ktokolwiek to zauważył. Ojciec uważa mnie za nieudacznika, bo nie chcę mieć nic wspólnego z jego kopalniami, hutami, armatami i przemysłem ciężkim. Ale mnie to zwyczajnie nie interesuje, Ben, rozumiesz? Nic, a nic mnie to nie interesuje.

- Co zatem chcesz robić?

Nie pamiętam, co odpowiedział. Ale coś bez znaczenia. Bawić się. Tymczasem chciał się tylko bawić.

Kolejne dni spędziliśmy z przyjaciółmi z Polski, pijąc i imprezując na koszt Devona. Nie był skąpy, miał za co się bawić. A pieniądze przyciągały ludzi, którzy pokazali nam większość ciekawych knajpek w Krakowie, dzielnicę żydowską na Kazimierzu, zawieźli na wieś i w góry, a potem wsadzili w pociąg do Warszawy.

Devon przykleił się do mnie na dobre, zaczął nazywać przyjacielem, a ja, o dziwo, nie odczuwałem tego jakoś szczególnie. Zwykle byłem osobą stojącą lekko z boku, nie angażowałem się ani w związki z kobietami, ani mężczyznami. Nie wiedziałem, co to przyjaźń. Za to instynktownie czułem, że Devon nie jest właściwą osobą, by lokować w niej jakiegokolwiek uczucia.

Mimo to, wchodziłem głębiej w ten... związek.

Powiedzmy sobie szczerze: byłem biedakiem, a on był cholernym bogaczem. Nie powiem, liczyłem trochę na to, że jeśli będę się go trzymał, będę miał bogatego kumpla, który sfinansuje to i owo. Oczywiście zawsze, kiedy płacił, próbowałem się przyłączyć, ale szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że odmówi.

W Warszawie dostałem kwatere zgodnie z warunkami wymiany studenckiej pomiędzy UCLA a tamtejszą szkołą ekonomiczną i nie mogłem zapewnić mu lokum. Devon zresztą tego nie oczekiwał. Wynajął sobie apartament w hotelu na Starym Mieście i przed studentkami uniwersytetu pozował na

nieodkrytą gwiazdę rocka. Nie zapomniał o mnie. W przerwach pomiędzy pijatykami i uwodzeniem lasek na pęczki, wyciągał mnie do knajpy i prosił o pokazanie miasta. Powiedział, że bardzo mu się spodobałem, postanowił więc zrezygnować z wizyty w Moskwie i spędzić trochę więcej czasu w Warszawie.

- Ojciec się ucieszy, bo strasznie się bał tej Moskwy - tak powiedziałeś Devon, pamiętasz?

Pokiwał tylko głową z uśmiechem i sięgnął po butelkę. Tym razem pociągnął prosto z niej. Takich biznesmenów jak on wszyscy mają za nadętych dupków. A przecież Devon był nie tak dawno całkiem normalnym dzieciakiem, jak miliony z nas. I pewnie by takim pozostał, gdyby nie Wally i spotkanie z Robertem Kozińskim. A może palnąłby sobie w łeb? Byłeś typem samobójcy, pamiętasz, Devon? Mówiłeś, że dość często myślisz o śmierci.

Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby opowiedzieć mu o Kozińskim i jego wynalazku. To był zupełny przypadek, rezultat przedawkowania szkockiej i dekadenska atmosfera tej nocy. Devon zaprosił mnie na drinka i powiedział, że wkrótce wraca do L.A. Ojciec miał dość jego obijania się i postanowił wydzielić niewielki fundusz na realizację ambicji syna. Jakie to były ambicje? Wszyscy robili coś w internecie, więc i on chciał. Pomysły? Nie miał ich, ale miał pieniądze. Pomysły można kupić. Płatności mobilne, technologie internetowe, marketingowe wykorzystanie narzędzi śledzących? Jeśli masz pieniądze, to tak, jakbyś miał pomysły. Wszystko jest na sprzedaż. Miał rację.

Pomyślałem, że to dobry pomysł. Że gdybym miał ten jego fundusz, mógłbym rozkręcić firmę produkującą komunikatory albo systemy dla sieci społecznościowych oparte na obliczeniach Roberta. Jeśli pozyskalibyśmy do tego Kozińskiego i wdrożyli produkcyjnie jego „myślącą” maszynę, mielibyśmy szansę na naprawdę dobry produkt. Słuchał mnie uważnie, bo to potrafił. Devon nie był głupi. Szybko się uczył.

- Pamiętasz, Devon, jak mnie słuchałeś?

Nie odpowiedział.

Poszliśmy na spotkanie z Robertem, który przyjął nas w

swoim domku w robotniczej dzielnicy. Z okna miał widok na tory tramwajowe. Gdy namawialiśmy go na wejście do spółki, nie mogąc zrozumieć, dlaczego nie chce skorzystać z szansy, poprosił, żebyśmy podeszli do okna. Zapytał, co widzimy, a my wzruszyliśmy ramionami. Nic nie widzieliśmy. Sznur samochodów w ogromnym korku z powodu zwiężenia jezdni.

- Przyjrzyjcie się - poprosił Robert, i wtedy Devon odparł ze złością:

- No dobrze: widzę, że na środku ulicy stoi jakiś idiotyczny dom, przez który robi się ogromny korek!

To była prawda. Na środku ulicy, na maleńkiej wysepce, stał dom. Stara, zniszczona kamieniczka, nic specjalnego. Właściciel nie chciał sprzedać go za żadne pieniądze. To był jego dom, jego miejsce na ziemi. On był pierwszy, ulica druga, dlaczego miał ustępować?

- To niemądre. Ten człowiek wstrzymuje rozwój miasta - stwierdził Devon.

- Albo ratuje je przed niekontrolowanym rozwojem - odparł Robert. - Pewne sprawy powinny iść powoli, nie za szybko, bo inaczej mogą okazać się krokiem do tyłu, zamiast do przodu. Wszystko w swoim czasie. Tak samo jest z moim... wynalazkiem. Jest na tyle niedoskonały, że nie jesteśmy w stanie przewidzieć, do czego doprowadzi. Dlatego chcę, by na razie pozostał w fazie badawczej, a nie produkcyjnej.

- Jak długo?

- Może dziesięć lat, może trzydzieści, a może sto. Kto wie? Tyle ile trzeba, by ocenić, jakie będzie miał skutki społeczne.

Devon nie polubił Roberta. Dużo z niego żartował. O ile do tego spotkania zawsze broniłem Kozińskiego, teraz byłem równie wściekły. Jak śmiał odrzucić naszą propozycję! Mieszka w tym swoim maleńkim domku na zadupiu wszechświata, z widokiem na przystanek tramwajowy i dom innego wariata, który nie chciał zgodzić się na jego wyburzenie, by umożliwić budowę pasa szybkiego ruchu, i gównu go obchodzi Dolina Krzemowa, firmy garażowe, high tech i rewolucja technologiczna, do której znalazł klucz. Nikt nie miał tego, co on. Każdy próbował oszukać naturę,

stworzyć iluzję myślenia, sztuczną inteligencję, ale tylko Robert ze swoimi wzorami tego dokonał.

Tej nocy piliśmy więcej niż zwykle, i w końcu Devon zadał to pytanie.

- Pamiętasz, jak brzmiało? - zapytałem Devona.

- Pierdol się.

- Zapytał: co bylibyś w stanie zrobić, żeby dotknąć gwiazd?

- Nie tak to brzmiało - zaprzeczył.

Możliwe, ale to bez znaczenia. Dalsza dyskusja wyglądała mniej więcej tak samo. Devon uznał, że skoro Robert nie chce z nami pracować, co stoi na przeszkodzie, żeby wykorzystać jego wzory i samemu rozwinąć prototyp inteligentnej maszyny? Przecież to nie będzie kradzież. Przecież to tylko wykorzystanie myśli innego człowieka, który sam nie chce z nich korzystać.

- Czy nie tak mnie przekonywałeś?

- To bzdury - odparł Devon. - Gadaj sobie, ile chcesz. I tak nikt ci nie uwierzy. Nikt nie wierzy mordercom, kretynie.

Tak, to nic złego, wykorzystać czyjeś badania, żeby samemu coś osiągnąć. Ale Devon dobrze wiedział, że w tym wypadku może być problem. Część prac Roberta została opublikowana, większość wzorów ktoś oglądał, prototyp Wally'ego prezentowano na różnych studenckich imprezach. Szczęśliwie nikt z oglądających nie odgadł jego potencjału, nie miał wizji wykorzystania wynalazku, nie wiedział, że ma przed sobą urządzenie, które może zmienić świat. Uważali to za zabawkę. W tym właśnie tkwi problem ludzi przeciętnych. Nie potrafią w pozornie zwyczajnych rzeczach zauważyć boskiego fenomenu. Życie jest dla nich czymś zwyczajnym.

- Głupcy - mruknął Devon.

Tak czy inaczej, gdyby Koziński chciał wytoczyć nam proces o plagiat, kradzież własności intelektualnej, pomysłu, miał duże szanse na zwycięstwo. Gdyby chciał to zrobić dla pieniędzy, można byłoby jeszcze walczyć, ale Devon słusznie obawiał się storpedowania naszych działań. Żaden poważny inwestor nie włożył pieniędzy w projekt, którego własność nie jest uregulowana, a ten Polak mógłby przecież zablokować patent i w ogóle zniszczyć cały pomysł na firmę. To był jego pomysł,

miał do niego prawo.

Ale Devon uważał inaczej. Są rzeczy ważniejsze od jednostki. Dobro społeczeństwa jest taką rzeczą.

Trzy tygodnie później Robert Koziński zginął zasztyletowany przez chuliganów, których następnie złapano, osądzono, a po kilku latach wypuszczono na wolność. Do niedawna mieli się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Korzystali ze specjalnego programu fundacji przeciw wykluczeniom, którego sponsorem jest... Zgadnicie kto? Tak, tak, bingo. Wally i jego twórca. Ale i tu przestało coś grać. Może za często się upijali i gadali w knajpach, że zabili człowieka dla multimilionera. Musieli więc także zginąć.

- A więc kłamałeś, kiedy mówiłeś, że wykorzystałeś tylko część obliczeń i stworzyłeś na ich bazie swój prototyp? - zapytał Kazar.

- Kłamałem, tak samo jak w jeszcze paru innych sprawach - przyznałem. - Ustaliliśmy z Devonem wspólną wersję i się jej trzymaliśmy. Cały kod Wally'ego był dziełem Kozińskiego. On włożył życie w to pudełko. My tylko mogliśmy je opakować, bo nawet nie można mówić o ulepszeniu.

- Dlaczego?

- System Wally'ego działa tak, że pisze się sam. Wally się uczy i wpisuje lub wykreśla kolejne linijki kodu.

- A jeśli będzie miał ich za dużo?

- Nie ma takiej możliwości, miejsca może zabraknąć na inne funkcje, ale samo serce praktycznie nic nie waży, parę kilo. Tyle co nic. To chodząca doskonałość. Perpetuum mobile. Całe gadanie o nowych wersjach, usprawnianiu, polepszeniu oprogramowania jest jednym wielkim pieprzeniem. Wally jest ideałem, my mogliśmy dodać do niego tylko bardziej kolorowe pudełka, lepsze sterowanie i rozmaite gadżety.

- Mów dalej - poprosił Sanyo.

- Devon zadzwonił do mnie jakiś czas później, już z L.A. Powiedział, że słyszał o losie Roberta i jest mu bardzo przykro. Nie słyszałem smutku w jego głosie. Tylko ironię. W głębi duszy wiedziałem, że to on zlecił zabójstwo. Czuję to. Tyle że nie dało się tego udowodnić. Co mogłem zrobić?

Devon nie tracił czasu i oświadczył, że tak przy okazji zaprezentował pomysł na Wally'ego radzie dyrektorów i uzyskał wstępną akceptację. Ojciec podwoił fundusz na realizację jego planów biznesowych i doradził prowadzenie prac badawczych w ścisłej tajemnicy, jednocześnie rozwijając inne, niezbyt innowacyjne, ale mające swoje miejsce na rynku produkty. Wally miał być kartą atutową w momencie rozpoczęcia prawdziwej kampanii budowy marki.

„Nie chciałbyś poprowadzić działu badawczego?” - tak właśnie zapytał Devon. Potem wyjaśnił mi, że chce mieć mnie w zarządzie, ale może najpierw lepiej będzie ukryć naszą zażyłość, szczególnie jej źródło, a dopiero potem odkryć karty. W SkyComie każdy walczył o swoje miejsce, robił korporacyjną karierę. A ja miałem dać sobie z nią radę bez problemów.

„Potrzebuję cię, Ben. Nikt nie zna Wally'ego tak jak ty”.

Odmówiłem i próbowałem przez jakiś czas wytrwać w swoim postanowieniu. Jednak Wally wciąż mnie prześladował. Śniłem o nim niemal bez przerwy, budziłem się zlany potem. Nie mogłem zapomnieć. Nie mogłem tak po prostu zostawić tego za sobą. Byłem cholernie ciekaw, jak postępują prace Devona. Kiedy pokazał mi rezultaty, byłem zafascynowany i przerażony zarazem. Devon bez skrupułów ukradł wszystko. Nieznaczenie zmodernizował, dodał światelka, wizualizację, technologie współpracujące, ale tak naprawdę ukradł. Był pieprzonym złodziejem. Ja jednak zamiast potraktować go jak złodzieja, wszedłem do spółki. Stałem się współnikiem bandyty, przestępcą takim samym jak on.

- Nie przesadzajmy. Znam przynajmniej stu większych bandziorów - warknął Devon.

- Biznes to nie gra dla dzieci. Wszyscy kradną pomysły.

Devon wyczuł szansę i dorósł. Stał się rekinem, tak jak jego stary. Chciał wszystko osiągnąć sam. Nie zgodził się zatem na zwiększenie zaangażowania ojca, bo chciał udowodnić mu, że ten projekt rzeczywiście będzie jego projektem. I przerośnie wszystkich.

- Dlatego pożyczył kasę od Gambina? - domyślił się Kazar.

Szybko ich spłacił. Mafia czasem też działa jak normalny biznes. W tym wypadku nie musiała interweniować, szantażować czy knuć. Co najwyżej Gambino mogli żałować, że nie weszli do spółki i nie będą czerpać zysków z interesu. Ale nie wracali do tematu. Zachowali się jak dżentelmeni.

- Efekty działań tych dżentelmenów można obejrzeć w brukowcach - zdrwił Kazar. - Połamane nogi, powyrywane paznokcie i gromada śpiących na dnie jeziora Michigan w betonowych butach.

Czy to mogło obchodzić Devona? Pożyczył, oddał z procentem, osiągnął sukces. Niebotyczny sukces. Wszyscy byli szczęśliwi.

Nawet ja.

Przestałem myśleć o kradzieży i śmierci. Zająłem się miłością. Zająłem się Sally.

Rozdział 47

Zanim przystąpiłem do kolejnej części opowieści, Sanyo musiał długo uspokajać swoich szefów. Ciągłe nadlatywały śmigłowce i niemal słyszałem, jak na zewnątrz gęstnieje tłum policjantów i biurokratów. Tworzą nowe sztaby, przegrupowują siły uderzeniowe, rozstawiają snajperów. Policjanci w elastycznych kombinezonach, hełmach i kamizelkach repetują karabinki szturmowe, sprawdzają zapas amunicji i działanie latarek. Strzelcy wyborowi rozstawiają nóżki karabinów i dokręcają śrubki lunet. Wszystko to na jednego człowieka. Jednego szaleńca zamieszanego w jakąś strzelaninę i zabójstwo niezidentyfikowanej dziewczyny.

- Są już media - dodał Sanyo. - Jeśli chciałeś być sławny, to właśnie masz swoje piętnaście minut. CBS relacjonuje na żywo ze śmigłowca, a najdalej za dwa kwadransy pozostałe stacje uzyskają zgodę na filmowanie z wyspy.

- To prywatna własność - zaproponował Devon. - Niech się wynoszą.

Nie pił już, miał wystarczająco w czubie. Możesz sobie zabraniać, ile chcesz. Media to władza, nie szanuje własności bandziorów takich jak ty. Spojrzał na mnie i po raz pierwszy zobaczyłem tę nienawiść, tę samą, z którą rzucił się na mnie kilka dni temu.

- Zapłacisz mi za to! - syknął.

Mógł mówić, co chciał. Nie obchodziło mnie to. Osiągnąłem wszystkie cele.

- To też twój dzień, Devon. Będziesz takim samym bohaterem dnia, jak ja. Jutro wszystkie gazety opiszą twoje zbrodnie.

- Gówno opiszą. To ty jesteś zbrodniarzem. Ja pojawię się w jednym akapicie. Słynny multimiliarder sterroryzowany przez byłego szalonego współpracownika mordercę. Tyle będzie z twojej historii. Zastrzelą cię tu za chwilę i ślad po tobie

zaginie. W podręczniku historii nie będzie nawet wzmianki o Benie Stillerze, który nazywał się tak, jak ten słynny komik.

- Uważaj, co mówisz. Media są nie tylko na zewnątrz, ale i w tym pokoju. Prawda,

Kazar?

Dziennikarz skinął głową. Devon zmarszczył brwi.

- Kazar? Kazaaaaaar - powtórzył przeciągle. - To ty jesteś tym reporterem z Europy, który mnie ostatnio prześladowe różnymi kretyńskimi teoriami spiskowymi?

- Tak - przyznał Ian. - Ostatnio pracowałem w Europie, ale wróciłem na stare śmieci. Wygląda na to, że w samą porę. Ta noc zapowiada się niezwykle ciekawie.

- Wynoś się stąd! - warknął Clark. - Nie chcę dziennikarzy w moim domu.

- On mnie zaprosił. - Ian uśmiechnął się szelmowsko, wskazując na mnie. - A teraz chyba już nie mam wyjścia i muszę zostać do końca. Nie będę walczył z uzbrojonym człowiekiem.

- Dla kogo pracujesz? CBS, NBC, CNN a może dla Foxa? U kogo mam wykupić pakiet reklamowy, żeby zamknęli ci ryj?

- Nawet ciebie na to nie stać.

- To się okaże. Wallnet skutecznie zamyka usta niepokornym mediom.

Między innymi tego właśnie dotyczyły obawy Kozińskiego. Jeśli stworzymy multiplikowane urządzenie zdolne zdominować sieci społecznościowe, cały internet, komunikację i media, to stworzymy potwora. Doskonałość stanie się przekleństwem. Ktoś, kto uzyska nad nim władzę, będzie miał nieograniczone możliwości manipulacji i inwigilacji. Wiadomości tylko w jednym miejscu, autorytety także, historia, idee, wszystko można było podać manipulowanym jednostkom na tacy. Tylko te wiadomości, które chcemy podać. Zniechęcając do własnych poszukiwań, wypalając wolność i inwencję jak polacie wysokich traw. Devon do tego skutecznie zmierzał. Nie miał skrupułów. Liczyły się kasa i władza. Tylko to go obchodziło.

- Kontynuujemy - zaproponowała Amanda. Wiedziała, o

czym będę teraz mówił i że będzie to dla mnie najtrudniejsze.

Sally. Nadszedł czas Sally.

Spotkałem ją w korytarzu biurowca SkyCom, a potem w stołówce. Pamiętam do dziś, jak wyglądała, jak miała upięte włosy i że ciągle poprawiała prawy rękaw błękitnej bluzki, w której przypominała mi jakąś tenisistkę. Szybko zauważyła, że jej się przypatruję i jeszcze szybciej sprowokowała sytuację, w której otrzymałem pierwszą szansę. Pamiętam, jak serce zaczęło mi łomotać w piersi z taką siłą, że nie mogłem złapać oddechu. A ona zarumieniała się jak nastolatka, spuściła wzrok na swoje różowe trampki, a kiedy spojrzała na mnie ponownie, po prostu utonąłem w tym błękicie.

„Jestem Sally”.

Słyszałem ten głos przez całą noc. Całą noc o nim myślałem.

Sally. Pięknie brzmiała ta muzyka.

Wcale nie chciałem spać.

A ona robiła kolejne drobne kroczki, by ofiara nie wywinęła się z sieci.

Z jej klasą i urodą łatwo było uwieść takiego leszcza, jak ja. Zakochałem się bezgranicznie. Wystarczył jej tydzień, by mieć mnie w garści, osaczyć każdą cząstkę umysłu, zakuć w niewidzialne kajdany. Mogła zrobić ze mną wszystko. Już po pierwszej wspólnej nocy, gdyby tylko chciała, przepisałbym na nią cały swój majątek. Miała ten rzadki dar, który sprawia, że mężczyzna czuje się jednocześnie władcą i niewolnikiem, w niemal równych proporcjach. Stan doskonałości, pełnego uwielbienia i oddania.

- Nie rozczulaj się - westchnęła Amanda.

Spojrzałem na nią obojętnie. Ona nie mogła tego zrozumieć. Nie mogła pojąć, że wystarczyło jedno żądanie, a skoczyłbym dla Sally z mostu. Moje życie należało do niej, mimo że ona nie należała do mnie.

Ale ja tego nie widziałem.

Byłem zaślepiony, nie dostrzegałem dziś oczywistych dla mnie sygnałów, że to nie była miłość. Dopiero dużo później je sobie przetłumaczyłem i wtedy zrozumiałem, że to nie ja byłem jej celem. Jeszcze później, właściwie już po śmierci Sally

zrozumiałem, że to wszystko była wyrachowana, wyreżyserowana gra. Uwiodła mnie tylko dlatego, żeby zbliżyć się do Devona.

Devon popatrzył zaskoczony. Coś mu zaświtało.

- To nieprawda - rzekł smutno.

- Prawda.

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Mnie też się tak wydawało, ale kiedy próbowałem ją zdobyć - tak, tak, Ben, próbowałem nie raz, tu, w tym pokoju, na tej kanapie, na której siedzisz... - ona się wycofywała. Tłumaczyła, że nie może, że kocha ciebie, że to wszystko jest dla niej za trudne. Początkowo myślałem, że to tylko takie krygowanie się, przecież sama podsuwała mi do tego okazje, ale potem uznałem, że jest zwyczajnie szalona. Kobieta, która nie wie, czego chce, prowokuje, a potem ucieka, nie jest normalna. Nie lubię wariatek. Tak więc, choćby była nie wiadomo jak fantastyczna, już mnie nie interesowała.

- Nigdy byś jej nie zdobył. Nie ty.

- Nie damę sobą pogrywać.

- Cały czas na to pozwalałeś.

Tak, Devon Clark i Ben Stiller dawali sobą cały czas pogrywać.

- Do tego ta historia z Marią - mruknął Devon.

Chyba wróciła mu ochota, żeby się napić, ale nie mógł wstać, więc zrezygnował.

Historia z Marią. W pewnej chwili byłem już pewien, że Sally ma romans z Devonem i zacząłem ją śledzić. Któregoś dnia, choć marny był ze mnie detektyw, udało mi się pojechać za nią do motelu. Kiedy podjechał samochód Clarka, niemal się ucieszyłem. A więc miałem rację, draniu - tak sobie pomyślałem. Ale z wozu nie wysiadł Devon, tylko jego żona. Maria weszła do pokoju mojej dziewczyny i spędziły tam razem bite cztery godziny. Potem wyszły w odstępie pół godziny. Najpierw Maria, potem Sally. Nie chcecie wiedzieć, co sobie pomyślałem i jak bardzo czułem się zbity z tropu. Mimo wszystko nie uwierzyłem, że są kochankami. Sally nie była lesbijką ani biseksualistką, byłem tego pewien. Niemal pewien.

- Spotykała się z Marią? Po co? - zapytał Devon.

- Nie udawaj. Dobrze wiesz, po co. Szukały na ciebie haka, chciały cię wykończyć.

Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, ale niech ci będzie. Zaczyna mnie ciekawić ta historia.

Nagle nisko nad domem przeleciał kolejny śmigłowiec. Ktoś głośno zastukał w roletę i zawołał Sanya.

- Żyjesz?

- Tak, wszystko okay.

- Mamy zgodę na szturm. Jeśli ten goguś się nie podda, wchodzimy.

- Dajcie mi jeszcze kwadrans.

Chwila ciszy.

- Tylko kwadrans.

Ludzie na zewnątrz odeszli. Devon spojrział na Sanya z wściekłością.

- Po co pozwalasz temu bubkowi na snucie jakiejś chorej opowieści? Każ im szturmować albo sam odbierz mu broń. No już, bo jak to się skończy, będziesz mógł szukać nowej pracy.

Sanyo zignorował jego groźby. Jedyne dobre sposoby na arogantów to udawać, że nie istnieją. Albo ich wystrzelać.

- To twój ostatni kwadrans, Ben.

Skinąłem mu głową z wdzięcznością.

- Zbliżamy się już do końca.

Została do opowiedzenia ostatnia doba, ostatni wieczór. Ruszyłem na jej spotkanie, kiedy wychodziła z tego motelu. Maria już dawno odjechała. Sally przystanąła, poprawiając lekki sweterek. Było dość chłodno, od oceanu wiała Santa Ana, nie tak mocna, jak w styczniu, ale dająca się we znaki. Podrywała pył i piasek z ulicy, mieszała ze śmieciami, unosiła pokrywy metalowych koszów. Staliśmy i patrzyliśmy na siebie przez jakiś czas, i chyba to spojrzenie wszystko już wyjaśniło.

- Streszczaj się. - Devon zerknął na zegarek. - Zaraz szturm, a ty pieprzysz o jakichś porozumiewawczych spojrzeniach. Skończmy wreszcie tę szopkę.

Skończymy. Już kończymy.

Poszliśmy na ostatnią wspólną kolację, wzięliśmy stół na zewnątrz i w tym szalejącym wietrze opowiedziała mi wszystko. Kim jest i dlaczego to robi, dlaczego uwiodła mnie i wykorzystwała.

„Lubiłam cię, Ben. Wciąż cię lubię” - tak mi powiedziała.

„Ale mnie nie kochasz?” - zapytałem.

„Nie. Kochałam w życiu tylko jednego człowieka”.

Mimo to spędziłam razem tę ostatnią noc. Sally opowiedziała mi o swoich zamiarach i poprosiła o pomoc.

„Bez ciebie nie dam rady - szepnęła, kołyszac mnie w ramionach niczym dziecko. - Pomóż mi, proszę. Jeśli mi pomożesz, będę twoja. Zostanę z tobą i spróbuję cię pokochać, jeśli zdołam”.

Może nawet mówiła prawdę. Może zamknięcie tego rozdziału, pozbycie się bagażu przeszłości, umożliwiło rozpoczęcie nowego życia. To było kuszące, przerażająco kuszące. Mieć Sally z powrotem, poznać ją od nowa, kochać jak dawniej i liczyć na taką samą miłość. Do diabła, to musiało mnie skusić. Wiedziała, że mnie skusi.

Tak więc, choć przerażał mnie jej plan, zgodziłem się. Uznałem, że jest szalony i bez szans na sukces, a jednak się zgodziłem. Błagałem, żeby go porzuciła, żeby odpuściła, ale w duchu chciałem jak najszybciej go zrealizować.

„Nie mogę zapomnieć, Ben. Po prostu nie mogę”.

Postanowiliśmy skończyć to od razu i dlatego z samego rana zadzwoniłem do Devona. Mimo wiatru, zamierzałem wieczorem płynąć na swoją wyspę, dlatego umówiliśmy się w Del Rey. Przez całą drogę ja i Sally milczeliśmy, jakbyśmy powiedzieli już sobie wszystko, co było do powiedzenia. Dziwnie się czułem. Oszukany i jednocześnie oczyszczony. Ulżyło mi, mimo że wiedziałem, że następnego dnia będę przez cały dzień płakał. Nie da się tak po prostu wymazać miłości. Powiedzieć: no dobra, to wszystko było na niby, nie ma sprawy, koniec udawania, koniec gry. Ja nie udawałem. Mimo to nie miałem do niej pretensji. Zrobiłem coś znacznie gorszego niż ona. Poza tym dawała mi nadzieję, nawet jeśli tylko kłamała. Nadzieję,

która mnie napędzała. Mieć ją z powrotem, od nowa, czystą, z wymazaną pamięcią.

„Co zrobisz, jeśli się przyzna?” - zapytałem ją wtedy.

Wzruszyła ramionami.

„Na pewno nie chcesz najpierw pójść na policję?”

„Nic mu nie zrobią. To sprawa pomiędzy nami”.

Devon powitał nas z uśmiechem, nie dostrzegł zmiany, jaka pomiędzy nami zaszła. Wiem, Sanyo, że cię okłamałem, że powiedziałem ci, że byłem sam z Devonem, ale wtedy nie miałem wyjścia. Nie mogłem inaczej.

Devon pomógł Sally wejść na pokład, a potem uściskał mi dłoń. Wciąż niczego się nie domyślał, mimo że oboje wyglądaliśmy jak żywe trupy, Devon tego nie widział. Wtedy zrozumiałem też, że on jest z innej gliny. Tylko wykorzystuje ludzi do własnych celów. Oni nic dla niego nie znaczą, nie obchodzą go, dlatego nie potrafi dostrzegać w nich zmian emocjonalnych. Ja, Maria, Sally, Robert, tych kilkuset pracowników, do których krzyczał na zebraniach: „jesteśmy jedną rodziną!”. Nic dla niego nie znaczyliśmy.

- Wciąż wychodzisz na scenę i to robisz, Devon? Wrzeszczysz o tym, jak bardzo kochasz swoją rodzinę?

Devon uśmiechnął się.

- Tak, ale dziś moja rodzina liczy sto tysięcy osób. Tak, Ben, masz rację. Nic dla mnie nie znaczą. Przychodzą i odchodzą. Dla mnie są jak rodzina. Bez znaczenia.

No tak, przypomniałem sobie jego ojca, który był w zasadzie taki sam, i podziękowałem w duchu Bogu, że nie jestem taki jak Clark. Że urodziłem się w biednej, szczęśliwej, katolickiej rodzinie, w której musieliśmy dzielić na czworo każdą bułkę, w której trzeba było walczyć o miejsce do spania, ale jeśli ktoś podnosił rękę na kogoś z nas, wszyscy stawaliśmy do boju. Clark taki nie był. Był tchórzem, który mógł zdobyć świat tylko za pomocą zbrodni.

Pozwoliliśmy Devonowi spokojnie wypłynąć z portu i dopiero kiedy włączył autopilota, rozpoczęliśmy ostatni rozdział tej historii. Ocean był wzburzony, mroczny, niebo zasnuwały ciemne sztormowe chmury. Wysokie fale kołysały naszą łodzią

jak łupiną. Zapadł zmrok.

Sally zaczęła mówić. Opowiedziała mu wszystko. Kim jest, dlaczego go odnalazła i czego chce.

Rozdział 48

Naprawdę nazywała się Petra Zdanova. Była nieślubną córką Polaka i Czeszki, wynikiem krótkotrwałego, płomiennego romansu nastolatki z młodzieńcem na jednej z wymian młodzieżowych, które komuniści organizowali tak często, licząc na rzeczywiste zbratanie narodów sowieckich satelitów. Dzieciaki miały śpiewać pionierskie piosenki, wciągać flagi na maszt przy akompaniamencie hymnu puszczanego z patefonu, uczestniczyć w zawodach sportowych i jeść rano owsiankę, a zamiast tego paliły papierosy po krzakach, piły tanie wino i pieprzyły się, z kim popadnie.

Urodziła się w Pradze, lecz niemal całą młodość spędziła w Londynie. Jej dziadkowie byli światowej sławy fizykami, którzy uciekli na Zachód pod koniec lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, niedługo po tym, jak ich nastoletnia córka urodziła nieślubne dziecko. Mama odziedziczyła po nich intelekt i mimo niechcianej ciąży skończyła studia medyczne, a następnie wyszła za mąż za obiecującego chirurga, któremu zachciało się jechać na misję pokojową do Rwandy, gdzie zginął od zabłąkanej kuli.

Prawdziwie tragiczna historia.

Mała Petra, mimo że kochała matkę ponad wszystko, nie mogła pogodzić się ze złośliwością losu i w wieku dwudziestu lat postanowiła poznać prawdziwego ojca. Wiedziała naprawdę niewiele, знаła tylko imię i pobieżny rysopis chłopca oraz miejsce zdarzenia - mały mazurski kurort, w którym przed dwudziestu laty odbywał się młodzieżowy obóz.

Nie była dobrym detektywem. Mimo najszczerzych chęci nie odnalazła go. Zbyt mało danych, zbyt wiele bałaganu. Kiedy już miała zamiar zrezygnować, poszła do jednego z pubów i postanowiła się upić. Szybko znalazła towarzystwo kilku studentów poszukujących letnich przygód, a że była wyjątkowej urody, niemal wszyscy ją podrywali.

Jednak Petrę zainteresował chłopak, który jako jedyny nie czynił jej awansów, trzymał się na uboczu i sprawiał wrażenie wycofanego. Miał na imię Robert. Wyjątkowo trafnie puentował wszystkie dyskusje, choć sam nie wykazywał chęci do opowiadania historii, nie aspirował do roli wodzireja ani duszy towarzystwa.

Był małomówny i konkretny. Jako jedyny szczery. Wszyscy pozostali tylko kłamali. On drwił niczym satyr, a przy tym mówił tylko prawdę. To ją ujęło.

Był prawdziwy.

Nie chodziło mu o to, żeby ją przelecieć i wykorzystać, zaliczyć wszystkie bazy na jej ciele, a rankiem opowiedzieć kolegom ze szczegółami, która była najbardziej fascynująca.

Był mężczyzną, a nie chłopcem.

Dojrzałym mężczyzną w ciele młodzieńca. Wręcz ujmująco brzydkim.

A potem pokazał jej Wally'ego i sprawił, że wsiąkla całkowicie.

Miesiąc później byli już parą, a Petra wiedziała, że to jest ten jedyny. Nie miał urody, pieniędzy ani nawet jakiegokolwiek czaru. Nic poza intelektem, dobrocią i poczuciem humoru.

Przeżyli najwspanialsze, najbardziej upojne miłosne lato, jakie mogła sobie wyobrazić. Petra była zakochana po uszy i pewna, że spędzi u boku Roberta całe życie. On nie chciał wyjeżdżać na Zachód, a ona była gotowa poświęcić się dla niego. Wpadła na chwilę do Londynu tylko po to, żeby pozamykać wszystkie sprawy i wrócić do swojego ukochanego. Zajęło jej to kilka tygodni. Tak krótko, wobec całego życia, a jednak za długo, żeby przechytryć zły los.

Właśnie wtedy pech chciał, że Robert poznał mnie, a potem Devona.

Pech sprawił, że wlaź w nasze łapy.

Los potrafi być przewrotny, bo minęliśmy się o parę dni. Gdybyśmy się spotkali wtedy w Warszawie, nie byłoby mowy o późniejszym fortelu i planie Petry odnalezienia nas i wyjaśnienia sprawy tajemniczej śmierci jej kochanka. Robert

nie miał nawet jej zdjęcia. Zamiast niego trzymał przy łóżku fotografię swojej wyjątkowo brzydkiej siostry. Jak wyjaśniła mi potem Petra: po to, by odstraszać wszystkie jej ewentualne rywalki, które na szczęście wcale nie waliły drzwiami i oknami.

W zasadzie do chwili, kiedy spotkał Petrę, był pewien, że zostanie samotnym geniuszem do pięćdziesiątki, a potem dostanie Nobla i już nie będzie tak łatwo zwieść wszystkie te szalone blondynki i brunetki marzące o prawdziwej miłości ze starszym o trzydzieści lat milionerem. Tak czy inaczej, kiedy Petra wróciła do Polski, dowiedziała się, że jej ukochany został zadźgany przez dwóch oprychów, którym nic nie zrobił.

Wypadek, nieszczęście, zwykła sprawa.

Chodziła po Warszawie jak duch, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Bóg czy przeznaczenie są tak okrutni dla kobiet z jej rodziny. Matka straciła kochanka, a potem męża i jej ojczyma, ona przyjechała odnaleźć ojca, a zamiast niego znalazła kochanka, którego też jej odebrano. Wynajęła adwokata i postarała się o status pokrzywdzonej w śledztwie. Uczestniczyła w przesłuchaniach zabójców, a później, podczas procesu, jako oskarżyciel posiłkowy, starała się zrozumieć.

Obaj mordercy sprawiali wrażenie skruszonych i upierali się, że to był wypadek, za dużo wypili, nie mogli opanować agresji.

Świadkowie zdarzenia nie wnieśli wiele do procesu. Tylko zachowanie jednej osoby wzbudziło jej zaciekawienie, bo nieoczekiwanie wycofała swoje zeznania i stwierdziła, że niczego nie pamięta. To była kobieta, samotna matka dwójki dzieci. Według wcześniejszej jej relacji to nie Robert sprowokował zajście, tylko napastnicy wyraźnie szukali pretekstu, żeby go pobić.

„Jakby sobie go wybrali” - miała stwierdzić na przesłuchaniu prowadzonym przez policję.

Potem nie przypominała sobie tego. W sądzie potwierdziła jedynie, że była w tym tramwaju. Widziała, jak ktoś kogoś zabija. Nie potrafi powiedzieć, kto kogo.

Petra z pomocą adwokata bez trudu odnalazła kobietę. Tamta zgodziła się na rozmowę, podczas której powiedziała,

że rzeczywiście składała nieco inne zeznania, ale była wówczas pod wpływem szoku i pewnie dlatego mówiła to, co mówiła.

Kłamała.

Petra dobrze znała się na kłamstwach. Adwokat, który robił za tłumacza, też był tego zdania. Zwrócił uwagę pięknej klientki na nowy telewizor, ekspres do kawy i kilka innych drogich rzeczy, które nie pasowały do tego ubogiego domu.

„Ktoś jej zapłacił, żeby zmieniła zeznania” - stwierdził po wyjściu.

Ale po co? Przecież one i tak niczego nowego nie wносиły. Co miało do rzeczy to, że idioci szukali ofiary? Petra nie mogła tego zrozumieć, a może po prostu nie chciała szukać teorii spiskowych, nie chciała szukać tej prawdy, która mogła ją zniewolić. Prawda czasem zniewala i nie chce puścić. Jeśli w nią wejdziemy, oblepi nas jak pajęcza sieć, przyklei się do nas i nie pozwoli na oczyszczenie sumienia.

Petra rozstała się z adwokatem i poszła do starego kina wyświetlającego filmy archiwalne. Nie oglądała filmu, czarno-białe obrazy przebiegały przez ekran, a ona układała sobie to w głowie. Dlaczego człowiek, który praktycznie niczego nie posiadał, nie bawił się w politykę, nie uczestniczył w żadnych sporach, unikał rozgłosu i zawiści, padł ofiarą brutalnego zabójstwa, i to być może - jeśli wierzyć pierwszym zeznaniom kobiety - zabójstwa zaplanowanego przez tych rzekomych chuliganów?

Nagle na ekranie zobaczyła scenę, w której jakaś kobieta podglądała kochającą się parę, a potem z zawiści namówiła dwóch bandytów, by zabili mężczyznę, którego sama kochała. Końcówka filmu wskazywała jednak na to, że to wcale nie miłość była powodem, tylko pieniądze. Tej kobiecie zależało na pieniądzach, a nie zemście. Nie zrobiła tego ogarnięta szaleństwem nieszczęśliwej miłości. Była po prostu chciwa. Tyle że Robert nie miał żadnych pieniędzy. Nikt nie czyhał na spadek po nim.

I wtedy pomyślała o komunikatorze i wzorze na sztuczną inteligencję. Przypomniała sobie, jak Robert opowiadał jej

rozbawiony przez telefon o namowach jakiegoś Bena Stillera, by zawiązać spółkę i spróbować skomercjalizować wynalazek, i nagle targnęło nią jakieś przeczucie. Pomyślała, że to Stiller nasłał zabójców na jej Roberta, by ukraść jego wynalazek.

Następnego dnia poprosiła adwokata o odnalezienie Stillera. Prawnik wrócił z wiadomością, że Ben wyjechał już do Stanów i jest nieosiągalny. Za to miał dla niej kolejne potwierdzenie podejrzeń w postaci informacji, że zabójcy tuż przed śmiercią Kozińskiego zaczęli szastać pieniędzmi, a ich rodzinom bardzo podniósł się status majątkowy.

„Jest tylko jedna dziura w tej całej hipotezie - wyznał. - Ten Stiller był biedny jak mysz kościelna. Nie miał kasy, żeby wynająć zabójców. Chociaż...”

Zamilkł, jakby po zastanowieniu uznał, że kolejna część jego wywodów jest nieistotna.

„Tak?”

„Jestem prawnikiem, staram się mówić o dowodach i poszlakach, a nie plotkach”.

„Rozumiem. Powiedz jednak, co miałaś na myśli” - poprosiła.

„Jeden z jego znajomych mówił, że ten Stiller ostatnio spotkał kogoś bardzo bogatego i zepsutego. Może to jest podpowiedź. Może do Stillera przyplątał się ktoś z pieniędzmi, kto mógł zapłacić zabójcom, a potem także tej kobiecie?”

Wszystkie tropy okazały się jednak zupełnie niepotrzebne. Petra potrafiła rozmawiać nawet z kanalami i zrobiła to, co powinna zrobić od początku. Umówiła się na widzenie z jednym z morderców, podpuściła, że mu wybacza, po czym powiedziała o wynikach swojego małego śledztwa, a on potwierdził jej przypuszczenia. Powiedział jej też, kogo powinna szukać w Stanach.

Bynajmniej nie Bena Stillera.

Dalej poszło już szybko. Zabójca zapewniał, że nigdy nie potwierdzi tych zeznań przed sądem, Petra wiedziała więc, że musi poszukać dowodów na zbrodnię w inny sposób. Zatrudniła się w nowej spółce Devona Clarka i postanowiła zrobić wszystko, by złapać go za rękę i doprowadzić przed wymiar sprawiedliwości.

Albo zamordować.

Była zdeterminowana, gotowa na każdy sojusz. Nawet z człowiekiem, który być może był współwinny śmierci ukochanego. Uwiodła mnie, by zbliżyć się do Clarka i wyczuć, co i ile wiedziałem. Jednego tylko nie chciała.

Obiecała sobie, że Clark jej nie zdobędzie, nawet gdyby oznaczało to, że musi zrezygnować z zemsty. Nie dotknie jej ciała, choćby nie wiadomo jak tego pragnął.

I dotrzymała słowa.

- Dlatego mogłeś tylko pomarzyć o niej i o jej ciele, gnido!

Rozdział 49

- Ta suka była chora! - warknął Devon. - Poświęcić życie czemuś takiemu... Nie sądzisz, że to chore, Ben? Sypiać z tobą, udawać miłość, prowokować mnie, wszystko tylko po to, żeby wyjaśnić zbrodnię sprzed lat, której nie da się wyjaśnić.

- Nieprawda, Devon. Wszystko można wyjaśnić.

- Ale nie to. To była przypadkowa śmierć, Ben. On zginął przez przypadek.

- Przyznałeś się, Devon. Kilka razy się wygadałeś.

- Usłyszałeś, co chciałeś słyszeć, a ja po prostu nie zaprzeczałem. Wygodnie było nie zaprzeczać. Chciałem, żebyś myślał, że to moja wina, ale czy to oznacza przyznanie się do zbrodni? Po prostu skorzystałem z okazji, a ty mi uwierzyłeś. Nie mam sumienia, to prawda. Jednak nie zabiłem Kozińskiego ani nie zleciłem tego zabójstwa. Zginął przez przypadek. Los, pieprzone przeznaczenie. Nazwij sobie to, jak chcesz. To samo próbowałem powiedzieć tej suce, ale ona nie chciała słuchać.

- Rozmawiała z zabójcami. Uzyskała z nimi widzenia. Obaj zeznali, że to ty zleciłeś im zabójstwo.

- Zeznali? - prychnął Devon. - Niczego takiego nie ma w aktach spraw, ani nawet w brukowcach.

Bo im dobrze zapłaciłeś, a gdy zaczęli zbyt odważnie klepać o tobie w knajpach, ich także postanowiłeś się pozbyć. Kto zrobił to za ciebie? Mafia, służby specjalne, CIA? Z kim wszedłeś w konszachty, by cię wyręczyli? To nie była przypadkowa śmierć. Żadna z tych śmierci nie była wypadkiem.

- Powiedzieli jej to - podkreśliłem.

- Powiedzieli, co chciała usłyszeć. Co im zależało? A ona oczywiście uwierzyła, bo jej tak pasowało.

- Wynająłeś tych dwóch chłopaków, Devon.

- Gówno wiesz.

- Jeśli tego nie zrobiłeś, to dlaczego im tyle zapłaciłeś,

dłaczego płaciłeś, gdy wyszli z więzienia? Dalesz im kupę szmalu, żeby milczeli, a oni i tak nocami w barach opowiadali, że zabijali na zlecenie multimiliardera, twórcy Wally'ego.

- Dranie - mruknął Devon.

Dranie. Prawdziwe kanalie. Dostali, na co zasłużyli. Zostałeś już tylko ty.

Przymknąłem oczy i znów tam byłem. Tej nocy, w której się wszystko zaczęło - albo skończyło, zależy, jak na to spojrzeć. Noc na łodzi, wiatr, ciemne chmury niemal dotykające wzburzonego oceanu. Sally krzyczała na Devona, a on na nią. Bronił się, tak jak teraz. Devon był zawsze typem człowieka, który, nawet jeśli zostanie złapany za rękę, będzie wszystkim udowadniał, że to nie jego ręka.

Tego nauczył go tatuś. Kłam prosto w oczy. Trzymaj się ustalonej wersji. Wtedy nic ci nie mogą zrobić, niczego nie udowodnią. Każde kłamstwo powtarzane milion razy stanie się dla części ludzi prawdą, jak to mówił wasz idol, pieprzony łajdak Goebbels. Nie przyznałby się za żadne skarby. Nie wiem, czego oczekiwała Sally. Może po prostu zwykłej konfrontacji, po której mogłaby wyciągnąć własne wnioski. Ale dobrze pamiętam ostatnie zdanie, jakie powiedziała. Brzmiało: „Pierdol się Clark. Myśl, co chcesz, ale ja wytoczę ci proces i wszystko udowodnię. Nie pozwolę, żeby ci to uszło na sucho. Jeśli nie pójdziesz siedzieć za morderstwo, to przynajmniej kradzież Wally'ego ci się nie upiecze”.

Krzyczała na Devona, a on nagle przestał walczyć. Wydawał się pogodzony z tym, co się stało. Pod pokładem odezwała się radiostacja i zszedłem, by zobaczyć komunikat. Kiedy wróciłem, już jej nie było. Devon stał przy burcie, trzymając się wanty i krzyczał w ciemność. Podbiegłem do niego, lecz niczego nie zobaczyłem. Ocean był zbyt wzburzony, by próbować jej szukać.

„Wypadła za burtę - powiedział mi wtedy Clark. Tak właśnie powiedział. - Nic jej nie zrobiłem, wypadła za burtę. Musisz mi uwierzyć”.

- Tak jak w to, że nie wynająłeś tych zbirów? - zapytałem

teraz Clarka.

- Bo to prawda - szepnął Devon. - Siedzieliśmy tam, nadeszła kolejna fala, przechyliła łódź, a ona straciła równowagę i wypadła. Nic jej nie zrobiłem. Nawet... Próbowałem ją złapać.

- Mogłeś wyskoczyć za nią - zakpiłem.

- Tak, chciałbyś tego.

Przez lata pozwalałem mu myśleć, że mnie przekonał, ale tak nie było. Nie miał racji. Nie stałem po jego stronie. Nigdy tego nie zrobiłem. Sięgnąłem po pistolet i wymierzyłem w twarz Devona.

- Nie kłam, Clark. Nie ma sensu kłamać. Dziś i tak umrzesz.

- Po co miałbym kłamać?

No właśnie, po co?

Wstałem, zrobiłem parę kroków i wymierzyłem do niego z bliska. Trzymałem broń pewnie, nie drżała mi w dłoni. Dziwne. Trochę się tego bałem. Bałem się, że nie będę dość opanowany, że nie zdobędę się na ten ostatni krok, nie nacisnę spustu, gdy nadejdzie czas.

- Powiedz prawdę albo cię zastrzelę.

- I po co ci to? Nikt nie weźmie pod uwagę oświadczenia złożonego pod przymusem.

- Nie dbam o to. Tylko ja tego potrzebuję.

- Pierdol się.

Sanyo wstał nagle i zbliżył się do nas. Korzystając z mojej nieuwagi, uwolnił się z kajdanek. Pewnie miał kluczyki.

- Uspokój się, Ben. To koniec. Nie ma sensu tego kontynuować.

Odwrociłem się i wycelowałem broń. Huk wystrzału zaskoczył mnie samego. Po prostu nacisnąłem spust. Nie wiem, czy przypadkiem, czy to było zamierzone. Stało się. Nacisnąłem, pistolet wystrzelił.

Drugi pocisk.

Musiałem je uważnie liczyć. Nie mogłem się pomylić. Ten był drugi.

Sanyo wił się w konwulsjach na podłodze. Amanda i Kazar ruszyli naraz, a ja ponownie dwukrotnie wystrzeliłem.

Trzeci i czwarty pocisk.

W magazynku została już tylko jedna kula.

Piąta.

Amanda teatralnie rozłożyła ręce, a jej pierś eksplodowała, rysując w powietrzu czerwone smugi. Kazar dostał w brzuch, chwycił go mocno dłońmi, jakby ze strachu, że straci wnętrzności, i z przeraźliwym krzykiem osunął się na podłogę. Wymierzyłem w Devona.

- Żegnaj, Clark.

Zobaczył to w moich oczach. Zobaczył, że nie żartuję i chyba naprawdę się przestraszył. Nie chciał umierać. Miał przecież jeszcze tyle do zrobienia. Tylu ludzi chciał okraść i okantować, wciskając im kit za pomocą wynalazku, do którego nie miał żadnych praw, którego miejsce było w ośrodku badawczym, a nie w kioskach z tanią rozrywką.

- Czekaj ! Przyznam się, jeśli tylko o to ci chodzi! Przyznam się, do diabła!

- Chodzi mi o prawdę, Devon. Tylko o prawdę.

- Więc powiem ci ją, nie strzelaj !

Mocno ścisnąłem rękojeść pistoletu.

- Nie zabiłem jej - powtórzył. - Sama wypadła. Myśl, co chcesz, ale nie miałem z tym nic wspólnego.

Mówił prawdę. Przynajmniej jeśli chodzi o ten szczegół.

- Ale zleciłeś zabójstwo Kozińskiego? - Natychmiast skarciłem się w myślach za zbyt szybkie przejście do drugiego tematu. Nie było już odwrotu, ale Devon nie wyczuł pułapki.

- To był przypadek. Piłem w knajpie z jakimś kibicem i kłóciliśmy się, czy Chelsea jest lepsza od Barcelony. Ja niespecjalnie znałem się na piłce nożnej, słyszałem to i owo od kumpli w Londynie. I wtedy opowiedziałem im, że mam problem z kolesiem, który mi ukradł pomysł na biznes. Postawiłem im już po pięć piw, więc szybko sami zaproponowali, że pozbędą się problemu. Niczego im nie sugerowałem. Zrobili to sami z siebie.

- A jednak potem im zapłaciłeś.

Devon uśmiechnął się ponuro.

- Lubię dzielić się sukcesem.

- A na koniec zleciłeś morderstwo, żeby ostatecznie zatrzeć ślady? Czy nie tak było?

Nic nie odpowiedział, tylko ciężko skinął głową.

- Posłuchałem dobrej rady chłopaków Gambina - westchnął.
- Oni tym się zajęli, ja nic nie wiedziałem. Po wszystkim dostałem tylko rachunek.

- Czego chcieli?

- Udziałów w firmie, ale na to się nie zgodziłem. Oddałem im część biznesu, nie dopuszczając ich do Wally'ego. Wykupiłem się potem. Zapłaciłem dużo i odzyskałem wolność.

Westchnąłem.

- Nie byli zadowoleni z takiego rozwiązania. Mafia nie lubi, kiedy się jej mówi, że nie jest dobrym partnerem do interesów. Brak szacunku to ciężki grzech w tym środowisku.

- Nic mnie to nie obchodzi. Spłaciłem ich, skończyłem z tym wszystkim. Teraz jestem czysty...

- I oczekujesz rozgrzeszenia?

Spojrzał na mnie błagalnie.

- Szansy, Ben, oczekuję szansy. Tylko tyle...

Dostałeś ich o wiele za dużo, Devon.

To był koniec. Wiedziałem, że więcej nie uzyskam. Wciąż trzymałem go na muszce, ale nie pytałem już więcej. Czulem, jak ręka zaczyna mi drżeć od ciężaru pistoletu, a palce powoli stają się mokre od potu.

Pierwszy z ziemi podniósł się Sanyo.

- No cóż, tyle chyba wystarczy ze strony oskarżenia - powiedział. - Obrona wciąż może mieć głos.

Amanda wzdrygnęła się i podniosła się do pozycji siedzącej.

- Obrona nie została zaproszona na rozprawę! - syknęła. - Przykro mi, Devon, ale nie zasłużyłeś na obrońcę z urzędu. Jak sądzisz, Kazar, masz temat na artykuł?

Kazar uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie żałował, że wszedł z nami w układ i poczekał z opisaniem historii do samego finału. Wykazałeś dużo cierpliwości, Ian. Kto wie, bez tego mogłoby się nie udać.

- O tak, to będzie świetny materiał.

Devon rozglądał się niepewnie. Nic nie rozumiał.

- Co jest grane?

Amanda wytarła sztuczną krew z bluzki, sięgnęła pod nią i wyjęła rozerwany pojemnik i cały ten elektroniczny szajs, który odpowiadał za to, by efekty specjalne działały jak trzeba. W grach fabularnych na wysokim poziomie efekty specjalne są bardzo ważne. Klient musi wiedzieć, za co płaci. Musi czuć autentyczną groźbę w chwilach, które dla niego zaplanujemy. Taką groźbę czuł zapewne oszust, adwokat Henry Siegel z kancelarii prawnej Vesell & Hoggies, o którego wypytywał mnie Kazar. Skłamałem, że nie miałem z tym nic wspólnego, bo nie łamaliśmy prawa. Łamaliśmy je często, jeśli dobrze nam za to płacono i jeśli klient na to zasługiwał.

A prawnicy dobrze płacili i mieli rację, ścigając tego oszusta. To tylko jeden z wielu przykładów.

Easylog był znany z tego, że dobrze wszystko planował i zawsze stawał na wysokości zadania. Nikt nie zgłaszał reklamacji. Każdy najdrobniejszy szczegół był dograny. Tylko najdroższe komponenty, żadnych półśrodków. Wszystko klasa światowa, najwyższa półka. Nawet statystów do ról gangsterów rekrutowaliśmy w dzielnicy gangów Skid Row.

„Najlepsza na rynku mieszanka niemal erotycznego napięcia, budzących groźbę momentów kulminacyjnych, przedzielonych odrobiną odprężającego humoru”. Tak o jednym z naszych spektakli dla dużej korporacji napisała lokalna gazetka. Ale żaden z naszych klientów nie miał prawa ujawnić nazwy firmy, która wykonywała całą tę robotę. W tym przypadku sława i rozgłos były wielce niepożądane.

Amanda wyjęła radiotelefon z torebki i powiedziała z uśmiechem:

- Świetna robota, Louis! Nie zorientował się.

- Na tym polega moja praca, ślicznotko - odparł Louis Arturian. Niemal widziałem oczami wyobraźni, jak przez ramię przechyla mu się Matt, który krzyknął: - Relacja na żywo w dechę, serwer ledwo nadaża z obsługą komentarzy! Na wszystkich portalach to główna wiadomość dnia. Cały świat was ogląda i komentuje.

- W jakim tonie?

- Jadą po nim ile wlezie. Niemal wszyscy deklarują przerzucenie się z powrotem na iPhone'a. To koniec Wally'ego. Za tydzień nikt nie kupi już urządzenia SkyComu. Devon powinien jak najszybciej wycofać zamówienia kolejnych partii. Nikomu nie będą potrzebne.

Devon wciąż nie wiedział, nie rozumiał.

- Co jest grane? - powtórzył pytanie.

Patrzył, jak Kazar ściska się z Sanyem, potem przeniósł wzrok na mnie. Podtrzymałem broń lewą ręką. Moje oczy były tak samo lodowate jak w chwilach, gdy strzelałem do Ami i Sanya oraz gdy mu groziłem. Nauczyłem się dobrze grać przez te lata.

- Jeszcze nie wiesz, Devon - roześmiała się Amanda. - Właśnie przyznałeś się do kradzieży czyjegoś pomysłu i zabójstwa, geniuszu. Właściwie to nawet do trzech zabójstw. Zrobiliśmy małą mistyfikację, ale myślę, że to bez znaczenia.

- Mistyfikację? I myślicie, że jakikolwiek sąd mnie skáže na podstawie czegoś takiego?

- Nie, żaden sąd cię nie skáže. - Amanda przejechała językiem po zębach, jakby czuła niesmak. Rzeczywiście, samo patrzenie na tego łotra wywoływało niesmak. - Za to możesz być pewien, że reportaż z naszej małej prowokacji będzie jednym z najpopularniejszych w sieci. Już jest.

Do Devona wciąż nic nie docierało. Nie wiedział, czy to nie jest błąd, część gry i mistyfikacji, ale też powoli zaczynał zdawać sobie sprawę, że wszystko może okazać się prawdą. Transmitowane na żywo takie wydarzenie jak sterroryzowanie biznesmena, i to na dodatek szefa SkyComu, z pewnością przyciągnęłoby rzeszę widzów. Devon dobrze rozumiał, że w niepewnych chwilach należy spokojnie poczekać na zebranie danych przed wydaniem jednoznacznych oświadczeń. Lepiej milczeć niż powiedzieć o słowo za dużo. Niejedna dyplomacja zna przypadki wysłania kondolencji po śmierci, która nie nastąpiła.

- Użytkownicy Wallnetu o to zadbają - ciągnęła Amanda. - Jakie to szczęście, że SkyCom nie zlikwidował społecznościowych funkcji i pozwolił na umieszczanie relacji

na żywo z wyjątkowych dla użytkowników wydarzeń. Co prawda bez reklamy i na nowym kanale nie udałooby nam się uzyskać zbyt dużej liczby odbiorców, ale od czego mamy media tradycyjne. Szybko podchwyciły i nagłośniły relację. Dobrze wiedzieliście, Devon, że najwięcej kasy można zrobić na pierwotnych instynktach, i my to wykorzystaliśmy. Wiedzieliście, że brak cenzury sprowokuje różnego rodzaju dziwaków, którzy będą chcieli pokazać na żywo swój ślub, noc poślubną, pierwszy raz czy wreszcie gwałty, samobójstwa i morderstwa. Za darmo lub za drobną opłatą.

- Wszystkie takie treści są usuwane - rzekł Devon.

Miałem wrażenie, że broniąc dobrego imienia firmy, usiłuje odsunąć na bok świadomość tego, co się stało.

- Po tym, jak obejrzy je paręset milionów ludzi. A i tak fragmenty później można znaleźć w sieci i nikt ich nie blokuje. Cóż, Devon, zdaje się, że padłeś ofiarą własnej broni.

- Jeszcze nie rozumiesz, bohaterze? - dodał Sanyo. - Nikt cię nie będzie oskarżał i sądził. To tylko gra, zabawa, wygłup. Ludzie cię osądzą. Przyznałeś się do zabójstwa i kradzieży, łajzo, a obejrzało to na żywo kilka milionów widzów. Jutro już będą ich setki miliony. Możesz do woli cenzurować i usuwać, a ten film będzie żył wiecznie. Jak myślisz, ława przysięgłych będzie miała wątpliwości? Chodźmy, Ben, czas na nas... Zostawmy go z jego demonami. Ben... Ben?

Nagle dostrzegł to w moich oczach.

Amanda również

- Ben! - wykrzyknęła.

Kazar o sekundę za późno rzucił się w moim kierunku, by odebrać mi broń.

Pięć.

Strzeliłem po raz piąty.

Rozdział 50

Dla mnie to nie była gra. Tylko cztery pociski były ślepe. Piąty wbił się w pierś Devona, łamiąc żebra i przebijając płuco. Odlamek przebił jedną z tętnic i wywołał wewnętrzny krwotok. Czerwona maź zagulgotała mu w ustach, nie pozwalając na powiedzenie ostatniego słowa. Dość już powiedziałeś. Świst powietrza i zaskoczona twarz Devona były ostatnimi rzeczami, które zapamiętałem.

Upadłem przewrócony przez Kazara, a zaraz potem dopadł mnie Sanyo i zaczął okładać pięściami.

- Coś ty zrobił, bydlaku!? Przeklęty, pieprzony bydlaku!

Amanda zbladła, niewiele brakowało, żeby zemdląła. Właśnie przekreśliłem naszą miłość i jej karierę.

To nie była miłość, Amando, miałem ochotę jej przypomnieć. To był interes. Dla ciebie od początku, nawet jeśli później coś się zmieniło. Dla mnie również, tyle że nic się nie zmieniło. Cokolwiek pomyślałeś, kiedy za bardzo się do siebie zbliżyliśmy, to nie była miłość. Jestem bydlakiem. Sanyo ma rację.

Kiedy mnie wyprowadzano w kajdankach, tak właśnie pomyślałem. Zrobiłem to dla miłości, ale was przecież wcale to nie obchodzi. Nie dostrzegaliście tego, dlatego sami jesteście sobie winni. Nie robi się interesów z zakochanymi. Oni fruwią na zupełnie innym pułapie.

Świeciło już słońce, powolnie wstawało nad horyzontem, oświetlając daleką linię wybrzeża na wschodzie. Louis i Matt stali przy śmigłowcu i patrzyli na mnie jak na zdrajcę. Dla jakiegoś koszmarnego snu, widma, dziwnego wewnętrznego czaru, postanowiłem przekreślić całą ich pracę, naszą firmę, wszystko, co stworzyliśmy i co dawało nam taką satysfakcję.

Firma to wy. Nie patrzcie na mnie. Macie taką reklamę, że zaraz posypie się masa zleceń. O mnie szybko zapomnicie. Nie będę chciał wrócić. To nigdy nie było moje życie. Udawanie nie

jest mi pisane. Wolę poświęcić życie czemuś innemu. Czemuś, czym nie chcę dzielić się z nikim, nawet z wami.

Jeśli wygram tę ostatnią bitwę.

Kiedy wzbiliśmy się nad ocean, przymknąłem oczy i odetchnąłem głęboko. Wszystko się udało. Jeśli Helen Berg, słynna adwokat Helen Berg nie zawiedzie, zostanie największym z wygranych szubrawców. Czy powinienem przejmować się Amandą albo Sanyem? W końcu to ich ryzyko. Pewnie, mieli prawo się na mnie wściekać, ale nie powinni mnie oceniać. Nie ci, którzy robią takie świństwa dla kariery, dla politycznych zaszczytów i pieniędzy odkładanych na emeryturę.

Nie jesteście lepsi ode mnie.

Daliście się wciągnąć w grę i przegraliście. Wyrolowałem was wszystkich, ot co. A przy tym osiągnęliście cel, Devon poniósł karę. Oko za oko, pamiętacie? Devon był winny zabójstwa i zginął. Czy ja teraz jestem winny i powinienem ponieść karę? Pewnie tak, ale jej nie poniosę.

Dzięki waszej pazerności i łamaniu procedur, zbrodniarz Ben Stiller zostanie uwolniony od zarzutów. Jestem tego pewien.

Leciałem nad Pacyfikiem, wprost we wschodzące słońce, z kajdankami na nadgarstkach, i byłem pewien całkowitego zwycięstwa. Wojnę wygrywają ci, którzy potrafią stosować fortele.

Przebiegłość znaczy więcej niż pancierz czołgu.

Mały telewizorek, który trzymał detektyw z przodu, wciąż pokazywał relację na żywo z Clark Island. Po terenie posiadłości słynnego przedsiębiorcy, właściciela Wally'ego, kręciło się mnóstwo ludzi. Wśród nich moi pracownicy. W środku Amanda, Sanyo i Kazar, który już może szykować się na Pulitzera. Na ekranie pokazano zmęczoną twarz prokuratora okręgowego, który odmówił jakichkolwiek komentarzy.

Cóż, ani ty, ani Amanda i Sanyo nie możecie z czystym sumieniem zaliczyć konferencji prasowej i pochwalić się wygraną... To już nie moja sprawa. Ja zrobiłem, co do mnie należało.

Berg przysłała do mnie do celi i powiedziała, że powinienem

szkować się na celę śmierci.

- Morderstwo z premedytacją tyle kosztuje.
- Jesteś moim obrońcą, Helen - przypomniałem.
- Niestety.
- Devon zasługiwał na śmierć. Inaczej nie poniósłby kary.
- Samosąd to nie kara. To morderstwo.
- Mimo to wybronisz mnie, prawda?
- Taki mam zawód.

Poszło jej zadziwiająco łatwo. Wystarczyło nie kłamać i pomijać milczeniem sugestie spoconych prokuratorów.

Rozdział 51

Proces transmitowano na cały kraj i w kilku kanałach Wallnetu, mimo że tego główna prawie nikt już nie używał. Przewodniczył sędzia William Harrison. Zgodził się na rejestrację i wpuścił kamery do największej sali sądu. Cieszyłem się specjalnymi względami. Człowiek, który zamordował jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi na ziemi, może na nie liczyć. Dwunastu sprawiedliwych patrzyło na mnie bez nienawiści. O to też zadbałem. Ja i Kazar, który opisał tę historię obiektywnie, bez złośliwości.

W pierwszym rzędzie na widowni nie było nikogo z mojej rodziny ani z rodziny Devona. Sala była wypełniona po brzegi, ale stary Clark nie chciał dawać pożywki mediom. Mike, który odwiedził mnie tuż przed procesem, powiedział, że Clark mi wybaczył i nie muszę obawiać się jego zemsty.

- Devon nie był dobrym człowiekiem. Stary Patrick też nie jest dobry, ale nie zamierza się mścić. Życie to interes. Trzeba patrzeć do przodu, nie w tył. Ale lepiej nie wchodzić mu w drogę, bo może wpaść na jakiś głupi pomysł.

Amanda zeznała wszystko zgodnie z prawdą i nagle z głównego świadka oskarżenia stała się atutową kartą obrony. Powiedziała, że osobiście dostarczyła mi broń i dwukrotnie sprawdziła, czy rzeczywiście jest załadowana ślepymi pociskami.

- Ile razy trenowaliście tę scenę? - zapytała mecenas Berg.
- Pięciokrotnie.
- Czy za każdym razem broń była załadowana ślepakami?
- Za każdym.
- Czy podczas prób ktoś ucierpiał?
- Nie.
- Czy pozorowane morderstwo aktorki grającej rolę Sally zakończyło się obrażeniami?

- Nie. Zgodnie z planem nic jej się nie stało.

- Jak zatem pani wytłumaczy, że w pistolecie nagle znalazł się prawdziwy pocisk? Wszyscy państwo uniknęliście śmierci, a ostatni pocisk okazał się prawdziwy. Jak to wytłumaczyć?

- Nabój musiał zostać wymieniony.

- Kto to zrobił?

Wskazała na mnie.

- Widziała pani, jak oskarżony to robi?

- Nie.

- Dlaczego zatem twierdzi pani, że to on dokonał zamiany pocisków?

- Nikt inny nie mógł tego zrobić.

Helen stanęła nad nią i pozwoliła wszystkim przez dłuższy czas napawać się swoją brzydota. Zbliżała się do puenty. Przynajmniej w tym wątku, bo miała jeszcze kilka atutowych kart.

- Czy oskarżony znalazł się na broni? Czy był profesjonalistą?

- Nie rozumiem - powiedziała nieśmiało Amanda.

- Czy pani zdaniem Bena Stillera można uznać za profesjonalistę w dziedzinie broni palnej?

- Nie, z pewnością nie.

- A jednak twierdzi pani, że to on wymienił pociski?

- Żeby wymienić pociski, nie trzeba być profesjonalistą.

- Ale amator może przez przypadek wystrzelić z broni, tak jak może przez przypadek załadować ją niewłaściwą amunicją, prawda?

- Zgłaszam sprzeciw! - zareagował natychmiast prokurator.

Ostatecznie z protokołów wykreślono wszystkie sugestie i opinie Amandy. Zostało tylko to, czego potrzebowaliśmy.

Specjalna agencja badania zbrodni z przeszłości, którą Amanda kierowała i w której głównym śledczym był Sanyo, dwa lata temu na wniosek Interpolu rozpoczęła oficjalne śledztwo w sprawie zabójstwa Roberta Kozińskiego oraz zaginięcia Sally Zelman alias Petry Zdanovej.

Głównymi podejrzanymi byli Devon Clark oraz Ben Stiller, obecnie oskarżony o zabójstwo szefa korporacji SkyCom. Mimo

wielu prób, przed laty nie udało się przesłuchać Devona Clarka. Prawnicy koncernu zgodzili się jedynie udzielić odpowiedzi na pytania pisemnie. Devon Clark zeznał w ten sposób, że nie ma żadnej wiedzy o obu zdarzeniach.

Ben Stiller był znacznie bardziej otwarty i przedstawił śledczym swoją wersję wydarzeń, w pewnym momencie proponując przeprowadzenie eksperymentu śledczego z udziałem aktorów i rekwizytów. Jego firma zajmowała się podobnymi inscenizacjami w sferze komercyjnej. Zarabiała na organizacji przedstawień fabularnych dla pracowników różnych korporacji.

- Jak państwo zareagowaliście? - zapytała Helen.

- Sceptycznie. Pomyśleliśmy, że to dobry pomysł, choć procesowo może być ryzykowny i nieprzydatny.

- Dlaczego zatem zatwierdziliście jego realizację?

Amanda wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: przecież dobrze wszyscy wiecie dlaczego. Dla sławy i splendoru.

- Stiller miał dobre rekomendacje. Twierdził, że jest w stanie zorganizować wszystko na tyle bezpiecznie, że nikomu nic się nie stanie, a główny podejrzany będzie przekonany, że ma do czynienia z prawdziwymi wydarzeniami. Przeanalizowaliśmy jego referencje i okazało się, że mówi prawdę. Miał na koncie wiele udanych inscenizacji, które były przyjmowane entuzjastycznie przez największe światowe korporacje.

- Więc postanowiliście ZARYZYKOWAĆ... - Helen zaakcentowała ostatnie słowo.

Amanda nie była głupia.

- Nie było mowy o ryzyku. Wszystko miało być pod kontrolą.

- A jednak ktoś zginął! - prychnęła Berg. - Ładna mi kontrola... Ktoś zginął, a ktoś inny jest oskarżony o spowodowanie tego... wypadku.

- Sprzeciw! - wykrzyknął prokurator. - Proszę upomnieć panią mecenas, by nie wyciągała wniosków.

- Będzie pani miała mowę końcową - westchnął sędzia Harrison. Nie ulegało wątpliwości, że jest pod wrażeniem

poczynań mecenas Berg.

- Oczywiście, wysoki sądzie. - Helen ukloniła się i wycelowała palec w Amandę. - Wracając do sprawy... Zdecydowała się pani zorganizować ów... eksperyment?

- Po uzyskaniu zgody prokuratora okręgowego, zdecydowaliśmy się przystać na propozycję pana Stillera - odparła z chłodnym wyrachowaniem Amanda.

- A czym pomysłem było włączenie do sprawy dziennikarza?

Amanda nie odpowiedziała. Niemal widziałem, jak zasycha jej w gardle. To dopiero pierwsze z trudnych pytań.

- Kto zaproponował włączenie w cały plan Iana Kazara? - ponagliła Helen.

- Ja - odparła.

- Byliście państwo kochankami? Pani i pan Kazar?

Amanda westchnęła.

- Kiedyś, przed laty. Dlatego mogłam mu zaufać, wiedziałam, że nas nie oszuka i dostosuje się do scenariusza oraz poczeka z ewentualnymi działaniami medialnymi na... właściwy moment.

- Właściwy moment? No tak, bez niego trudno byłoby oszukać media.

Helen była rewelacyjna. Mike się nie mylił.

- Nikogo nie chcieliśmy oszukać.

- Może więc zmanipulować? Czy to lepsze słowo?

- Potrzebowaliśmy współpracy mediów, i tyle.

- I dlatego zgodziliście się na zainscenizowanie strzelaniny w centrum jednej z najlepszych dzielnic Los Angeles? Wie pani, jak wystraszyliście sąsiadów? Dzieciaki z pobliskiej szkoły do dziś wymagają pomocy psychologicznej, słyszała pani o tym? Nie mówiąc już o psach, którym zgotowaliście gratis fajerwerki niemal jak na sylwestra. Nie wspomnę o kotach, węzach i chomikach. W imieniu tych wszystkich zwierzaków Zieloni powinni wytoczyć wam proces.

- Departament policji i prokuratura pokrywa wszystkie straty. Czasem... - Amanda umilkła, zdając sobie sprawę, że brnięcie w to dalej doprowadzi do tragedii. I tak już pewnie

wiedziała, że przegra. Była bez szans w konfrontacji z Berg i z tym, na co się zgodziła. Patrzyła mi w oczy i wiedziała, że dała się oszukać. Jesteś kanalią, Ben - mówiło jej spojrzenie. Miała rację, byłem kanalią.

- Proszę dokończyć - poprosiła Helen.

- Czasem trzeba coś poświęcić dla wspólnego dobra.

- Wspólne dobro. Dużo jest pani w stanie poświęcić dla dobra... własnego?

- Sprzeciw! - zareagował natychmiast prokurator.

- Podtrzymuję. Proszę ograniczyć się do pytań bez komentarza - upomniał sędzia. Wyraźnie był jednak rozbawiony obrotem sprawy i strategią Helen. Sędzia Harrison uwielbiał, gdy coś się działo. Najgorsze są nudne procesy. Ten nie był nudny. O nie.

- Oczywiście, wysoki sądzie. - Helen uśmiechnęła się pod nosem i kontynuowała masakrowanie świadka oskarżenia: - Proszę nam zatem powiedzieć, czy także dla dobra wspólnego zorganizowaliście ten wyścig przy cmentarzu, a potem Bulwarem Zachodzącego Słońca?

- Pani Berg... - westchnął sędzia.

- Przepraszam. Mogę prosić o odpowiedź?

Sędzia skinął głową.

- To był pomysł pana Stillera - szepnęła Amanda. - Słusznie założył, że jeśli strzelanina i poślizg będą zorganizowane z odpowiednią pompą, media nam pomogą i nagłośnią sprawę.

Kłamała. To był jej pomysł. Ale teraz nie miało to znaczenia. Ważne, że ona i prokurator się zgodzili.

- No i udało się. - Berg podeszła do przysięgłych, pokazując nagłówki gazet. - Proszę zobaczyć, jak oskarżenie zmanipulowało media i nas wszystkich. Przytoczę tylko największe tytuły: „Megastrzelanina i rajd w luksusowej dzielnicy”, „Mistrz kierownicy ucieka przez L.A”, „Wojna w Wilshire..”.

Amanda była już całkiem rozdygotana, a przecież najgorsze wciąż miała jeszcze przed sobą.

- A gdyby ktoś zginął? - Berg ściszyła głos do szeptu. Przysięgli musieli wychylić się, by ją dobrze słyszeć. Dobry

adwokat wie, jak skupić ich uwagę.

- Nikt nie zginął! - zaprotestowała Amanda. - Mieliśmy wszystko pod kontrolą. Wszystkie efekty specjalne wykonywali profesjonalni pirotechnicy pod nadzorem odpowiednich służb. Pościgiem kierował jeden z najlepszych kierowców rajdowych wśród kaskaderów.

- Niezły film. Mistrz kierownicy... Ech... Szkoda, że to nie była fikcja. Jednak oskarżony skasował kilka pojazdów, prawda?

- Zapłaciliśmy za szkody.

Helen udała, że nie słyszy.

- I chce pani powiedzieć, że na to wszystko zgodził się prokurator okręgowy. Czy prokurator okręgowy znał wszystkie szczegóły tego... eksperymentu?

- Tak.

- Czy popierał cały plan włącznie z użyciem broni i ślepych pocisków?

- Tak.

Helen nabrała powietrza. Nadszedł czas decydującego ataku.

- Czy prokurator okręgowy informował panią, że potrzebuje medialnego sukcesu w postaci aresztowania jakiejś grubej ryby lub ośmieszenia jej przed całym światem?

- Sprzeciw!

- Wycofuję pytanie. A czy prokurator okręgowy informował, że jego małżonka pracuje dla firmy PEAR, jednego z głównych konkurentów pana Clarka na rynku urządzeń mobilnych?

- Sprzeciw!

Helen przystąpiła do głównego ataku:

- A czy uprawianie seksu z panem Stillerem także było częścią planu?

- Sprzeciw!!!

Tym razem sędzia był nieubłagany.

- Proszę odpowiedzieć.

Amanda zarumieniała się po czubki uszu, ale zachowała się jak profesjonalistka.

- Uznaliśmy, że powinniśmy udawać parę. Ja przyjąłem rolę

radcy prawnego korporacji finansowych i kochanki Bena... To znaczy, oskarżonego.

- Czy bardzo starała się pani wejść w rolę? Zamieszkała pani z panem Stillerem?

- Mieliśmy poważne podejrzenia, że Devon Clark cały czas inwigiluje pana Stillera, stara się mieć go na oku, gdyż Ben stanowił realne zagrożenie dla jego wizerunku. Za Stillerem przez jakiś czas jeździł samochód z fałszywymi tablicami, znaleźliśmy w jego telefonie podsłuch, w sieci monitorowały go różne roboty i robaki. Jego Wally był praktycznie cały czas na nasłuchu i monitoringu GPS. Dlatego w momencie akceptacji planu uznaliśmy, że należy bardzo uważać i nie podejmować żadnych dyskusji na temat planu, chyba że w bezpiecznym miejscu i w razie absolutnej konieczności. Zresztą dzięki tej inwigilacji mieliśmy większe szanse na uprawdopodobnienie naszej prowokacji.

- W jakim sensie?

- Zainscenizowaliśmy kilka sytuacji, w tym rzekome przesłuchanie Stillera, na którym padły różne oskarżenia i trudne pytania, oraz daliśmy celowo nagrać szpicłom Clarka kilka rozmów. Dzięki temu Devon sam mógł się dowiedzieć, że coś się dzieje, zorientować się, że stara sprawa odżywa, i wpaść w nasze sieci. Potem poszło już... łatwo.

- Pan Clark dał się wpuścić w kanał?

- Nie określiłabym tego w ten sposób.

- A jak?

Amanda zawahała się, a potem powiedziała, podsumowując swoją rolę, jakby chciała dać znać, że nic więcej nie powie:

- Postanowiliśmy prowadzić grę operacyjną na wszystkich polach, włącznie z wyreżyserowanymi scenami, gdy pojawiła się aktorka udająca Sally. Wszystkie rozmowy, zaskoczenie Bena, moje, nasze reakcje musiały wyglądać naturalnie, żeby nie zdradzić się przed Clarkiem. Żeby koordynować działania w biurze policji, sfingowaliśmy też wypadek drogowy, po którym Stiller musiał składać zeznania.

- Czy sypianie z panem Stillerem było częścią planu?

- Nie - odparła szybko Amanda.

- Czy sypiała pani z panem Stillerem?

- Tak. Tak... wyszło.

Proces unieważniono wobec błędów proceduralnych i rażących zaniedbań organów śledczych. Nie zostałem uniewinniony. Tak na wszelki wypadek, gdyby kiedyś jednak pojawiły się dowody na działanie z premedytacją i można było mnie skazać.

- Nie może być tak, że człowiek pada ofiarą błędu czy prowokacji organów ścigania, których zadaniem jest ochrona obywateli, a nie wciąganie ich w operacyjne gry. To jest niedopuszczalne nadużycie władzy - argumentował sędzia Harrison, zupełnie nie przejmując się protestami prokuratury, że to przecież ja wciągnąłem ją w grę, a nie oni mnie. Cóż, procedury są procedurami.

Oficjalnie uznano więc całe zdarzenie za wypadek. Nieszczęśliwy wypadek.

Opuszczałem Twin Towers z duszą na ramieniu. Przez kilka kolejnych dni trochę bałem się wariatów lub niezapowiedzianej zemsty klanu Clarków. Bałem się, że ktoś mi przeszkodzi w zakończeniu tej sprawy, w osiągnięciu głównego celu, który sobie założyłem. Ale nic mi nie przeszkodziło.

Byłem niewinny i mogłem bez przeszkód poruszać się po całym kraju, i nie tylko. Skończyło się. Devon Clark zginął z mojej ręki, a ja nie poniosłem za to kary, choć powinienem.

Wydział „Archiwum” zlikwidowano, przenosząc wszystkich śledczych do standardowych jednostek. Amanda straciła stanowisko, choć nie wyrzucono jej z policji. Wyjechała z L.A., nie wiem dokąd. Nie przyszła się pożegnać. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem. Było mi żal, bo to porządna dziewczyna. Z pewnością, gdybym nigdy nie spotkał Sally, mógłbym ją pokochać.

Wybacz, Amando.

Sanyo za to zadzwonił kiedyś po pijaku i powiedział, że jeśli mnie spotka, to jego broń może wystrzelić. W ramach eksperymentu.

- Oszukałeś nas, Ben! - syknął z wyrzutem. - Zaufaliśmy ci, a ty nas wystawiłeś do wiatru. Jesteś ostatnią gnidą,

prawdziwym szubrawcem.

Odłożyłem słuchawkę.

Easylog nie był mi już potrzebny. Oddałem firmę Louisowi i Mattowi, którzy nie chcieli się na to zgodzić, ale nie mieli wyjścia. Z tego, co wiem, firma nie przeprowadza już żadnych eksperymentów i skupiła się na swojej podstawowej działalności, czyli organizacji i obsłudze eventów i konferencji. Podobno są w tym najlepsi na świecie. Nie dziwi mnie to.

Zakończyłem pewien etap życia. Easylog - naprawdę proste wyjście.

To był koniec tej historii.

Prawie.

Epilog

Steve Gambino, jak już wcześniej wspomniałem, nie wyglądał na mordercę i członka mafijnej rodziny. Zachowywał się jak porządny człowiek, mówił językiem biznesmenów albo prawników, śmiał się wesoło ze wszystkich żartów. Pokazał mi nawet zdjęcia swojej rodziny, które z dumą przypiął do korkowej tablicy na ścianie. Dwójki dzieci i wspaniałej, płomiennie uśmiechniętej blondynki ze skłonnością do tycia tam, gdzie i tak była już zaokrąglona. Dopiero kiedy zjedliśmy lunch i przespacerowaliśmy się po parku, przeszedł do interesów i powiedział:

- Jeśli zabijesz dla nas Devona Clarka, odzyskasz Sally.

To było dokładnie dwa lata, trzy miesiące i dwadzieścia dni temu. W lipcu. W gazetach pisano wtedy głównie o huraganie, który ponownie zniszczył Florydę, i o awarii instalacji wydobywczych na oceanie, za którą koncern naftowy zapłacił miliardy dolarów kary. Internet żył ujawnionymi przez WikiLeaks dokumentami, teoriami spiskowymi dotyczącymi inwigilacji w Wallnecie oraz zabójstwami na zlecenie najważniejszych terrorystów. Bolt został wybrany sportowcem wszech czasów, Armstrong udzielił kolejnego wstrząsającego wywiadu na temat zażywania środków dopingujących. Senat zatwierdził astronomiczną pomoc dla państw Trzeciego Świata, jednocześnie po cichu przyklepując dziesięciokrotnie większą kwotę na program zbrojeń kosmicznych.

Nowa wersja Wally'ego znokautowała wszystkich konkurentów i zdobyła dziewięćdziesiąt procent rynku urządzeń mobilnych. Prezydent USA całował się z premierem Rosji i wycofywał rakiety z Czech, a w Chinach uruchamiano megafabrykę podzespołów elektronicznych, która jednocześnie mogła obsługiwać dziesięć wielkich korporacji technologicznych. Wszyscy chcieli ścigać Wally'ego, ale byli jak rowerzyści podążający za wyścigówką ferrari.

Nikt nie przeczuwał końca SkyComu i Devona.

Steve Gambino kichnął, a ja zasłoniłem twarz, przypominając sobie o ostrzeżeniach dotyczących mutacji grypy.

- Nie obchodzi nas, jak to zrobisz. Jeśli ci się uda, dostaniesz ją z powrotem.

- Więc ona żyje?

- Tak.

Nie wiem dlaczego, ale uwierzyłem gangsterowi na słowo. Nie potrzebowałem żadnych dowodów. Po co miałby mnie okłamywać? Ktoś musiał wpaść na taki szalony, szatański pomysł i musiał mieć do tego impuls. Impulsem była Sally. Żyła. Poświęciłem życie, żeby ją odszukać. Kochałem ją i szybko zapomniałem wszelkie urazy. Zresztą nigdy ich nie było. Imponowało mi to, że chce za wszelką cenę dorwać Devona, kibicowałem jej i wspierałem ją. Jednak jej się nie udało, a nam tak.

- Powiedz mi, czy to prawda, że od początku tak to zaplanowaliście?

- To znaczy?

- Że ma wyskoczyć z łodzi i zniknąć, by rzucić podejrzenie na Devona? Obstawialiśmy kiedyś zakłady przy pokerze i właśnie tak postawiłem. Inni uważali, że to nieprawdopodobne. Głupie i bezsensowne ryzyko, bez szans na powodzenie. A jednak ja zawsze czułem, że to nie był żaden wypadek ani ruch ze strony Clarka. Ciągłe mi się rzucała w oczy notka o tym, jak znakomitą była pływaczką. To był twój pomysł, prawda?

Nie, to nie był mój pomysł, ale Gambino dobrze obstawił. Sally miała wyskoczyć z łodzi. Tak postanowiła i za nic nie chciała z tego zrezygnować. Włożyła dobrą, ocieplającą piankę pod bluzę i zabroniła mi nawet myśleć, że może się nie udać.

Zbyt dobrze pływam, żeby coś poszło nie tak - przekonywała mnie. - Widziałeś przecież, jak pływam. Wrobimy Devona w morderstwo, a potem znów możemy być razem.

Była pewna, że dopłynie do brzegu, Devon nie zorientuje się, że przeżyła i będziemy mogli zrealizować pozostałą część planu. Przekonywała mnie, że da radę. Ja też byłem tego

dziwnie pewien. Plan był szalony, może trochę dziecinny, jednak mógł się udać. Wierzyliśmy, że Devon uwierzy w jej sfigowaną śmierć, a potem pęknie, gdy będzie postawiony pod ścianą, gdy przyjaciel będzie mu zarzucał, że wypchnął za burtę jego dziewczynę, zamordował ją. Nie przyzna się, ale to nie miało znaczenia. Była duża szansa, że poniesie odpowiedzialność, choć formalnie zapłaci za zbrodnię, której nie popełnił. Jednak coś poszło nie tak i Sally nie dała znaku życia, zniknęła.

- Dlaczego nie zeznałeś, że Devon ją wypchnął? - zapytał Gambino.

Dobre pytanie. Chciałem tak zeznać, do diabła, ale wtedy zdałem sobie sprawę, że jeśli jest choćby cień szansy, że Sally żyje, to bez pomocy Devona jej nie odnajdę. W głowie miałem kompletny mętlik.

Bąłem się, że każde wyjście jest złe i cokolwiek wybiorę, popełnię błąd. Miotalem się, nie wiedząc, co zrobić. Zacząłem analizować, co będzie najbliższe mojemu celowi, czyli odzyskaniu Sally. Musiało to być coś, co w razie czego da się szybko odkręcić.

Poza tym... Poza tym gdzieś w tyle głowy pojawiło się podejrzenie, że Sally mnie jednak oszukała, chciała skłonić do zeznań, ale jednocześnie mi uciec. Wstrzymałem się więc, licząc, że ją zmuszę do powrotu. Wtedy zeznałbym, co tylko by chciała.

Obiecałem zatem Devonowi milczenie i nieobciążające go zeznania w zamian za reklamy w telewizji dotyczące zaginionej Sally i pomoc w poszukiwaniach. Podpisałem cyrograf z diabłem, bo nie miałem innego wyjścia. Okazałem się najslabszym ogniem planu Sally. Zdradziłem ją, żeby potem odzyskać. Zdobyć jeszcze jedną szansę.

Los bywa doprawdy przewrotny.

Gdyby Sally zadzwoniła, tak jak ustaliliśmy, zeznałbym przeciwko Devonowi. Gdzieś tliła się nadzieja, że ona mnie tylko oszukała, przeżyła, ale oczekiwała, że załatwimy to między sobą. Ja i Devon. Nie chciałem tego. Byłem zbyt dużym egoistą, by wdać się w walkę z Devonem, nie mając

szansy na nagrodę. Nie mogąc mieć już Sally.

Podły ze mnie drań. Nic na to nie poradzę.

- To był zły plan - wyjaśniłem Steve'owi, nie chcąc wyjawiać wszystkich tych dylematów. - Słowo przeciwko słowu. Słowo multimiliardera przeciwko zeznaniu nic nieznaczącego biedaka. Jeśli oskarżałbym go bez przekonania, Devon by się wybronił. I nigdy więcej nie pozwoliłby się do siebie zbliżyć. Ponadto...

- Tak?

- Sally miała do mnie zadzwonić. Miała powiedzieć, co dalej.

- Nie zadzwoniła - stwierdził bardziej, niż spytał, Steve.

- Nie. A ja wystraszyłem się i postanowiłem milczeć. Przynajmniej do czasu, aż ją znajdę.

- Ale jej nie znalazłeś?

- Nie.

- Nie wierzyłeś w to, że po prostu utonęła?

Nie mogła utonąć. Czułem, że żyje. Prawdę mówiąc... Myślałem, że mnie oszukała.

- Jeśli chcesz ją z powrotem, po prostu zrób, co należy.

Zatrzymałem go jeszcze, kiedy wsiadał do samochodu, i zapytałem, dlaczego zależy im na śmierci Devona. Wzruszył tylko ramionami i odparł:

- Skąd mam wiedzieć? Pewnie zrobił coś nie tak, jak trzeba. Rodzina nie musi tego tłumaczyć. Postanowiono, że powinien odejść przy nadarzającej się okazji i ona właśnie się nadarzyła. Zapamiętaj sobie to, Ben. Nie warto zadzierać z Gambinem, bo zawsze trafi się okazja do rewanzu.

Potem mocno się niecierpliwił i kilka razy postanowił mnie przestraszyć. To on przyłożył mi broń do głowy tej nocy, gdy rozmawiałem z Kazarem. To on przeładował rzekomo nienabity rosyjski pistolet, przyłożył mi go do głowy i zakazał z nim kombinować. Skoro wziąłem tę robotę, powinienem dotrzymać obietnicy.

I dotrzymałem.

Zrobiłem to, do diabła. Zrobiłem i na dodatek wyłgałem się od odpowiedzialności. Moja część załatwiona. Teraz twoja

kolej, Steve.

Gambino przyjął mnie w swoim gabinecie. Przed wejściem oglądałem sobie jego rodzinne zdjęcia i doszedłem do wniosku, że od naszego ostatniego spotkania zdążył spłodzić dwóch nowych członków rodziny. Ciekawe, ilu ludzi wymordował? Przytył ze dwadzieścia kilo. Spotęźniał, upodabniając się do wielkiego, przyjaznego misia, który mógł jednak udusić przypadkowym ruchem łapy. Uśmiech miał przez to jeszcze szerszy i bardziej jowialny. Ale jego dłoń nie straciła dawnej siły.

- Ben, jak miło! Wejdiesz?

Rozmawialiśmy przez chwilę o niczym, aż w końcu spowaźniał i powiedział:

- Długo ci to zajęło. Myślałem, że zrezygnowałeś.

- Zrobiłem, co do mnie należało. Teraz twoja kolej.

- Pewnie. Steve Gambino zawsze dotrzymuje słowa. - Zerknął na zegarek. - Jeśli się pospieszymy, jeszcze dziś ją zobaczysz.

Podróż trwała prawie osiem godzin. Najpierw dwie samochodem na lotnisko, potem cztery samolotem Steve'a i kolejne dwie limuzyną przyslaną przez jakiegoś lokalnego partnera rodziny. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Było dużo drzew, zielono i dziko. Pachniało lasem. Rzeźkie powietrze wydawało się iskrzyć ostrzami niezliczonych żyłek. Steve otworzył okno, żeby głębiej odetchnąć.

- To życie, Ben. Pierwotne i wspaniałe. Czujesz?

Droga wiła się w górę, skąd roztaczał się bajeczny widok na wodne oczka zagubione w leśnych ostępach i skalistych wąwozach. Potem opadała, zagłębiając się w cięń nieprawdopodobnych sekwoi, paproci i cyprysów.

- Żadnych intryg, spisków, szpiegów. Tylko przyroda. Słyszałeś o ostatnim tajnym raporcie Departamentu Stanu, w którym przyznajemy się, że zaatakowaliśmy Irak bez powodu? Biedny Saddam nie miał żadnej broni masowego rażenia i nie powinien beknąć za nie swoje winy. Miał w dupie al-Kaidę. Zarządzał tylko swoim królestwem zepsucia. Ale stary dobry George dał się nabrać aparatczykom CIA i

jakiemuś kłamliwemu emigrantowi. Zabawne, jakie nieprawdopodobne historie serwuje nam rzeczywistość. Twoja historia też mogłaby się wydawać nieprawdopodobna. A jednak się zdarzyła. Twoja i Sally.

- Tak, moja i Sally.

- Muszę ją zapamiętać, kto wie, czy się nie przyda w moim biznesie. W końcu jak kogoś się zgubi podczas rejsu jachtem, trudno udowodnić morderstwo. Żadnych kamer, ograniczona liczba świadków, chyba że nauczymy gadać delfiny. Słyszałeś o historii tego reżysera i aktora?

- Nie, jakiej historii?

- Sławni ludzie, ale wybacz, nie pamiętam nazwisk. Dla mnie wszyscy są podobni. Poznają tylko De Niro i Pacina, cała reszta to jeden chłam. Dobry film musi nakręcić Scorsese albo Coppola, reszta się nie liczy. Mówię ci, z aktorów warto oglądać tylko De Niro i Pacina... No może jeszcze Pitt się ratuje. Tak, Pitt też jest niezły. I ma świetną laskę. Angelina jest najlepsza, nie uważasz?

- Pewnie tak. Mówiłeś o wypadku na łodzi - przypomniałem.

- Ach, tak. No więc ten reżyser i aktor wypłynęli na rejs. Towarzyszyła im żona jednego z nich, ale pukali ją obaj, na zmianę. No i ta laska wypadła z jachtu. I wyobraź sobie, że obaj zgadzali się w zeznaniach, z jednym wyjątkiem. Twierdzili, że to ten drugi wypchnął laskę za burtę. I wiesz co? Żadnemu nie postawiono zarzutów. Nie można było im niczego udowodnić. Niesamowite, prawda? Zbrodnia prawie doskonała. A co, jeśli tak się umówili? Chodź, stary, zamordujemy naszą lolę we dwóch, a potem obciążymy się wzajemnie. Na koniec możemy jeszcze nakręcić o tym film. Kto pisze scenariusz? Życie jest niesamowite...

- Niesamowite - przyznałem.

Steve spowaźniał i nagle, nie zwalniając, wyciągnął ten sam rosyjski pistolet, którym mnie już straszyl. *Giurza* - pistolet używany przez rosyjskie służby specjalne. Należał do jakiegoś mordercy. Strzela specjalnymi pociskami, które przebijają większość kamizelek kuloodpornych. Broń na niedźwiedzia i

prawdziwych drani. Po co używać jej na kogoś tak nieistotnego jak ja?

- Tym razem jest naładowany, Ben. Jak zawsze, kiedy wyjeżdżam za miasto. I nie używam ślepaków, cha, cha!

- Tak przypuszczam - mruknąłem, nie wiedząc, do czego zmierza.

- Naprawdę się mnie nie boisz?

- Dlaczego miałbym się bać?

- A jeśli wywożę cię, żeby zastrzelić i pochować?

Popatrzył na mnie nieco za długo. Przestraszyłem się, że wpadnie na drzewo. Nie bałem się śmierci od kuli. Po co miałby mnie zabijać własnoręcznie?

- Jeśli nie zamierzasz mi oddać Sally, równie dobrze możesz mnie zabić.

- Aż tak bardzo ją kochałeś?

- Ponad wszystko.

- To piękne, taka miłość.

- Piękne.

- Ja też kocham swoją żonę - mruknął, i roześmiał się. - Ale na świecie jest tyle innych pięknych kobiet.

Wolałem nie odpowiadać.

Steve nie przestawał się śmiać. W końcu schował pistolet i powiedział:

- Lubię cię, Ben. Naprawdę cię lubię.

Dom wyrósł niespodziewanie przed nami u podnóża wysokiej góry o ośnieżonym szczycie. Był częścią posiadłości składającej się z trzech budynków hotelowych, parku i hali sportowej. Z tyłu za halą mieściły się obiekty sportowe: basen i boiska do siatkówki oraz tenisa. Ceglany piasek odbijał promienie słońca, sprawiając wrażenie, że jest tam jaśniej niż wokół. Parking przechodził w przestronny ogród ze starannie wystrzyżonymi trawnikami, wypełnionymi ozdobną roślinnością, z hamakami porozwieszanymi między grupkami drzew i bujanymi ławkami. Przy każdej umieszczono donice pełne róż i tulipanów. Pagórkowaty teren opadał w dół, wprost do niewielkiego jeziora o niemal nieruchomej tafli wody. Gęsty las porastał cały przeciwległy brzeg.

- To pensjonat pani Green. Wspaniały, prawda?

- Tak, wspaniały.

- Pani Green prowadzi go dla nas od dwudziestu pięciu lat.

- Też kogoś zamordowała dla rodziny? - spytałem, zanim ugryzłem się w język.

Steve spojrział na mnie tak, że miałem ochotę zapaść się w fotel, ale zaraz się roześmiał.

- Lubię cię, Ben. Naprawdę cię lubię - powtórzył swoją deklarację, spoważniał i dodał: - Nie, ona nikogo nie zamordowała. To my zamordowaliśmy jej męża.

Aha.

- Ale to był zły człowiek.

- Rozumiem.

Steve westchnął, zaciągając się głęboko powietrzem.

- Uwielbiam tu przyjeżdżać. To normalny hotel, ale ma też część specjalną, szpitalną, w której leczymy różne schorzenia, pomagamy ludziom dojść do siebie po przebytych traumach i wypadkach. Wyobraź sobie, że naszą rodzinę prześladowają różne wypadki... Podobnie jak rodziny naszych przyjaciół.

Zaprowadził mnie na recepcję, wypełnił jakieś papiery, a potem powiedział coś po włosku do lekarza, który przyszedł nas powitać. Szedłem za nim z rosnącą świadomością, że zaraz to się stanie. Że za chwilę ją zobaczę. I wystraszyłem się tego. Tak wiele lat czekałem, że teraz czułem się kompletnie nieprzygotowany.

Siedziała na tarasie, piękna jak dawniej. Zadbana i wspaniała. Moja Sally. Żadna podróbka. Przykryta kocem, z promiennie olśniewającą, niezwykłą twarzą, okoloną burzą niesfornych włosów.

- Niestety nic nie mówi - powiedział lekarz.

- Nie szkodzi.

- Cudem ją uratowano - dodał Steve. - Znaleziono ją na plaży prawie martwą, zrezygnowano z reanimacji i niemal przewieziono do kostnicy, gdy nagle ożyła. Niesamowite. Zupełnie niesamowite. Historia jak z powieści grozy albo serialu. Lubisz seriale, Ben? Nieważne. W każdym razie, jakiś durny zabiedzony detektyw sprzedał info o dziewczynie

poszukiwanej w mediach jednemu z naszych... hm... przedstawicieli handlowych na Zachodnim Wybrzeżu. Z dziewczyny została roślina, ale jakże piękna. Na szczęście nie zlekceważyliśmy wiadomości i mogliśmy się nią zaopiekować. Dla ciebie, Ben. Tylko dla ciebie.

- Prawdopodobnie nic nie pamięta, jakby dostała nowe życie - dodał lekarz. - Nie przeszkadza to panu?

- Nie.

Do diabła, nic mi nie przeszkadza. Bylebyście już sobie poszli.

Ruszyli, wesoło rozmawiając, a ja przysunąłem sobie taboret i usiadłem naprzeciwko mojej Sally. Mojej ukochanej Sally.

Chwyciłem ją za rękę, spojrzałem jej w oczy i uśmiechnąłem się. Odpowiedziała uśmiechem. Chyba mnie nie poznała, ale może jakaś drobinka pamięci gdzieś głęboko w głowie mówiła jej: on jest dobry, kocha cię, zrobi dla ciebie wszystko. Nawet zabije, jeśli będzie trzeba. To właśnie miłość. Dla niej warto żyć.

Nie potrzebowaliśmy słów.

Siedzieliśmy i patrzyliśmy sobie w oczy jak para nastoletnich zakochanych. Jakbyśmy dopiero co się zorientowali, że to miłość.

* * *

Charlie Miranda czekał na telefon od Steve'a Gambino, bawiąc się zapalniczką i wpatrując się w monitor laptopa. Ekran pokazywał obraz z kamery umieszczonej w pokoju Sally. Mimo że kobieta i trzymający ją za dłonie Ben milczeli, Charlie żałował, że kamera przekazuje tylko obraz bez dźwięku. Miał dziwne poczucie niedosytu. Jak zwykle w takich chwilach zastanawiał się, czy brak uczuć i niezdolność doświadczania emocji czynią go w jakiś sposób ułomnym. Co sprawiło, że stał się takim człowiekiem? Czy była to wina Meyera, jego mentora i przyjaciela, czy może tego, co się z nim stało i jak potem postąpił z nim Steve? Czy przyczyna leżała w jego dzieciństwie, czy w świadomym wyborze? Czy chciał tak Bóg, czy może tylko diabeł? Wreszcie, czy był kimś więcej niż maszyną? Czy przewyższał to cholerne urządzenie wymyślone przez Stillera,

które kradło mu ostatnio tyle czasu?

Przez cały okres monitorowania poczynań Bena, a potem także Sally, zdążył polubić tę parę. Szanował Żyda za to, co ten zrobił dla swojej ukochanej, a ją za niezłomność i dążenie do sprawiedliwości. Żałował, że straciła pamięć i zapewne przypisany do człowieczeństwa intelekt. Było mu przykro, że stała się rośliną. Bardzo jednak oboje szanował.

A mimo to, jeśli Steve każe mu ich zabić, zrobi to bez chwili wahania. Nożem, siekierą, nylonową linką czy choćby *giurzą*, którą niegdyś odebrał Rosjaninowi i podarował Steve'owi. Wykona każde polecenie Gambina.

Maszyna pozbawiona uczuć. Tym właśnie jesteś - karciał sam siebie, lecz nie poprawiało to w żaden sposób jego empatii. Ostatnio coraz częściej starał się oglądać cierpienie, licząc na to, że to coś zmieni. Chodził na pogrzeby obcych ludzi i rozmawiał z żałobnikami. W kinie wybierał smutne filmy ze złym zakończeniem (choć o to było coraz trudniej). Czytał więcej książek. Bóg był świadkiem tego, że chciał się zmienić. Pragnął wreszcie zacząć czuć. Uwolnić się od swojego przeznaczenia.

Ale Bóg tego nie chciał.

Albo diabeł.

Kilka miesięcy temu próbował odnaleźć w Los Angeles tę prostytutkę, która na jedną noc sprawiła, że jego sny przestały być straszne. Był pewien, że nie będzie to trudne, a jednak poniósł porażkę.

Ben Stiller odnalazł kobietę, która umarła dziesięć lat wcześniej, a on nie mógł znaleźć dziewczyny, która miała zbawienne działanie na jego sny. Może wcale nie była prostytutką? Może tylko sobie to wmówił? Może była niezwykłym aniołem? A może jedynie śnił?

Jego życie stawało się coraz dziwniejsze.

Coraz częściej też myślał o Meyerze i o tym, co sobie zrobił albo co mu zrobiono. A mimo to cały czas wiedział, że jeśli będzie trzeba, zabije Stillera i Sally. Jak to wytłumaczyć? Dlaczego nie odnajdywał w sobie potrzeby buntu? Czy to w ogóle możliwe? Czy można zbuntować się przeciw

przeznaczeniu?

Zadzwonił telefon. Miranda złapał się na tym, że zwleka z podniesieniem słuchawki, jakby chciał jak najbardziej odwlec moment, w którym pozna decyzję Steve'a.

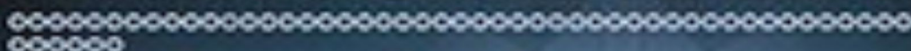
Może więc jednak nie jest maszyną? Może czegoś się nauczył i będzie w stanie podjąć samodzielną decyzję?

Westchnął głośno i nacisnął zielony guzik na starym, wysłużonym aparacie.

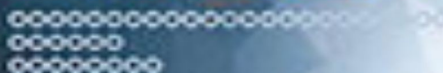
Gambino mówił krótko, a potem zerwał połączenie. Spieszył się do kolejnego interesu. Charlie Miranda bez słowa wpatrywał się w wyświetlacz aparatu. Decyzja szefa ani go nie ucieszyła, ani nie zmartwiła.

Zareagował z taką samą obojętnością jak zwykle.

MARIUSZ ZIELKE



EASYLOG



 **VIRTUALO**
Księgarnia Internetowa

empik